PORUSZAJĄCA OPOWIEŚĆ ZE ŚRODKA WOJNY

Nasz reporter Witold Repetowicz o 37 dniach spędzonych w więzieniach w Syrii

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 2/255 8–14 STYCZNIA 2018

Gdzie się ukrywa Mateusz Kijowski

Lista Masłonia: Siedmiu naprawdę niepokornych pisarzy

Kto nas wrobił w caracale

Ujawniamy kulisy afery z francuskimi śmigłowcami

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
Nakład: 100 tys. egzemplarzy

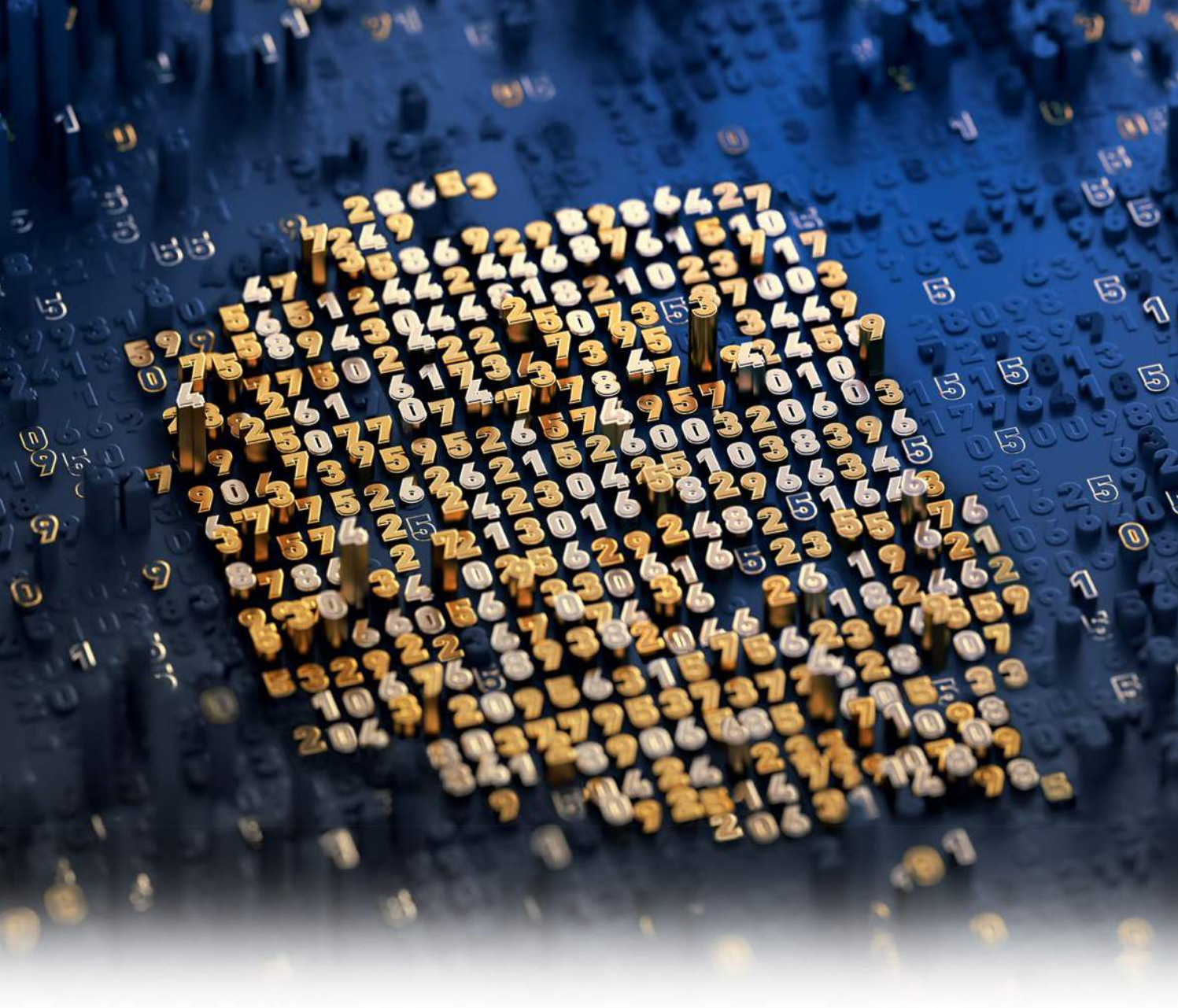

NAJCENNIEJSZA SPÓŁKA W POLSCE

PKO Bank Polski to najwyżej wyceniana spółka notowana na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie na koniec 2017 roku. Wartość rynkowa akcji banku wyniosła 55 mld złotych.*

Bank Polski

Dziękujemy za zaufanie.

www.pkobp.pl

*Na podstawie notowań wartości rynkowej akcji PKO Banku Polskiego na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie z 30 grudnia 2017 roku.

eprasa.pl cd591204ac

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Inwersja wartości

Dość to groteskowe, a jednak: obecny polski rząd – z powodu swojej postawy wobec unijnej polityki imigracyjnej – coraz częściej bywa oskarżany o sprzeniewierzenie się chrześcijaństwu. Niestety, tę retorykę ułatwiają kolejne, coraz dalej idące wypowiedzi niektórych hierarchów. Być może najbardziej skrajne stanowisko zajął w tej sprawie obecny prymas Polski, abp Wojciech Polak, który w wygłoszonym w Gnieźnie kazaniu powiedział: „Ci, którzy podsycają strach przed migrantami, być może w celach politycznych, zamiast budować pokój, sieją przemoc, dyskryminację rasową oraz ksenofobię, które są źródłem wielkiego niepokoju dla tych wszystkich, którym leży na sercu ochrona każdego człowieka". Nic dziwnego, że zachwyceni lewicowo-liberalni komentatorzy natychmiast wykorzystali sytuację i przeciwstawili wezwania arcybiskupa postawie polskiej prawicy. Rzeczywiście, słowa prymasa Polski to faktycznie woda na ich młyn.

To najwyraźniejszy obecnie w Polsce głos poparcia dla prowadzonej przez papieża Franciszka już od trzech lat proimigranckiej kampanii. Ojciec Święty domaga się od polityków, by imigrantów nie tylko wpuszczali, lecz także chronili ich, promowali i integrowali. Co charakterystyczne, nigdzie nie ma tu wyraźnie mowy o koniecznym warunku gościny: ścisłym i posłusznym dostosowaniu się imigrantów do praw i wartości państw, do których przybywają. Nie ma też, wydawałoby się dość podstawowego w ustach duchownych, oczekiwania, że przybysze się nawrócą. Nie. Wszystkie te przemówienia są typowym przejawem nowej, altruistyczno-postępowej moralności, zgodnie z którą miłość bliźniego zostaje zastąpiona miłością obcego. Nie chodzi o miłość ludzi, którzy są wokół nas, ale o abstrakcyjną miłość ludzkości. Do tej nowej formy miłości najczęściej wzywają ci, którzy sami jej skutków znosić nie muszą. Gorzej, że nie tylko wyraża się w nich nowa świecka mentalność, zgodnie z którą tak tożsamość religijna, jak wierność własnej kulturze są mniej istotne niż otwarcie się na obcych kulturowo przybyszów, lecz także widać w nich – mówię to ze smutkiem – brak odpowiedzialności.

Łatwo to dostrzec w samej treści przemówień. Otóż, okazuje się, że zdaniem prymasa Polski głównym problemem obecnie nie są potencjalni terroryści. Podobnie nie chodzi o to, że skupiska muzułmanów w Europie są naturalnym środowiskiem, w którym kiełkuje i rozwija się radykalizm, a także przestępczość oraz wrogość. Tak samo polski hierarcha nie widzi tego, co zdolny jest zaobserwować każdy średnio spostrzegawczy turysta: coraz więcej ulic zachodnich miast przypomina twierdze, na wielu widać patrole policji i wojska, znaczące budowle publiczne, w tym starożytne kościoły, otoczone są zasiekami i wozami pancernymi. Nie widzi, że unijne państwa z napływem przybyszów sobie nie radzą, że stopniowo wycofują się z poszczególnych regionów i dzielnic, zostawiając własnych obywateli na pastwę przybyszów. Nie, tego wszystkiego prymas nie dostrzega.

Winnymi okazują się nie ci, którzy są źródłem przemocy, ale ci, którzy się jej boją i przed nią ostrzegają! To dopiero inwersja wartości… Nie ci, którzy szerzą przemoc, są winni, ale ci, którzy się jej boją! Okazuje się, że nawet nie mają prawa do strachu! Co to bowiem znaczy „podsycać strach przed imigrantami?" Czy arcybiskup Polak chce w ten sposób pochwalić szefów niemieckich mediów, którzy ukrywali przed opinią publiczną przypadki powszechnych gwałtów w Kolonii? Najlepszą formą „niepodsycania" byłoby zatem oszustwo. Co to znaczy „wyolbrzymiać zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego", skoro istnieje oczywisty związek między napływem imigrantów muzułmańskich a zagrożeniem dla życia i zdrowia obywateli społeczeństw, które udzieliły im gościny? Słowa te przypominają mi rozważania pewnej dziennikarki „Gazety Wyborczej", która sugerowała, że dla przyjęcia kilku tysięcy imigrantów warto poświęcić życie kilku Polaków. To jest dokładnie ta sama, dziwaczna, logika. Naprawdę, słuchając takich nauk, aż trudno nie pomyśleć o pewnej starej metaforze, o obrazie pasterzy wiodących swe owce na rzeź. Brrr… ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl cd591204ac

TEMAT TYGODNIA

16 WOJCIECH WYBRANOWSKI
WIRUJĄCY PRZETARG
Kulisy zamawiania caracali

KRAJ

22 ROZMOWA Z RAFAŁEM CHWEDORUKIEM
EKSPERYMENT KACZYŃSKIEGO
Politolog UW o premierze Mateuszu Morawieckim, rządzie, opozycji i kontaktach z UE

26 PIOTR GOCIEK
MORAWIECKI W ZAWIESZENIU

30 ŁUKASZ WARZECHA
KORNEL WALCZĄCY

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
POWRÓT MILLERA?

34 MARCIN MAKOWSKI
ALTERNATYWNA RZECZYWISTOŚĆ KIJOWSKIEGO

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
OCALIĆ OD PORNO

38 EWA ŁOSIŃSKA
ODZYSKAĆ KAMIENICE

40 PIOTR KOŚCIŃSKI
REPATRIACJA PRZYŚPIESZYŁA

KULTURA

42 KRZYSZTOF MASŁOŃ
SIEDMIU WSPANIAŁYCH
Twórcy rozumiejący wolność i demokrację

48 ANDRZEJ HORUBAŁA
EXODUS, CZYLI DROGA DONIKĄD

50 ŁUKASZ ZBORALSKI
KRÓLEWSKI GATUNEK

NIE PRZEGAP

52 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

58 GRZEGORZ KUCHARCZYK
ZMĘCZONA TWARZ BENEDYKTA
Żywa historia Kościoła przełomowego

62 MACIEJ DYBOWSKI, PAWEŁ ŁĄCKI
PUŁAPKI PRAWNICZEGO MORALIZOWANIA

HISTORIA

64 PIOTR SEMKA
OJCZULEK CZECHÓW
Pierwszy prezydent Czechosłowacji

68 ROZMOWA Z GRZEGORZEM SIECZKOWSKIM
ZIMA ZŁA

ŚWIAT

70 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
ODWIECZNA STOLICA IZRAELA
Dobry ruch prezydenta USA

72 JACEK PRZYBYLSKI
DIABEŁ MIESZA W WATYKANIE

74 PIOTR WŁOCZYK
CZARNY PROTEST BIAŁYCH FARMERÓW

76 WITOLD REPETOWICZ
POWRÓT Z SYRYJSKICH LOCHÓW

81 JACEK PRZYBYLSKI
SROGIE KARY ZA „MOWĘ NIENAWIŚCI"

EKONOMIA

82 STEFAN SĘKOWSKI
JAK ODDŁUŻYĆ POLSKĘ?
Zadanie na tłuste lata

84 TOMASZ CUKIERNIK
CZY STAĆ NAS NA DOTACJE UE?

STYL

88 JOANNA BOJAŃCZYK
KSIĄŻĘ I AKTORECZKA
Wybranka Harry'ego a rodzina królewska

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ
PIRAMIDA ŻYCIA
Dłuższe życie z rakiem nerki

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), ZALEWSKI, WOLSKI (61), ZYCHOWICZ, KOPER (67), KOWALCZUK (80), GABRYEL, RYBIŃSKI (86), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl cd591204ac

Drodzy Czytelnicy,

w tym tygodniu tylko wyjaśnienie.

Wyjaśnienie

W wyniku prac redakcyjnych w tekście Oliviera Baulta zatytułowanym „Sposób na islam" („Do Rzeczy" 1/2018) słowa nawróconego z islamu na chrześcijaństwo Algierczyka Moh-Christophe'a Bileka („to nie islam jako taki walczy z katolicyzmem, ale to raczej elementy wywodzące się z tradycji chrześcijańskiej z nim walczą") błędnie przypisaliśmy liderowi francuskiej skrajnej lewicy Jeanowi-Lucowi Mélanchonowi. Za tę niezamierzoną pomyłkę edytorską Autora i Czytelników przepraszamy.

Redakcja

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**
Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**
DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej)
z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Mateusz Maranowski** (także Polskie Radio), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**
Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Dominik Gajda/REPORTER x 2; Tatyana Zenkovich/AFP/East News; Fotolia, materiały prasowe; oprac. graf.: PEGAZ**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

FIRMA RODZINNA
PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
BIURO REKLAMY: **Michał Staszewski** (kierownik marketingu i sprzedaży)
reklama@dorzeczy.pl; tel. + 48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS: **Anna Pawłowska-Pojawa** (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 100 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

REKLAMA

eprasa.pl cd591204ac

IRAN: SIŁY REŻIMU KONTRATAKUJĄ

Dowódca irańskiej Gwardii Rewolucyjnej generał Mohammad Ali Dżafari ogłosił w zeszłym tygodniu „koniec buntu", odnosząc się do olbrzymich antyrządowych demonstracji. Podczas gwałtownych protestów, które przez kilka dni na przełomie roku wstrząsały miastami w trzech irańskich prowincjach – Hamadan, Isfahan oraz Lorestan – zginęło co najmniej 21 osób, a kilkaset trafiło do aresztów. Do walki z opozycją skierowano dodatkowe oddziały, a na ulicach miast zorganizowano manifestacje prorządowe (na zdjęciu).

Wcześniej Gwardia Rewolucyjna poradziła sobie ze zdławieniem powstania po wyborach w 2009 r. Były to wówczas pierwsze od lat tego typu protesty, a podczas ich tłumienia zginęło wielu przeciwników teokratycznych władz. Reżim ajatollaha Chamenei ma się jednak czego obawiać: jeśli bowiem opozycja znajdzie jednego charyzmatycznego przywódcę i będzie w stanie lepiej koordynować protesty, to następna fala sprzeciwu Irańczyków, niezadowolonych z powodu bezrobocia, korupcji i podwyżek cen może być o wiele trudniejsza do zdławienia. ***(jap)*** © ®

FOT. MOHAMMAD ALI MARIZAD/AFP/EAST NEWS

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Czerwony Danny ma głos

W ostatni dzień zeszłego roku na temat sytuacji w Europie głos zabrał Daniel Cohn-Bendit – weteran rewolty 1968 r. Jego wywiad dla agencji AFP nie został w Polsce wystarczająco doceniony. „Gazeta Wyborcza" nie poświęciła mu zbytniej uwagi, a po prawej stronie uznano, że to kolejna tyrada troski o stan polskiej demokracji. Tymczasem w wypowiedzi „Czerwonego Danny'ego" pojawiły się nowe, godne uwagi tony.

„Takie kraje UE jak Polska, Węgry i Czechy powinny mieć możliwość opuszczenia Unii, jeśli nie zamierzają uczestniczyć w planowanym przekształcaniu wspólnoty" – stwierdził były eurodeputowany Zielonych. Jak zaznaczył, „negocjacje w sprawie brexitu mogą posłużyć w takiej sytuacji za wzór".

Przepowiada, że równo 14 lat (maj 2004 r.) po przystąpieniu do UE krajów Europy Środkowej i Wschodniej „dojdzie do rozstania". Do przewidzenia jest bowiem, że w przyszłości kraje strefy euro zechcą ograniczyć miliardowe fundusze – spójności oraz rolny – tym krajom, które nie przestrzegają zasad solidarności. – Następnie dojdzie w przypadku tych krajów do procesu odłączania się – prognozuje. Jego zdaniem pozwoli to się UE „w zdrowy dla niej sposób skurczyć", dla Polski, Węgier i Czech korzystne byłoby wtedy tzw. uprzywilejowane partnerstwo na wzór Wielkiej Brytanii, np. w postaci unii celnej. Cohn-Bendit wyraził ponownie swoje poparcie dla propozycji prezydenta Francji i stwierdził, że „rozwój strefy euro jest dla niego warunkiem tego, by Europa miała zdolność do działania w świecie". Wymaga to stworzenia wspólnego budżetu dla strefy, stanowiska ministra finansów oraz europejskiej armii. W tym kontekście DCB zaapelował też do polityków RFN, aby otworzyli się na propozycje Macrona co do wspólnego budżetu strefy euro. „Zrezygnujcie z »odruchu Pawłowa«, że odnowa europejska nie powinna nic kosztować" – zakończył polityk apelem do elit Niemiec.

Cohn-Bendit to ideolog zamiany UE z tworu ułatwiającego handel w wehikuł rewolucji cywilizacyjnej pod wodzą generacji 1968. Jego słowa wskazują, że w kręgach eurolewicy uznano, iż „polskiej rewolucji" nie da się szybko cofnąć. A to – wraz z determinacją Węgrów i częściowo Czechów – zaczyna być niebezpiecznym wzorem dla Unii, co widać już na przykładzie Austrii. Lepiej więc chirurgicznie odciąć kraje wyszehradzkie i skupić się na budowaniu eurosojuzu trzymanego mocniejszą ręką. Problem jest jeden – Niemcy muszą dać na taki eksperyment sporo kasy. W opinii Cohn-Bendita nie powinni sknerzyć, bo idea postępu Europy warta jest każdych pieniędzy.

Słowa DCB to sygnał, co chodzi po głowie lewicy skupionej wokół Macrona. Dla Adama Michnika brzmieć to musi jak zdrada i uznanie, że PiS będzie rządził długo. Uderza jedno – jak silny jest dogmat unijnej „urawniłowki". Jeśli jakiś kraj chce zachować choć margines decyzji o sprawach wewnętrznych, to musi być poddany presji. A gdy ta nie działa – trzeba się go pozbyć. Bo jedna niesforna owca może stać się złym przykładem dla reszty.

Warto słuchać lewicowego pasterza unijnego stada. ©℗

FOT. GERGELY BOTAR/AFP/EAST NEWS

WĘGRZY U BOKU POLSKI

– Jeżeli ktoś chce mocnej Europy, a Polska i Węgry tego chcą, to potrzebujemy mocnych i silnych państw członkowskich – oznajmił premier Viktor Orbán podczas konferencji prasowej po spotkaniu w Budapeszcie z szefem polskiego rządu Mateuszem Morawieckim. – To, co dziś spotyka Polskę, jutro może spotkać inny kraj. Wspólnota losów Europy Środkowej nakazuje nam stanąć u boku Polski – stwierdził premier Orbán zapytany przez TVP, co zrobią Węgry, jeśli w RE dojdzie do głosowania w sprawie nałożenia na nasz kraj unijnych sankcji. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl cd591204ac

Oddają za kamienicę przy ul. Noakowskiego

Mąż prezydent Warszawy – Andrzej Waltz – i jej córka pod koniec ubiegłego tygodnia zadeklarowali, że chcą oddać pieniądze pozyskane przy reprywatyzacji warszawskiej kamienicy przy ul. Noakowskiego 16. W pismach do Komisji Weryfikacyjnej poprosili o wskazanie numeru konta bankowego, na które mogliby przesłać pieniądze.

Chodzi o budynek, który – zdaniem Komisji Weryfikacyjnej – został w 2003 r. zreprywatyzowany z naruszeniem prawa. Komisja uznała więc, że beneficjenci tej reprywatyzacji powini oddać nienależne im świadczenia – te sięgają ok. 15 mln zł. Z tej kwoty – według szacunków – sama rodzina Hanny Gronkiewicz-Waltz zwrócić ma ok. 5 mln zł.

Andrzej Waltz podkreślił, że chce wpłacić pieniądze tylko dlatego, by nie doszło do egzekucji z jego majątku. Decyzję komisji zamierza zaskarżyć FOT. BARTŁOMIEJ ZBOROWSKI/PAP

– Potwierdzam. Jest pismo od rodziny Waltzów, że chcą zwrócić 5 mln zł. Właśnie wysyłamy im numer konta miasta Warszawy – poinformował na Twitterze wiceminister sprawiedliwości Patryk Jaki, który jest też szefem komisji. Jego zdaniem zwrot pieniędzy bez działań Komisji Weryfikacyjnej nie byłby możliwy.

Mąż prezydent stolicy – Andrzej Waltz – choć poprosił o wskazanie konta i zamierzał wpłacić pieniądze, zaznaczył jednocześnie, że z decyzją Komisji Weryfikacyjnej się nie zgadza i zamierza ją zaskarżyć. Podkreślił, że decyduje się na wpłatę jedynie dlatego, że wszczęto już wobec niego postępowanie egzekucyjne (w swoim piśmie nazwał je „bezpodstawnym przymusem”).

Komisja Weryfikacyjna pieniądze od beneficjentów bezprawnej reprywatyzacji zamierza przeznaczyć m.in. na wypłatę odszkodowań dla mieszkańców poszkodowanych przez decyzje o zwrocie nieruchomości. ©℗

Łukasz Zboralski

REKLAMA

eprasa.pl cd591204ac

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Gonić Jaruzelską

Trzecia Rzeczpospolita nigdy nie zdołała wymierzyć sprawiedliwości Wojciechowi Jaruzelskiemu. Symbolem jej niemocy pozostanie groteskowy proces w sprawie masakry grudniowej 1970 r., gdy Wysoki Sąd sam się paraliżował przesłuchiwaniem tysięcy nic niemogących wnieść świadków, a gdy i to nie wystarczyło, chorował, aż w końcu swoje zrobiła biologia.

Hańbę ostatniego ćwierćwiecza próbuje się teraz nadrobić symboliczną zemstą na córce Jaruzelskiego

Tę niewątpliwą hańbę ostatniego ćwierćwiecza usiłuje się teraz nadrobić symboliczną zemstą na córce Jaruzelskiego, odbierając jej odziedziczony po ojcu dom. Uważam, że to głupie. Jaruzelskiemu można postawić wiele zarzutów, ale akurat nie pazerności na dobra materialne. Gdyby go one choć trochę interesowały, to jego córka mogłaby dziś używać 120-metrowej willi przy Ikara jako schowka na buty, tak jak Imelda Marcos.

Problem w tym, że w ten sam sposób jak rodzina Jaruzelskich weszło w posiadanie nieruchomości na podstawie prawa PRL bardzo wiele osób. Równie dobrze można np. zażądać zwrotu mieszkania od dzieci Stefana Kisielewskiego. Bo i on dostał przecież kiedyś jako poseł na Sejm PRL apartament w luksusowej kamienicy zagrabionej przez PRL przedwojennym właścicielom (po prawdzie, Jerzy Kisielewski jest znany z niechęci do PiS, więc być może niechcący coś tu Komisji Weryfikacyjnej podpowiadam).

Jednak pozwolę sobie przypomnieć, że ta komisja miała się zajmować czym innym. Ewidentnymi przekrętami: spółkami reaktywowanymi na kolekcjonerskie akcje, kuratorami 150-latków ostatni raz widzianych w 1943 r. na rampie w Auschwitz i ofiarami „czyścicieli", bardziej doprawdy pokrzywdzonymi niż dalecy potomkowie rodziny od ponad pół wieku żyjącej w USA, których roszczenia były już przez sądy odrzucane. Goniąc Jaruzelską, niczym króliczka ze znanej piosenki, komisja rozwadnia aferę „reprywatyzacyjną" i obniża swą wiarygodność.

Czytelnik może mi wierzyć albo nie, ale znany mu (choćby z zamieszczonego niegdyś w „Do Rzeczy") wywiadu fakt osobistej znajomości z Moniką Jaruzelską naprawdę nie ma żadnego wpływu na moją opinię w tej sprawie, choć zapewne ma wpływ na zainteresowanie się nią. Kompensowanie sobie bezsilności wobec kogokolwiek spektaklem zemsty na potomkach jest niskie, i tyle. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Wszystkie kobiety Rycha

Słoneczne poznańskie lato, Stary Rynek. Ryszard Petru spotyka swojego znajomego z czasów Banku Handlowego. Obaj panowie, znany polityk i znany przedsiębiorca, postanawiają przy szklaneczce porozmawiać o polityce, ale nie bardzo im się to udaje. Petru co chwila zrywa się od stolika i z czarującym uśmiechem pozuje do słit foci z kolejną zainteresowaną zdjęciem dziewczyną. „Widzisz? Jak z celebrytą" – mówi z dumą do kolegi. „Rysiu! – ripostuje tenże. – Polityka nie na tym polega". W odpowiedzi dostaje pewne spojrzenie człowieka, który to na polityce i na kobietach zęby zjadł.

Kilkanaście miesięcy, które minęło od owego spotkania, boleśnie pokazało, że niedawna „nadzieja liberalnej lewicy" na polityce zna się tak jak na kobietach albo na kobietach jak na polityce. Wystarczyły dwa lata, by panie, którym zapewnił wygodne poselskie diety, wykastrowały go z nazwy stworzonej przez niego i wprowadzonej do parlamentu partii, a zaraz potem to ugrupowanie mu odebrały. Już chyba definitywnie – w wybranym w ubiegłym tygodniu prezydium zarządu Nowoczesnej dla Petru nie znalazł się nawet honorowy stołek.

Na szczęście dla widzów i może bardziej twórców memów to nie koniec komediowego sitcomu pod roboczą nazwą „Projekt Petru". Tylko przez 24 godziny miał szansę – jak przekonywała „GW" – zostać kandydatem na prezydenta Wrocławia. Jego złudzenia rozwiała – jakżeby inaczej! – kobieta, poseł Lubnauer, nazywając to „humbugiem".

Ryszard będzie za to pisał, jak opowiadają w Nowoczesnej, „w kontrze do Morawieckiego" – program gospodarczy. Wyborcy pamiętający, jak skutecznie Petru przekonał ich do fenomenalnego pomysłu pod nazwą „kredyt frankowy", z niecierpliwością oczekują na kolejne propozycje wyśmienitego ekonomisty. ©℗

eprasa.pl cd591204ac

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Platforma będzie tonąć – bo chce tonąć

Przedświąteczny spot PO (tak, z obowiązku zawodowego, zagryzając zęby, obejrzałem go w całości i proszę to poświęcenie docenić) każe postawić pytanie: czy to przypadek, czy może do kogoś w Platformie zaczęło jak przez mgłę docierać, że może trzeba by jednak trochę zmienić dotychczasową narrację?

Nie wiedzą państwo, o co mi chodzi? Nic dziwnego, forma tego koszmarnego, trzyipółminutowego filmiku całkowicie przyćmiła jego treść. Spot mieści się w klasie wyznaczonej przez kandydatów PSL w małych gminach w ostatnich wyborach samorządowych. W stosunku do sprawności marketingowej PO z czasów Tuska to już nawet nie regres – to cofnięcie się o całe eony. Trudno uwierzyć, że partia zgarniająca szczodre subwencje budżetowe chce zachęcić do siebie ludzi filmikiem tak skrajnie nieporadnym, że lepszy nakręciliby filmowcy amatorzy z Koziej Wólki Dolnej.

Tematy kłopotliwe dla rządzących leżą na ulicy i nie jest to walka o „wolne sądy"

Jest w tym spocie jednak coś nowego – mianowicie to, czego w nim nie było. A nie było w nim ani słowa o umacniającej się dyktaturze PiS, o zawłaszczaniu sądów ani o łamaniu konstytucji. Żaden z tych wątków, na których opozycja w postaci PO i Nowoczesnej od dawna próbuje budować swój wizerunek, w spocie się nie znalazł. Było natomiast o tym, że jest drożej niż przedtem (pamiętają państwo jeszcze słynny spot PiS z lodówką?). Czyżby w Platformie ktoś przejrzał na oczy?

Listonosz przyniósł mi polecony, a przy okazji powiedział: „Nie podoba mi się, co oni robią. Miałem firmę, liczyłem na mniej biurokracji, a tu wszedł jednolity plik kontrolny. Przed ZUS-em musiałem się schować na poczcie". Tematy kłopotliwe dla rządzących leżą na ulicy i nie jest to walka o „wolne sądy". Na razie nie podejmuje ich nikt poza ugrupowaniem Pawła Kukiza. Nie rusza ich Platforma, choć kiedyś było to jej naturalne pole działania, nawet jeśli to działanie sprowadzało się tylko do gadania. Nie rusza ich Nowoczesna, która miała być partią biznesu i liberalizmu.

Gdybym jednak miał się zakładać, to stawiałbym, że przedświąteczny spot PO jest tylko wypadkiem przy pracy. Że Platforma nadal będzie się trzymać swoich żelaznych tematów i... nadal będzie tonąć. No, ale jeśli ktoś nie chce sobie pomóc, to przecież nie można go zmuszać. Niech tonie. ©℗

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Na dobranoc – konstytucja

Jak mawiają filozofowie, najtrudniejszy jest wyścig z samym sobą. A ponieważ niedoszły kandydat na prezydenta i szef NATO słynie z żelaznej konsekwencji, podjął wyzwanie. Zachęcony aplauzem po nazwaniu premier Szydło „wrednym babsztylem", aby nie być seksistą, dorzucił jeszcze „wrednego dziadygę" w kierunku prezesa Kaczyńskiego i „agresywnego tłuka" – wymierzonego w Patryka Jakiego. Udało się. Trzy miejsca na podium maratonu chamstwa dla Radka Sikorskiego.

Zwłaszcza w przypadku najsłynniejszego blokersa IV RP powód skłania do refleksji. Otóż Jaki opowiadał u Konrada Piaseckiego o planowanych inwestycjach rządu. Tylko co z tego, że opowiadał z sensem, skoro „żaden europejski premier nawet o nich nie słyszał", a same inwestycje to „gierkowskie fanaberie PiS-u", w stylu przekopu „Mierzeji Wiślanej" (sic!) czy budowy Centralnego Portu Lotniczego? Kupiłby ten reżym jakieś pociągi za miliony z niedziałającym Wi-Fi albo śmigłowce, które trafiłyby do zagranicznego serwisu. Wtedy niejeden premier by usłyszał. A może nawet, zamiast uruchamiać art. 7, poklepałby po plecach?

Generalnie nie mają lekko światowcy w polskiej szaroburej polityce. „Prezydent Reagan interweniował, by ratować Polskę przed autorytaryzmem. Trump powinien zrobić to samo" – tweetnęła Dorota Wysocka-Schnepf. Chodziło o tekst z „Foreign Policy", ale pani ambasadorowa nie omieszkała dodać, że po cichu liczy, iż „Ameryka może uchronić Polskę przed nią samą". Wszystko fajnie. Tylko kto uratuje odstawione na bocznicę elity III RP? Same siebie za włosy z bagna przecież nie wyciągną.

Skoro jest tak źle, to nadzieja jedynie w europejsko wychowanym młodym pokoleniu. „Usypiam Helenkę, lat 4. Odłożyłam na półkę Konstytucję, o której wcześniej jej mówiłam. Po czym słyszę: Mamaaa, gdzie jest ta książka o Polsce? #KONSTYTUCJA" – napisała Alicja Cichoń, związana z PO działaczka opozycyjna. Gdyby tylko wszyscy rodzice podchwycili model wychowawczy, przy kaszce czytając o Sądzie Najwyższym, a w drodze do przedszkola opowiadali o KRS, ile więcej pracy miałby... rzecznik praw dziecka. ©℗

eprasa.pl cd591204ac

MAJDANY Z LODÓWKI

Jak wiadomo, Małgorzata i Radosław Majdanowie od jakiegoś czasu brali udział w tajnym projekcie, który wiosną ma się pojawić na antenie TVN. Teraz nadszedł czas promocji programu, więc para postanowiła poopowiadać o swoim show. – Byliśmy w różnych częściach świata, nie wiedzieliśmy, gdzie jedziemy, do tego stopnia, że kwestią garderoby zajmował się stylista, który nas pakował – opowiadała w telewizji śniadaniowej Małgosia. I dodała zachęcająco: – Ten program to kopalnia cytatów.

Na pytanie prowadzącego, gdzie jest granica, za którą Majdanowie nie wpuściliby telewizyjnych kamer, Małgorzata nieco się obruszyła. – Nie pokazujemy domu, dzieci. Często jest nam proponowane, żebyśmy wpuścili do domu kamery, pokazali, jak mieszkamy – odpowiedziała, zapominając chyba o połowie zdjęć, które sama wrzuca do sieci. – My nie mamy przesadnego poczucia ekshibicjonizmu – stwierdziła. Wy może nie macie, ale mają je ci, którym codziennie wyskakujecie z lodówki. Czyli wszyscy.

CO KTO MA W GENACH

W natłoku świąteczno-noworocznych wydarzeń zupełnie umknęły nam jakże warte odnotowania refleksje Pauliny Młynarskiej, która postanowiła opisać, jak bardzo nie znosi świąt Bożego Narodzenia. Dlaczego? Bo „są w naszej kulturze totalną i bezwstydną eksplozją ego". I zaczęło

FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

się wyliczanie: „światełka żrące prąd, dręczenie karpi i siebie nawzajem, zarzynanie zwierząt, aby napchać brzuchy ponad wszelką miarę, konsumpcja plastikowego badziewia (zabawki) zaśmiecającego Ziemię, fochy, bo ktoś znowu nie jest taki, jak JA »kcem« aby był, wykluczanie »czarnych owiec« z rodzinnego kręgu itd.". Pani Paulina tym razem źle wyczuła klimat, bo święta to jednak także dla większości jej fanów rzecz święta. Posypały się więc krytyczne komentarze, a pani Paulina szybko postanowiła posypać głowę popiołem. „Nie gniewajcie się na mnie za moje czasem aż nazbyt ostre piórko" – zaapelowała. „Staram się je temperować jak mogę, ale z gienem nie wygrasz". Rzeczywiście, gen autodestrukcji u pani Pauliny wyjątkowo często daje o sobie znać.

FOT. PAWEŁ CIONKADA

CZASEM, CZYLI CZĘSTO

Aktor Zbigniew Zamachowski, ostatnio występujący w kolorowych mediach głównie jako mąż Moniki Richardson, udzielił wywiadu, w którym wyznał, że nie czytuje tabloidów ani kolorowej prasy, a tym bardziej komentarzy na swój temat. Wytłumaczył, że „niezbyt dobrze zna się na Internecie". – Nie przyjmuję tej rzeczywistości do wiadomości. Nie zaglądam też do żadnych komentarzy na portalach plotkarskich. Nie chcę sobie psuć humoru. Według mnie jest masa sfrustrowanych ludzi, którzy leczą w ten sposób swoje kompleksy – stwierdził. Co ciekawe, powiedział też, że jego zdaniem „żona niezwykle rzadko wypowiada się na prywatne tematy". – Czasem ją temperament zagoni i coś bąknie, co ma szalone reperkusje, jest cytowane, mielone przez dłuższy czas – dodał. Czasem?! Cóż, może to i lepiej, że pan Zbyszek nie zagląda do tych tabloidów i na portale.

KAZIK I DOBRA ZMIANA

Do porannej audycji radiowej w RMF FM prowadzonej przez Roberta Mazurka przyszedł muzyk Kazik Staszewski. Przyszedł i – o zgrozo! – powiedział, że nie czuje, aby jego wolność była zagrożona. – Ja się nie mogę zdecydowanie opowiedzieć po tej czy po innej stronie, ponieważ ja bym chciał, żeby jakakolwiek władza w jak najmniejszym stopniu przeszkadzała

FOT. JAKUB WOSIK/REPORTER

mi w życiu – odpowiada Kazik. Dodał jednak, że docenia fakt przywrócenia artystom ulgi podatkowej. – To mocno odczuwalne w kieszeni – ocenił. – Obecna władza nie przeszkadza mi bardziej niż poprzednia – stwierdził. „Gazeta Wyborcza" natychmiast uznała, że Kazik wspiera dobrą zmianę, a poprzednia władza w osobie Rostowskiego Jana Vincenta uznała, że Kazik jest żenujący. Po takich zachętach artyści mogą naprawdę zacząć przychylniej patrzeć na PiS! ©℗

eprasa.pl cd591204ac

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, ostatnia sytuacja z turystami, którzy w dramatycznych okolicznościach utknęli na drodze do Morskiego Oka (było ciemno i zimno), dokładnie pokazuje, jak w tym kraju traktowane są problemy zwykłych obywateli.

No bo czy taki Mariusz albo Edyta, którzy na co dzień spędzają po kilkanaście godzin w klimatyzowanym biurowcu z zaciągniętymi roletami, mają obowiązek pamiętać, o której godzinie w grudniu robi się ciemno? Czy mają w ogóle potrzebę zaprzątać sobie głowę takimi sprawami? Poza tym – sorry – nie po to osoba ma do dyspozycji w wielkim ośrodku system wypożyczalni rowerów miejskich, komunikację miejską czy nawet czasami w skrajnych przypadkach samochód, aby potem chodzić pieszo kilka kilometrów. Chodzić to można na bieżni w fitness clubie, popijając koktajl z jarmużu i nasion chia.

A to wszystko jeszcze odbyło się w eskorcie policyjnych radiowozów. Niejedna osoba musiała pewnie przez to rezerwować dodatkową sesję u psychoterapeuty, iżby zracjonalizować sobie te lęki.

Pisząc dla Was ten odcinek naszej rubryki, nie wiemy jeszcze, czy Kamil Stoch wygra Turniej Czterech Skoczni, zostawiając w pokonanym polu m.in. reprezentantów Niemiec, Austrii oraz innych krajów zjednoczonej Europy.

Musimy się jednak odnieść do rozdmuchanej „afery" związanej z wersją hymnu tego kraju, jaki Stochowi odegrano po zwycięstwie w Garmisch-Partenkirchen. Otósh wielu osobom, także – co odnotowujemy ze zdziwieniem – z obozu postępu, ona się nie spodobała. Naszym zdaniem natomiast Niemcy wcale nie mają obowiązku wiedzieć, jak powinien brzmieć hymn tego kraju. Rozumiemy też, jak nieprzyjemne musi być dla nich odgrywanie go na własnym terenie.

Recepta jest prosta. Wystarczy wyzwolić współczesny sport z narodowych naleciałości, wówczas nie będzie takich niewygodnych dla Niemców sytuacji i wszyscy będą mieli świecki spokój, jedynie wąsate janusze nie będą wiedziały, na materiale jakiego koloru namalować nazwę swojego podkarpackiego małego ośrodka, z którego przyjechali, aby dopingować skoczków tego kraju.

Jesteśmy strasznie wkurzeni, iż okazało się, iż w sobotę znów przypadło święto Sześciu Króli i nie mogliśmy pojechać do galerii handlowej i kreatywnie spędzić wolnego czasu na poszukiwaniu najciekawszych wyprzedaży. W zamian za to ten kraj zaoferował nam kolejny w ostatnich tygodniach churching i oglądanie przez okno moherów idących do kościoła.

Rozżaliliśmy się trochę, iż w nowoczesnej Europie nie byłoby to do pomyślenia. Tylko w tym kraju ciągle jest jak w jakimś skansenie.

Kochani, a czy wiecie, że jeśli w wyrazach

MATEUSZ MORAWIECKI

poprzestawiacie kilka liter, kilka odejmiecie i kilka dodacie, to wyjdzie

JAROSŁAW KACZYŃSKI?

Sprawdzone, działa w każdym przypadku!!!111 Nie dajcie się oszukać dobrej zmianie!!!11 ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

eprasa.pl cd591204ac

dwaj panowie g

Zibi i Mateusz jeszcze przed świętami wynegocjowali pakt o nieagresji, więc wycinka SolPolu z rozmaitych miejsc nie jest przewidywana

Jesteśmy oburzeni, że Fransy Timmermansy i inne Guye uruchomiły przeciw Polsce artykuł siódmy czegoś tam europejskiego. Dlaczego tylko siódmy? Dlaczego nie także pierwszy, drugi, piąty i piętnasty? Polska to wielki kraj i zasługuje na wiele artykułów. Jednym to się może zadowolić Luksemburg. Uprzedzamy jednak Guyów – czasy, kiedy każdy artykuł z importu był w Polsce synonimem dobrej jakości, dawno już minęły.

Niecierpliwych fanów rekonstrukturyzacji rządu informujemy, że to nieprawda, jakoby nic się w tej sprawie przez parę tygodni nie działo. Otóż działo się – na niższych szczeblach, od dyrektorów w kancelarii premiera w dół działo się, i to sporo, gdyż jedni nieznani PiS-owcy byli zastępowani przez innych nieznanych PiS-owców. Nazwiska nic państwu nie powiedzą, ale my – owszem.

Ponieważ żyjemy w świecie rządzonym przez media, kluczowe stanowisko rządowe to szef Centrum Informacyjnego Rządu. Wieść po mieście niesie, że ma nim zostać PR-owiec Tomasz Fill. A nawet gdyby nie został, to biorąc pod uwagę to jak długo współpracuje z premierem Mateuszem, i tak de facto nim będzie.

Spotkaliśmy też przy okazji rekonstrukturyzacji ludzi bardzo szczęśliwych. Na przykład Bełatę Kempę. Jest ona szczęśliwa, bo nie tylko została w rządzie, ale nawet ma trochę ważniejsze stanowisko niż do tej pory. Chyba nie będzie to koniec sukcesów SolPolu (przypominamy, że tak zwiemy Solidarną Polskę). Tak się bowiem składa, że Zibi i Mateusz jeszcze przed świętami wynegocjowali pakt o nieagresji, więc wycinka SolPolu z rozmaitych miejsc nie jest przewidywana. A wręcz przeciwnie.

Bardzo ucieszyła nas wizyta premiera Mateusza na Węgrzech. Zobaczyliśmy bowiem u jego boku nowego ministra – Suskiego Marka, który szczerzył zęby między Srebrnym Lisem Dyplomacji a wiceministrem Kondziem Szymańskim. Cieszy nas wzlot Suskiego Marka nie tylko dlatego, że trochę więcej sobie polata. Przede wszystkim dlatego, że uważamy, iż w rządzie potrzebny jest ktoś, kto ma poczucie humoru. A Suski Marek je posiada. W odróżnieniu od Srebrnego Lisa.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Apropos Lisów. Jesteśmy zaskoczeni brutalnym atakiem bratanka Viktora Orbána, który oświadczył, że Europa Środkowa chce żyć bez niemieckich pieniędzy. Bo przecież nie cała. Tomek Lis na przykład żyje z niemieckich pieniędzy, i to całkiem dobrze. Żył kiedyś z polskich, ale z TVP wyrzucił go dawno temu prezes z nadania PeŁo. Co prowadzi ku zaskakującej puencie: przesunięcie wysokich kosztów utrzymania Tomka z Polski na Niemcy było najostrzejszym antyniemieckim wystąpieniem w dziejach PeŁo.

Ponieważ człowiek uczy się całe życie, z uwagą śledziliśmy cykl wykładów amerykańskiego profesora Milana Vego (U.S. Naval War College w Newport) na Akademii Sztuki Wojennej. Gość z USA tłumaczył, że jest pewien problem z Niemcami. Otóż są największym zagrożeniem dla Europy, bo wcześniej czy później wywołają kolejną wojnę. Proszę sobie wyobrazić miny wszystkich słuchaczy, których uczył wcześniej różnych rzeczy gen. Staszek Koziej.

Profesor Vego, prywatnie przemiły człowiek, opowiadał też w kuluarach dowcipy. Jeden z nich dowodzi, że docenia on wagę zagrożeń innych niż niemieckie. Ponieważ nie chcemy wywołać skandalu dyplomatycznego, nie będziemy powtarzać dowcipu dosłownie. Zdradzimy jedynie, że dotyczy on kwestii konfrontacji z Niemcami i Rosjanami oraz rozważań na temat tego, co jest w tym przypadku wyrachowaniem, a co przyjemnością.

Źli ludzie na mieście plotkują, że Jacek Kura-Kurski będzie nosił koronę króla TVP jedynie do maja. A potem

eprasa.pl cd591204ac

już nie będzie nosił. Premier Mateusz marzy bowiem o nieco innej telewizji. Czyli jak wszyscy Polacy: marzą, marzą, marzą, a potem wychodzi jak zwykle.

Przy okazji – koledzy z redakcji pytali nas, czy nie moglibyśmy napisać czegoś ciekawego o „Koronie królów". Zastanawialiśmy się bardzo długo i jedyne, na co wpadliśmy, to to, że faceta, który jest królem, gra tam gość nazwiskiem Król. Wiemy, że nie jest to żart wysokich lotów. Dlatego do serialu pasuje jak ulał.

Apropos innych sukcesów TVP – dementujemy informację, jakoby Kura-Kurski odkrył Amerykę, sięgając po Sławomira, którego zaprosił na sylwestrową scenę w Zakopanem. Otóż pierwszym odkrywcą talentu Sławomira był Władek Kosiniak-Kamysz. Nasz zielony brat już od dawna powtarzał, że Sławomir jest OK.

Dla tych, którzy czują się nieusatysfakcjonowani alkoholowo po sylwestrze, mamy ważną wiadomość. Umówcie się na szklaneczkę z Tomkiem Siemoniakiem. Z imprezy sylwestrowej na Podlasiu przywiózł bardzo dobrą nalewkę o smaku białej porzeczki. I bardzo sobie chwali.

Apropos PeŁo i Polski Wschodniej – gromada działaczy PeŁo odeszła z partii, argumentując, że partia nie interesuje się Terespolem. Nie przekonuje nas ta argumentacja. Bo jak niby partia ma się przejmować jakimś miastem, o którym nie wie, gdzie jest?

Z drugiego końca Polski. Książę zachodniopomorski Stasiu Gawłowski, którego CBA podejrzewa o przyjęcie w charakterze wziątki dwóch zegarków Tag Heuer, prezentuje w necie zdjęcia, które mają dowodzić, że nosił taki zegarek już wcześniej. To prawda. Miał szczególną słabość do tego modelu. Jego kumpel Neumann biada zaś, że CBA zarekwirowało Stasiowi serwis. Może Stasiu mu nie powiedział, że ten serwis to była wziątka? Od siebie dodajemy, że zarówno serwis, jak i zegarki (a także praca doktorska będąca plagiatem napisanym przez murzyna z tytułem profesorskim) to najmniejsze z zarzutów. Jak to się mówi – waciki.

W resorcie Srebrnego Lisa Dyplomacji też zegarkowa panika. Dawniejsza szefowa gabinetu u Cimoszewicza, a obecnie ambasador przy ONZ, oraz jej podwładni zapomnieli zgłosić do rejestru korzyści zegarki otrzymane od arabskich szejków. Najdroższy miał wartość 40 tysiów złotych polskich. Problem polega na tym, że wolno przyjmować podarki o wartości do 100 euro. Ewentualnie w wyjątkowych przypadkach także i droższe, ale wtedy trzeba je zgłosić oraz przekazać do centrali. Panika jest niemała, bo CBA, jak nie od dziś wiadomo, jest bardzo wyczulone na zegarki.

Jest i inny powód paniki w gmachu przy Szucha. Odpowiednie służby podejrzewają, że część certyfikatów językowych poświadczających znajomość języka lengłydż to zwykła lipa – albo zostały sfałszowane, albo poświadczają nieprawdę. Mają wspólny mianownik. Wszystkie zostały wydane za minionego reżimu PeŁo i wszystkie zostały wydane przez wojsko. Rodzi to oczywiście pewnego rodzaju podejrzenia. Ale jakie, to już się sami musicie domyślić.

Na koniec spóźniona refleksja świąteczna. Otóż na kartce, którą dostaliśmy z okazji Bożego Narodzenia od filaru Eine Totalopposition, czyli klubu parlamentarnego PeŁo, była, jak należy, Święta Rodzina. Tymczasem na kartce od Nowoczesnej Kropki były tylko niebieskie bombki. Prawdziwa jest więc teza o skręcie Nowoczesnej na lewo. ©℗

Odpowiednie służby podejrzewają, że część certyfikatów językowych poświadczających znajomość języka lengłydż to zwykła lipa – albo zostały sfałszowane, albo poświadczają nieprawdę

eprasa.pl cd591204ac

Wirujący przetarg

ŚLEDZTWO DO RZECZY

eprasa.pl cd591204ac

Caracale miały trafić na wyposażenie polskiej armii. Niedawno Francja ujawniła, że ma z nimi problem – przez drogie koszty napraw większość śmigłowców francuskiej armii jest uziemiona FOT. GEORGES GOBET/AFP/EAST NEWS

Wojciech Wybranowski

Rząd PO-PSL prowadził przetarg bez analizy dotyczącej potrzeb wojska, a przebieg postępowania rodzi pytania o polityczno-biznesową ustawkę

Podjęcie negocjacji na dostawę śmigłowców typu Caracal bez woli jej zawarcia – takie zarzuty koncern Airbus Helicopters chce postawić polskiemu rządowi w procesie przed międzynarodowym trybunałem arbitrażowym w Sztokholmie. Chodzi o zerwanie postępowania rozpoczętego jeszcze w 2012 r. przez rząd PO-PSL. W jego wyniku Polska miała zapłacić francuskiemu przedsiębiorstwu 13,4 mld zł za dostawę 50 śmigłowców Caracal. „Dziennik Gazeta Prawna" ujawnił, że pismo od Airbusa trafiło już do kancelarii premiera.

Jesienią 2016 r. Polska ogłosiła, że kończy negocjacje z Airbus Helicopters bez podpisania umowy. Przedstawiciele polskiego rządu mówili wówczas o niemożliwości zawarcia ze stroną francuską porozumienia dotyczącego oferty offsetowej, z kolei przedstawiciele Airbus Helicopters przekonywali, że ich oferta spełnia z naddatkiem wymagania Polski.

Sprawa wywołała międzynarodową polityczną burzę – ówczesny prezydent Francji François Hollande odłożył wizytę w Polsce, zaś opozycja i bliskie jej media niemal murem stawały w obronie interesów koncernu, oskarżając rząd o psucie stosunków polsko-francuskich. Dwanaście miesięcy wiadomo już, że sprawa zamówienia helikopterów jest jedną z największych afer rządu PO-PSL.

Od jesieni 2016 r. śledztwo w sprawie kulisów przetargu na caracale prowadzi Prokuratura Regionalna w Szczecinie. Śledczy badają m.in., czy doszło do niedopełnienia lub przekroczenia uprawnień przez pracowników MON w okresie rządów PO-PSL odpowiedzialnych za przeprowadzenie przetargu na śmigłowce wielozadaniowe dla wojska oraz czy mogło dojść do przyjęcia korzyści w celu przygotowania oferty w taki sposób, by spełniała oczekiwania jednego z oferentów. W styczniu 2017 r. funkcjonariusze CBA zabezpieczyli dokumenty w spółkach PZL Mielec i PZL-Świdnik, a także w Ministerstwie Rozwoju.

– Postępowanie nadal toczy się w sprawie. Z uwagi na jego dobro nie udzielamy żadnych informacji – słyszymy od prok. Iwony Chrobak-Farquharson, rzecznik prasowej Prokuratury Regionalnej w Szczecinie.

Tygodnikowi „Do Rzeczy" udało się dotrzeć do informacji i materiałów, które uzasadniają stawianie pytania – czy cały przetarg na śmigłowce nie był ustawką, którą miał wygrać jeden, wybrany w kuluarach kontrahent i jaką rolę mogli w tym odegrać prominentni politycy Platformy Obywatelskiej.

ANALIZY, KTÓRYCH NIE MA

Przetarg na dostawę na potrzeby polskiego wojska Inspektorat Uzbrojenia MON ogłosił 29 marca 2012 r. Dotyczył 26 śmigłowców, w tym: 16 sztuk wielozadaniowo-transportowych dla Wojsk Lotniczych, trzech śmigłowców do poszukiwań i ratownictwa dla Sił Powietrznych RP, trzech poszukiwawczo-ratowniczych dla lotnictwa Marynarki Wojennej oraz czterech przystosowanych do zwalczania okrętów podwodnych. W pakiet zamówienia miały wchodzić też logistyka do śmigłowców oraz system szkolenia.

Pierwsze wątpliwości dotyczą już samej liczby zamawianych śmigłowców. Dlaczego zamierzano kupić akurat 26 sztuk? Jak wynika z informacji „Do Rzeczy", przed ogłoszeniem przetargu w MON nie przeprowadzono profesjonalnych analiz i symulacji dotyczących zaopatrzenia wojska w śmigłowce wielozadaniowe, stanu technicznego obecnie funkcjonujących w wojsku oraz potrzeb związanych z rozwojem polskiej armii.

– To nieprawda. Oczywiście sztab generalny przeprowadzał analizy, te badania trwały od lat. Wiedzieliśmy, kiedy trzeba będzie kupić nowe śmigłowce, zwłaszcza te dla wojsk specjalnych i ratownicze. To wszystko było szczegółowo przeanalizowane – przekonuje były szef resortu obrony narodowej Tomasz Siemoniak w rządzie PO-PSL, jedna z osób odpowiedzialnych za przeprowadzenie przetargu.

Jednak, jak twierdzą nasi informatorzy, w MON nie ma nawet śladu po dokumentach, które wskazywałyby, że takie analizy przeprowadzono. Może to wskazywać, że decyzja o zakupie zapadła pod wpływem grup lobbingowych lub politycznych nacisków.

Potwierdzać to może fakt, że liczba śmigłowców, które miały trafić do pol-

13,4 mld zł

TYLE MIAŁA ZAPŁACIĆ POLSKA KONCERNOWI AIRBUS HELICOPTERS ZA DOSTAWĘ 50 ŚMIGŁOWCÓW DLA WOJSKA

eprasa.pl cd591204ac

Decyzja o zakupie śmigłowców okazała się jedną z największych afer rządu PO-PSL. Na zdjęciu ówczesny prezydent Bronisław Komorowski, ówczesny premier Donald Tusk oraz ówczesny szef MON Tomasz Siemoniak FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

skiego wojska, zaczęła się nagle zmieniać i to już po ogłoszeniu przetargu, do którego zakwalifikowano: S-70 Black Hawk (produkowane przez konsorcjum Sikorsky International Operations Inc., Sikorsky Aircraft Corporations oraz PZL Mielec sp. z o.o.), AW 149 (AgustaWestland i PZL-Świdnik SA) oraz Caracal (konsorcjum Eurocopter SA – obecnie Airbus Helicopters).

26 września 2012 r. ówczesny premier Donald Tusk zapowiedział, że MON zakupi aż 70 śmigłowców. Wskazał też datę pierwszej dostawy – 2014 r. Niedługo później, 1 października 2012 r., ówczesny szef MON Tomasz Siemoniak przekazał dane rozszerzonego podmiotu zamówienia. Nowe wymagania, jakie przedstawiono oferentom, dotyczyły 70 śmigłowców W resorcie obrony narodowej nie ma jednak śladu analiz, które uzasadniałyby zwiększenie zamówienia.

Tygodnik „W Sieci" pisząc o wątpliwościach dotyczących „przetargu na caracale", przytoczył m.in. anegdotkę, zgodnie z którą za większe zamówienie miał ponoć nieświadomie ponosić odpowiedzialność były prezydent Bronisław Komorowski. Według tygodnika w 2012 r. do Belwederu miał trafić list od ówczesnego właściciela Sikorsky Aircraft Corporation, w którym zaproponowano sprzedaż śmigłowców UH-70 produkowanych w Mielcu. Zdaniem informatora gazety Komorowski uznał, że liczebnik w nazwie Black Hawka oznacza liczbę śmigłowców, którą koncern będzie w stanie dostarczyć Polsce. I dlatego miał polecić zwiększenie zamówienia.

Według informatorów „Do Rzeczy" prawda jest jednak zdecydowanie bardziej złożona. – Wymagania przetargowe zostały przygotowane tak, że żaden z oferentów ich praktycznie nie spełniał – opowiada nasz rozmówca. – Zaczęto je więc modyfikować tak, że tylko oferta „caracalowa" mogła je spełnić. Tyle że wtedy okazało się, iż budżet przeznaczony na zakup śmigłowców został przekroczony prawie dwukrotnie. Przerzucono więc środki z innych części budżetu, co może być traktowane jako naruszenie ustawy o finansach publicznych. A kiedy okazało się, że i tak na 70 sztuk nie wystarczy pieniędzy, obniżono liczbę zamawianych śmigłowców do 50.

Według naszych informatorów ani AgustaWestland, ani konsorcjum Sikorsky nie otrzymały informacji o zmianach warunku zamówienia. W ten sposób tylko Francuzi byli w stanie je spełnić. Gwałtownie wzrosła też kwota zamówienia. Początkowy koszt 70 śmigłowców miał wynieść 9 mld zł. Po wybraniu w 2015 r. oferty Francuzów okazało się, że za 50 caracali Polska miała zapłacić 13 mld zł.

JAK MODELOWANO WARUNKI

W lobbing na rzecz caracali mocno angażował się były prezydent Bronisław Komorowski. – To nie jest czas, żeby kupować sprzęt gorszy, ale nasz – przekonywał w jednym z wywiadów w 2015 r. Kilkanaście dni później poinformował już oficjalnie, że Polska odrzuca oferty Amerykanów i AgustaWestland, a do kolejnego etapu negocjacji przechodzi wyłącznie producent caracali. Jak informował ówczesny wiceszef MON Czesław Mroczek, konkurenci francuskiego koncernu „nie spełnili wymogów formalnych".

Czy byli w stanie rywalizować z Airbus Helicopters? Wiele wskazuje na to, że nie. Konkurenci francuskiego przedsiębiorstwa nie tylko nie byli informowani o zmianach warunków zamówienia, lecz także warunki te – jak sugerują nasi informatorzy – mogły być modyfikowane tak, by odpowiadać francuskiej ofercie. W jaki sposób to robiono? Na przykład ustawiając wąski zakres wymagań dotyczących masy startowej

eprasa.pl cd591204ac

FOT. PIOTR BŁAWICKI/EAST NEWS

śmigłowca na nieco ponad 11 ton. Taki parametr był w stanie spełnić tylko EC-725 Caracal. Masa startowa S-70i to maksymalnie 9200 kg, śmigłowca AW-149 – 8600 kg, zaś EC-725 Caracal – 11 200 kg. Jednocześnie już w trakcie trwania przetargu dokonano zmiany klauzuli poufności treści etapów postępowania przetargowego z „zastrzeżone" na „tajne", co praktycznie uniemożliwiło oferentom porównanie wszystkich warunków. A do propozycji Francuzów podchodzono nader życzliwie.

– Część maszyn miała trafić do zwalczania okrętów podwodnych. Tymczasem Caracal nie jest śmigłowcem morskim i nie był testowany w Polsce nad morzem, a jego działanie sprawdzano w warunkach symulowanych – opowiada jeden z naszych informatorów. Jak? Takie śmigłowce muszą mieć specjalne wyposażenie. Zbadano masę takiego wyposażenia i w symulacji dociążono tak caracala. Uznano, że wszystko będzie w porządku.

Zamówienie zostało też zmodyfikowane, gdy okazało się – jak twierdzą nasi informatorzy – że EC-725 Caracal nie ma tylnej rampy umożliwiającej desantowanie żołnierzy ani składanej belki ogonowej umożliwiającej bazowanie maszyny na okrętach NATO.

Decydując o wybraniu oferty francuskiej, zignorowano również to, że parametry kamer termowizyjnych caracali nie odpowiadają wymogom zapisanym w zamówieniu. W sumie – jak twierdzi nasze źródło w MON – warunki przetargu na śmigłowce były modyfikowane co najmniej kilka razy i zawsze w sposób, który odpowiadał ofercie Airbusa.

– Jeśli były wprowadzane zmiany w procedurze, to tylko na wniosek oferentów i miały charakter techniczny – twierdzi Siemoniak. – Oferenci złożyli 800 szczegółowych pytań. Nie została wprowadzona żadna zmiana na niekorzyść któregokolwiek z oferentów. Gdyby było inaczej, sąd by się do tego odniósł. Nie wprowadzono też żadnych zmian, które by premiowały caracale. Tą sprawą rząd PiS zajmował się przez rok. Gdyby były jakiekolwiek nieprawidłowości, Macierewicz przeprowadziłby do tej pory z 10 konferencji prasowych na ten temat – przekonuje były szef MON.

Sąd, o którym mówi polityk PO, zajmował się sprawą przetargu na śmigłowce na wniosek Krzysztofa Krystowskiego, prezesa PZL-Świdnik i wiceprezesa Finmeccanica Helicopter Division. – Złożyliśmy wniosek do sądu o zamknięcie postępowania ze względu na naruszenie, w naszym przekonaniu, wielu istotnych reguł obowiązującego prawa. Wskazywaliśmy, że jedynym rozwiązaniem w takiej sytuacji jest zamknięcie postępowania bez wyboru zwycięzcy – mówi „Do Rzeczy" prezes Krystowski.

Reprezentowana przez niego firma wskazała 12 poważnych naruszeń prawa w postępowaniu przetargowym. Nasz rozmówca zaznacza, że ze względu na tajność postępowania nie o wszystkich może mówić. Wskazuje jednak na wybór oferty, która tak dalece przekraczała środki finansowe dostępne na zakup śmigłowców, wprowadzanie zmian zasad czy zakresu postępowania przetargowego na jego bardzo późnym etapie i naruszenie przepisów dotyczących offsetu. Mówi też, że jego firma za rządów PO-PSL wielokrotnie alarmowała podległy Siemoniakowi Inspektorat Uzbrojenia MON o nieprawidłowościach, ale nie doczekała się żadnej reakcji.

Prawdą jest, że sąd odrzucił wniosek PZL-Świdnik o zakończenie postępowania. Jednak nie badał w sposób merytoryczny postawionych we wniosku zarzutów dotyczących nieprawidłowości. – W pierwszej instancji sąd oddalił wniosek, nie rozpatrując argumentów merytorycznych – mówi prezes Krystowski. – Uzasadnienie, jakie otrzymaliśmy, dowodziło, że nie można domagać się zamknięcia postępowania przed jego zakończeniem, ale możemy poczekać na jego zamknięcie, wybór zwycięzcy i wówczas domagać się odszkodowania. Oczywiście odwołaliśmy się od tej decyzji, ale ponieważ za rządów PiS doszło do zamknięcia postępowania bez wyboru zwycięzcy, wycofaliśmy pozew jako bezprzedmiotowy. W praktyce nastąpiło dokładnie to, czego domagaliśmy się od sądu – dodaje.

WĄTPLIWE ROZMOWY OFFSETOWE

Rząd PiS, ogłaszając zakończenie rozmów z Airbus Helicopters, argumentował to niekorzystną ofertą offsetową, jaką mieli przedstawić Francuzi. W zasadzie przyjmuje się, że offset powinien dotyczyć takiej kwoty, na jaką opiewa wartość przetargu – czyli w przypadku zakupu śmigłowców na 13 mld zł. Francuzi przekonują, że ich propozycja była nawet wyższa. To też ma być jeden z argumentów przed międzynarodowym sądem arbitrażowym.

– Oferta offsetowa, którą przygotowali Francuzi, opierała się na starej ustawie

eprasa.pl cd591204ac

offsetowej, która niestety pozwalała na manipulowanie mnożnikami. Przedstawiciele francuskiego konsorcjum wszędzie, gdzie mogli, ustawili najwyższe mnożniki, czyli „razy pięć". Kiedy Ministerstwo Rozwoju zaczęło te zapisy weryfikować, okazało się, że w praktyce offset opiewałby na kwotę zbliżoną do 6 mld zł, no może 7 mld zł, na pewno nie na równowartość 13 mld zł – twierdzi nasze źródło z otoczenia premiera Mateusza Morawieckiego.

Sprawą zajmowała się sejmowa Komisja Obrony Narodowej. – Kluczowym wnioskiem, do jakiego doszła, było to, że w praktyce Francuzi nie byli w stanie spełnić wymagań offsetowych – mówi nam poseł Michał Jach (PiS), przewodniczący komisji. Ten były wojskowy dodaje też, że cała sprawa budzi jego zdziwienie, ponieważ wymagania offsetowe zostały sformułowane już na etapie przygotowywania konkursu, a więc w 2015 r., kiedy zdecydowano o wyborze caracali, były zdefiniowane i znane decydentom. – O tym, że Francuzi nie są w stanie zrealizować wymagań umowy offsetowej, to ja z Ministerstwa Gospodarki miałem informacje jeszcze w sierpniu 2015 r., kiedy rządziła PO – twierdzi poseł Jach. – Byłem zdziwiony, że tak długo trwały te negocjacje, do wiosny 2016 r., skoro należało je zakończyć i ogłosić przetarg od nowa, a nie wybierać w kwietniu 2015 r. firmy, która wymogów offsetowych nie spełnia.

Śledztwa korupcyjne dotyczące koncernu produkującego śmigłowce prowadzone są we Francji i w Wielkiej Brytanii. Także Kuwejt sprawdzi kulisy zamówienia 30 caracali

Groźba pozwania Polski przez Airbus Helicopters pojawiła się w momencie, w którym producent caracali boryka się z poważnymi problemami. Pod koniec grudnia Kuwejt ogłosił, że zlecił przeprowadzenie śledztwa w sprawie opiewającej na ponad 1 mld euro umowy z producentem samolotów Airbus na dostarczenie siłom powietrznym Kuwejtu 30 wojskowych śmigłowców wielozadaniowych H225M Caracal. Kuwejt złożył zamówienie w sierpniu zeszłego roku, teraz premier Dżabir Mubarak al-Hamad as-Sabah i jego współpracownicy chcą sprawdzić, czy nie doszło przy tym zamówieniu do korupcji.

To niejedyny przypadek, gdy podejrzenia korupcyjne towarzyszą aktywności francuskiego producenta śmigłowców. Śledztwa korupcyjne dotyczące tej firmy prowadzone są w Wielkiej Brytanii i we Francji. Jak informował „Puls Biznesu", w lutym ubiegłego roku władze Austrii pozwały Airbusa, zarzucając mu wprowadzenie w błąd w związku z zawartym w 2003 r. kontraktem wartości ponad 2 mld euro na dostawę samolotów Eurofighter.

Również w grudniu minister ds. sił zbrojnych Francji Florence Parly ogłosiła, że dojdzie do reorganizacji obsługi technicznej sił powietrznych, bo ponad połowa śmigłowców francuskiego wojska, w tym caracali, nie lata, bo ich naprawy kosztują zbyt drogo.

Współpraca: Maciej Pieczyński

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Prestige MJM 10 lat · DoubleTree by Hilton Kraków · RMF · RMF MAXXX · wprost · Do Rzeczy · STYL · PANI · T3 · Multikino · WP · cgm.pl · empik · 4TV · VIXON

eprasa.pl cd591204ac

Z Rafałem Chwedorukiem, politologiem, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego
rozmawia Wojciech Wybranowski

Eksperyment Kaczyńskiego

FOT. DAREK GOLIK/FORUM

eprasa.pl cd591204ac

WOJCIECH WYBRANOWSKI: W rok 2018 PiS wchodzi z nowym premierem Mateuszem Morawieckim i decyzją Komisji Europejskiej o uruchomieniu przeciw Polsce art. 7 Traktatu o UE. Budowa nowych relacji ze starą Unią będzie największym wyzwaniem partii rządzącej w nowym roku?

PROF. RAFAŁ CHWEDORUK: Nie ulega wątpliwości, że sprawy międzynarodowe mogą zacząć odgrywać w polskiej polityce większą rolę niż w minionych kilkunastu miesiącach. Stanie się tak z dwóch powodów: po pierwsze – zewnętrznych. Widzimy wyraźnie, że UE w obecnym kształcie nie jest w stanie dłużej funkcjonować, brexit był ostatnim dzwonkiem alarmowym, a główni gracze Unii muszą podjąć strategiczne decyzje co do kierunków jej przebudowy. Proszę spojrzeć na to, co powiedział Martin Schulz, stawiając jako warunek powrotu SPD do wielkiej koalicji w Niemczech żądanie głębokiej reformy UE. To pokazuje, jak wysoka jest stawka gry. Można mieć niemal pewność, że każde państwo, które miałoby obiekcje co do swojego udziału w pogłębionej integracji europejskiej wokół strefy euro i Berlina, znajdzie się pod bardzo silną presją. Po drugie – z powodów wewnętrznych. Od momentu objęcia władzy przez Prawo i Sprawiedliwość wszystkie kampanie opozycji kończyły się jej porażką, co pokazywały wyniki sondaży. Jedyny moment, w którym cokolwiek się zmieniło, choć sondaże szybko wróciły do normy, była kwestia reelekcji Donalda Tuska. Konkludując, opozycja w Polsce będzie bardzo chętna do szukania płaszczyzny sporu związanej z integracją europejską, zwłaszcza gdyby udało się jej umieścić oś tego sporu na tak wysokim poziomie abstrakcji, by zaczął mieć on wymiar symboliczny w stylu dawnego referendum w sprawie integracji europejskiej, a nie sporu na poziomie konkretów. Oczywiście nominacja Mateusza Morawieckiego wydaje się być przede wszystkim zdeterminowana kontekstem zagranicznym – będzie on postacią istotną dla międzynarodowego świata finansów i gospodarki.

Za chwilę czeka nas wymiana części rządu. Pan jako politolog, ale też kibic piłkarski nie jest zaskoczony zmianą „kapitana drużyny" i prawdopodobnie kilku zawodników w połowie udanego na razie „meczu"?

Myślę, że tutaj piłkarskie analogie mogą być niezwykle ryzykowne (śmiech), chociaż czasami w piłce nożnej zdarzają się takie sytuacje, że najlepsi gracze schodzą w przerwie meczu, bo ten jest już rozstrzygnięty, a w nadchodzących dniach drużyna stanie kolejny raz przed bardzo trudnym pojedynkiem, więc zawodnik musi odpocząć. Jednak to sugerowałoby, że Beata Szydło byłaby przygotowywana do roli jeszcze wyższej niż stanowisko prezesa Rady Ministrów, a to w tym momencie jest poza zakresem realistycznej dyskusji. Decyzja o zmianie premiera była zaskakująca, poza kwestiami zagranicznymi. Gdyby szukać wewnątrzkrajowego powodu do takiej zmiany, byłby nim kryzys opozycji, który mimo dość wysokich notowań Platformy mógł zrodzić w obozie władzy pokusę pogrążenia przeciwnika poprzez wejście na jego teren. Odwołanie się do liberalnego, wielkomiejskiego elektoratu, dla którego ktoś, kto był międzynarodowo rozpoznawalnym prezesem banku, idealnie wpisuje się w stereotyp człowieka z klasy średniej, nie tyle miałoby przeciągnąć wyborców liberalnych do PiS, ile raczej zasiać wątpliwości, osłabić siłę antypisowskiej mobilizacji wśród tej części elektoratu opozycji, która w minionych kampaniach samorządowych była zdolna do głosowania np. na komitety lokalne, a nie na PO.

To, co w wymiarze międzynarodowym będzie atutem Morawieckiego, w wymiarze krajowym obarczone jest pewnym ryzykiem

Zastanawiam się, czy nie nastąpiło to jednak zbyt wcześnie: program „Mieszkanie Plus" praktycznie nie zaczął funkcjonować, opowieści Morawieckiego o „innowacyjnej Polsce" czy „konstytucji dla przedsiębiorców" pozostają wyłącznie opowieściami…

Obserwacja partyjnej polityki wskazywałaby, że to druga kadencja jest dobrym momentem, w którym można próbować zmienić formułę swojego obozu politycznego albo dokonać głębokich zmian programowych. Tymczasem mamy do czynienia z mocnym przyspieszeniem obarczającym formację Jarosława Kaczyńskiego pewnym ryzykiem. Jednak w sytuacji, gdy wewnątrz opozycji trwa wojna domowa i jest to wojna, w której uczestniczą więcej niż dwa podmioty, to chęć Jarosława Kaczyńskiego, by już teraz przeprowadzić pewien eksperyment, może być zrozumiała. Pamiętajmy, że przez pierwsze miesiące sprawowania władzy przez Morawieckiego będą – zwłaszcza na opozycji – toczone boje o kształt list na wybory samorządowe, a to jest też pewien czynnik, który da mu przez kilka miesięcy pewien komfort rządzenia.

Jest pan pewien, że dymisja Beaty Szydło nie zniechęci części twardego elektoratu? Gdy pojawiły się pogłoski, że jej odejście z rządu jest przesądzone, sympatycy PiS dzwonili, e-mailowali, wysyłali na Nowogrodzką listy z protestami przeciw takiej decyzji.

Polityka jest dziś bardzo spersonalizowana. Możemy nie znać programu danej partii, ale wiążemy ją – mniej czy bardziej zasadnie – z cechami przypisywanymi najbardziej reprezentatywnym dla tego ugrupowania osobom i tu rzeczywiście PiS podjął spore ryzyko. Beata Szydło była na fali wznoszącej, a druga połowa tego roku przyniosła chyba najwyższe notowania w historii PiS. Warto śledzić wyniki poparcia dla PiS przez najbliższe kilka miesięcy. Tradycyjni wyborcy tej partii na pewno przy niej zostaną, ale ciekawa będzie odpowiedź na pytanie, jak zachowają się ci, którzy doszlusowali do Prawa i Sprawiedliwości motywowani np. kwestiami polityki społecznej, polityką imigracyjną albo sprzeciwem wobec tego, co działo się przez wcześniejsze osiem lat. W dodatku nie sposób nie zauważyć, że opozycja po raz pierwszy od dwóch lat dostała pewną szansę…

Uważa pan, że Platforma i Nowoczesna będą potrafiły wykorzystać niewielkie na razie doświadczenie polityczne Morawieckiego?

Dotychczasowy mechanizm funkcjonowania obozu władzy stał się politycznym perpetuum mobile, PiS wychodził gładko ze wszystkich opresji, potrafił radzić sobie z popełnianymi błędami, a opozycja z miesiąca na miesiąc coraz bardziej zamykała się w społecznej, liberalnej, aglomeracyjnej niszy. Tymczasem teraz na scenie politycznej wydarzyło się coś nowego, zaskakująca jakościowa zmiana i drugi aspekt z tym związany: o ile to, co w wymiarze międzynarodowym będzie atutem Morawieckiego, o tyle w wymiarze krajowym obarczone jest pewnym ryzykiem. Beata Szydło, ze względu na swoje pochodzenie, na swoje zachowania, wielu wyborcom PiS mogła przypominać ich samych. Tymczasem Mateusz Morawiecki jest człowiekiem

eprasa.pl cd591204ac

pod każdym względem oddalonym od większości sympatyków PiS. Oczywiście ta partia ma swoich wyborców we wszystkich grupach społecznych, ale nadreprezentowana jest wśród tych, którzy są antytezą Morawieckiego. I stąd opozycja będzie, jak sądzę, szukała takich zachowań, takich gestów Morawieckiego, które pozwolą zbudować antynomię między nowym premierem a wyborcami, będzie szukała „ośmiorniczek" nowego premiera. W słynnych nagraniach z Sowy i Przyjaciół nagrano wiele rozmów członków poprzedniego rządu, które aż prosiły się o wyjaśnienie ich przez stosowne służby, ale opinia publiczna zapamiętała to, co było najmniej istotne, czyli że politycy PO jedli ośmiorniczki, i ta informacja została podniesiona do rangi symbolu.

Mówił pan o pewnej szansie dla opozycji. Mam wątpliwości – jeśli popatrzeć na jej dotychczasową skuteczność – czy będzie umiała tę szansę wykorzystać.

Gdyby narysować „mapę opozycji", to pokaże ona chaos. Po pierwsze, środowiska dawnej Unii Demokratycznej uznały, że zbudowana trochę obok nich i trochę wbrew nim Platforma chwieje się w posadach, za chwilę runie i tworzy się okazja do wprowadzenia zamiast niej nowego bytu, który byłby lewicowo-liberalny. To się nie udało, uliczne ruchy, np. pod Sejmem, w których pojawiali się ludzie ze środowisk bliskich dawnej UD, zawiodły, nie potrafiąc sobie poradzić z PO. Ten spór trwa dalej, teraz wyciszony, ale może powrócić, jeśli PO słabo wypadnie w wyborach samorządowych. Druga oś sporu to walka wewnątrz PO, w której władze przejął Grzegorz Schetyna, będący przez wiele lat w opozycji do Donalda Tuska. I ci politycy, którzy byli związani z Tuskiem, albo już zostali wypchnięci z PO, albo mają świadomość, że w perspektywie kolejnych wyborów miejsc „biorących" na listach będzie dla nich zdecydowanie mniej i że dramatycznie walczą o przetrwanie w polityce. Eskalują więc działania Platformy nawet w takich momentach, gdy wiadomo, że taka eskalacja tej partii i jej wizerunkowi niekoniecznie służy, że nie jest czytelna dla wyborców. Trzecia oś sporu przebiega między PO a Nowoczesną i ona też nie do końca wygasła, mimo że obie partie zamieniły się miejscami w sondażach. Wreszcie jest też problem stosunku PSL do środowisk liberalnych czy kwestia relacji z SLD, który poprzez negatywną reakcję swojego tradycyjnego elektoratu na politykę historyczną i emerytalną PiS okazuje się dość żywotny w sondażach. Przyciągnięcie PSL do obozu liberalnego może oznaczać zarówno ewentualność pozyskania nowych wyborców, jak i wątpliwości części liberalnego elektoratu socjalizowanego w niechęci do PSL. Podobnie problemem dla tradycyjnych wyborców PO może być ewentualne wpuszczenie na listę ludzi SLD. Niemniej jednak, jak sądzę, z tego chaosu, który czeka opozycję, wyłoni się na koniec tylko Platforma. Z jej strukturami to ona będzie najbardziej efektywnym przeciwnikiem obozu rządzącego, a same wybory samorządowe na opozycji pokażą strategiczną kwestię, czyli czy będzie ona funkcjonowała w dotychczasowym modelu, który de facto oznaczać będzie hegemonię PO, czy dojdzie do kolejnych prób rewolucji, przetasowań i stworzenia nowego bytu.

Gwałtowność ataków opozycji na Antoniego Macierewicza doprowadziła do tego, że PiS byłoby trudno go odwołać

Czyli opozycja będzie szukać czegoś, co pozwoli na narrację: „Patrzcie, on nie jest wasz, to beneficjent systemu, elita" etc.?

Zaczną się wielkie łowy na jakąkolwiek wpadkę Mateusza Morawieckiego, którą będzie można w ten sposób przedstawić. To oczywiście będzie miało sens tylko wtedy, kiedy będą temu towarzyszyć niekorzystne dla większości wyborców deklarujących poparcie dla PiS zjawiska w gospodarce, polityce społecznej itd.

Zanim to nastąpi, czeka nas kolejna odsłona rekonstrukcji. Część mediów przekonywała, że Antoni Macierewicz pożegna się z MON, jednak wygląda na to, iż zachowa swoje stanowisko.

Gwałtowność ataków opozycji na Antoniego Macierewicza, a także ich częstotliwość, dążenie do uczynienia z niego symbolu rządów PiS doprowadziło do tego, że PiS byłoby trudno go odwołać. Uważnie obserwując aktywność polityczną i medialną ministra obrony narodowej w ostatnich tygodniach, można jednak odnieść wrażenie, że jego przyszłość w rządzie wcale nie jest do końca przesądzona i trwają zapewne gorączkowe, wielopoziomowe negocjacje na ten temat. A także ważenie racji, czy lepiej posłuchać głosu większości opinii publicznej, która niezbyt lubi wyrazistych polityków, czy odwrotnie – należy nie pogłębiać eksperymentów na żelaznym elektoracie.

Wyniki tegorocznych wyborów samorządowych pokażą też, czy opozycja ma szansę na nowe otwarcie przed wyborami parlamentarnymi czy odwrotnie – PiS wkracza do wielkich miast, bastionów PO.

Generalnym problemem opozycji jest kwestia zmiany społecznej. Jednym z czynników zwycięstwa PiS było to, że jakby symbolicznie przejął społeczne dążenie do zmiany. Z kolei elektorat partii liberalnych to elektorat beneficjentów, często materialnych, transformacji ustrojowej. To również elektorat skupiony w regionach, które czują się beneficjentami transformacji: Trójmiasto, Kraków, Warszawa, Poznań, niektóre segmenty Górnego Śląska, takie jak Gliwice. Opozycja, która transformowałaby swój wzorzec działania i szukała poparcia u wahających się wyborców, zaczęłaby mówić: „No tak, trzeba dokonać zmian, może PiS je robi źle, ale my też mamy daleko idące reformy", jednocześnie uderzyłaby w interesy i poczucie prestiżu swoich wyborców zadowolonych z sytuacji, chcących, „by dalej było, jak było". A w sytuacji skonfliktowania podmiotów opozycyjnych natychmiast konkurencja zarzuci zdradę ugrupowaniu, które zaczęłoby mówić, że „też chce zmiany". I to jest strategiczny dylemat dla opozycji, bo oznacza też wątpliwości, czy iść pod sztandarami partyjnymi, czy też tam, gdzie to daje szanse na mandaty pod szyldami komitetów lokalnych, unikając partyjnych identyfikacji. W skali makro te problemy przyczyniają się do paraliżu opozycji. Myślę, że gdyby wybory samorządowe odbyły się dzisiaj, mielibyśmy do czynienia z politycznym patem. PiS bardzo zwiększyłby swój udział w sejmikach wojewódzkich, w niektórych zapewne bardzo otarłby się o samodzielną władzę, znacznie wzmocniłby się na poziomie wielu gmin, a już w szczególności w powiatach, przechwyciłby sporo małych i średnich miast. Natomiast w dużych miastach niewiele by się zmieniło i być może jest to też jeden z kontekstów pojawienia się Mateusza Morawieckiego w roli twarzy obozu PiS.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd591204ac

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

SZOKUJĄCE DOKUMENTY!

UJAWNIAMY, CO NAPRAWDĘ WYDARZYŁO SIĘ W BIRCZY

Piotr Zychowicz – **Polacy, Żydzi, Holokaust**
Tomasz Stańczyk – **Krótsza lista Sendlerowej**
Peter Godwin – **Krwawe zbrodnie Mugabe**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Watykan przeciwko Polsce**
Sławomir Koper – **Kochanki Stanisława Augusta**
Marian Zacharski – **Sowiecki agent 007**
Marcin Bartnicki – **Polskie żywe torpedy**
Sławomir Cenckiewicz – **Bolszewicy z Birczy**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl cd591204ac

Morawiecki w

Piotr Gociek

Powierzenie teki premiera Mateuszowi Morawieckiemu było posunięciem tak zaskakującym, że lekko obezwładniło zarówno przeciwników PiS, jak i część zwolenników rządu

Widać to po pierwszym miesiącu pełnienia funkcji przez nowego premiera. Oczywiście to nie był zwykły pierwszy miesiąc działalności. To właściwie wciąż stary rząd, nazwany „nowym", bo przez przekładanie „raczej głębokiej rekonstrukcji" polityka polska znajdowała się w stanie zawieszenia, wzmocnionego jeszcze przez maraton świąteczno-noworoczny.

Skorzystali na tym rządzący, bo kumulacja zdarzeń z pierwszych tygodni grudnia została już zapomniana: szybka zmiana premiera, podpisanie przez prezydenta Andrzeja Dudę ustaw o KRS i SN i wreszcie wniosek Komisji Europejskiej o uruchomienie wobec Polski art. 7 traktatu unijnego (rzekomo z powodu łamania praworządności). Każde z tych wydarzeń osobno byłoby już wystarczającym powodem do długiego spektaklu w wykonaniu partii określających się opozycją totalną. Świąteczny reset sprawił, że zamiast protestacyjnych marszów ze świeczkami mieliśmy najzupełniej tradycyjne przemarsze na pasterkę oraz orszaki trzech królów, a politycy rozjechali się do domów na odpoczynek.

OBCY, ALE JAKBY NASZ

W owym stanie zawieszenia jeszcze lepiej niż zwykle widać było pustkę programową opozycji, która przecież mogła ten moment rządowego przesilenia wykorzystać do lansowania własnych tez i recept, tymczasem zrobić tego nie mogła, bo wszystko, do czego jest zdolna, to oczekiwanie, aż rząd PiS coś ogłosi, i błyskawiczne wykrzykiwanie, że jest się zdecydowanie przeciw. A kiedy rząd akurat ogłasza niewiele, a w dodatku nie wiadomo dokładnie, jak właściwie wyglądał będzie ten rząd, to i opozycja nie ma nic do powiedzenia.

Kłopot opozycji z Morawieckim przypomina trochę kłopoty „Gazety Wyborczej" z uczestnikami Marszu Niepodległości albo rocznicowych demonstracji smoleńskich. Czyli uroczystości, na których wedle lansowanej przez gazetę narracji spotykają się faszyści i wrogowie demokracji gotowi do podpalenia Polski (i przelewania krwi na ulicach, że przypomnę tezę prof. Radosława Markowskiego), do którego to obrazu rzeczywistość ma się nijak. Na ulicach bowiem demonstrują także elegancko ubrane panie, posługujące się (w odróżnieniu od bojówkarzy z KOD i Obywateli RP) nienaganną polszczyzną i zaznajomione z zasadami savoir-vivre'u, rodziny z uśmiechniętymi dzieciakami

eprasa.pl cd591204ac

zawieszeniu

FOT. MICHAŁ DYJUK/FORUM

trzymającymi chorągiewki i baloniki oraz panowie wyglądający zupełnie, jakby pracowali w tych samych korpo co wierni wyznawcy „Wyborczej". Czyli prawdziwy koszmar dla akolitów Michnika – ci ludzie wyglądają całkiem jak my (w sensie „rozsądni Europejczycy"), ale mają zupełnie niesłuszne poglądy!

Taki właśnie jest Mateusz Morawiecki, od którego ogłady, języków i znajomości prawa międzynarodowego mógłby uczyć się każdy poseł (nie tylko opozycji), a który jednocześnie głosi największe herezje: że Polska musi być silna i samodzielna, że Europie potrzeba rechrystianizacji, że wymiar sprawiedliwości nie wyszedł jeszcze z komunizmu, bo nie dokonano w nim żadnych zmian po 1989 r. Co więcej, używa słów tak niemile widzianych na salonach europejskich (i na Czerskiej tudzież Wiertniczej), jak: „naród", „niepodległość" czy „państwo narodowe". I ośmiela się przedstawiać prezydenckie ustawy o KRS i SN (a także Ziobrową ustawę o ustroju sądów powszechnych) jako polski odpowiednik zmian, które Francuzi wprowadzali po II wojnie światowej, oczyszczając system splamiony kolaboracją z hitlerowskimi Niemcami.

RAZ KORNELEM, RAZ KONSTANTYM

Skoro nie można uderzyć w niego samego, można próbować znaleźć temat zastępczy. Stąd próby wykreowania na wielki problem faktu, że Mateusz Morawiecki posiada ojca, że ten ojciec nazywa się Kornel Morawiecki i że ten ojciec nie tylko na niektóre sprawy posiada inne poglądy od syna, lecz także nawet jeszcze głosi te poglądy publicznie. (Swoją drogą to ciekawy przyczynek do tego, jak naprawdę powinien wyglądać ukochany przez „obrońców demokracji" pluralizm poglądów – wszyscy w domu mają myśleć to samo, bo jak nie, to won?)

Nawróconym na patriarchalizm medialnym janczarom wspierającym PO i Nowoczesną towarzyszą niespodziewanie głosy na prawicy, gdzie też podnoszone jest larum: „Kornel powiedział, Mateusz będzie musiał zrealizować! Zdrada!". A jakież to zdradzieckie słowa? Że zabrakło mu (znaczy Kornelowi) w exposé słów skierowanych do braci Rosjan, że 7 tys. uchodźców krzywdy wielomilionowej Polsce nie zrobi. Tutaj z kolei przypomina się, jak kiedyś próbowano uczynić Jarosława Kaczyńskiego odpowiedzialnym nie tylko za każde słowo, jakie wypowiada Lech Kaczyński (a nie na wszystkie sprawy mieli to samo zdanie), lecz także nawet za każde słowo Marii Kaczyńskiej, w wielu kwestiach od braci bardziej liberalnej. Czekam tylko, aż ci z „prawdziwych prawicowców", którzy przyklasnęli kiedyś nazwaniu Marii Kaczyńskiej „czarownicą", zapożyczą teraz od Radka Sikorskiego „wrednego dziadygę", by epitetem tym częstować „nieprawomyślnego" Kornela Morawieckiego.

Histeria jest absurdalna, bo każdy ma prawo do własnych poglądów (nawet nie najmądrzejszych), opinie marszałka seniora nie są wiążące dla rządu III RP, zaś sam Mateusz Morawiecki podpisywania się pod tezami ojca unika. Co nie zmienia faktu, że drogę przetarto – najpierw trzeba podpuścić Kornela, żeby coś powiedział, potem się to coś podchwytuje i rozdmuchuje, żeby o Mateuszu „Wyborcza" mogła pisać: „Szef

eprasa.pl cd591204ac

rządu musiał się tłumaczyć ze słów swojego ojca na temat ewentualnego przyjęcia uchodźców". Zauważcie przy okazji ten kolejny, nie wiem już który, przykład hipokryzji organu Michnika. Wyszydzany przez dekady Kornel Morawiecki nagle staje się autorytetem moralnym, kiedy tylko można go wykorzystać do uderzenia w rząd PiS. A przecież to na łamach tej samej „Wyborczej" najwięcej było jeremiad o tym, że Kornel to faszysta, kiedy jesienią 2015 r. mówił: „Prawo jest ważną rzeczą, ale prawo to nie świętość. Nad prawem jest dobro narodu! Prawo, które nie służy narodowi, to jest bezprawie!".

Podgrzewanie rzekomych animozji na linii Kornel – Mateusz to gra, która rozpala także emocje wielu zwolenników rządu Zjednoczonej Prawicy. Jeszcze nie wyszli z szoku, że to Morawiecki, a nie Kaczyński zastąpił Szydło, jeszcze szepczą po kątach: „No ale przecież to bankier", jeszcze nie usłyszeli, jaki będzie los ich ulubionego ministra, czyli szefa MON Antoniego Macierewicza, a tu już muszą sobie poradzić z tezami Kornela Morawieckiego. I ta niepewność – syn przecież na pewno nasz, bo wskazał go naczelnik, ale ojciec? Czemu uparcie trzyma się własnego koła poselskiego i opowiada coś o konieczności budowy partii między PiS a PO? I po co o tych uchodźcach opowiada? Czy aby syn go nie posłucha?

Jak nie Kornelem, to może uderzyć Konstantym? Radziwiłłem, rzecz jasna. I tutaj kłopot ściągnął sobie Mateusz Morawiecki na głowę sam, powiedzą jedni, a inni odpowiedzą – wykonał ruch wyprzedzający, kiedy poprawę sytuacji w służbie zdrowia ogłosił „wielkim wyzwaniem" stojącym przed nowym rządem. Tutaj, jak to zwykle bywa w przypadku chorób przewlekłych III RP, za wszystko, co złe, mają odpowiadać ci, którzy rządzą od dwóch lat, a nie ci, którzy wcześniej rządzili osiem, albo ci, którzy pozwalali na psucie jeszcze dłużej. Charakterystyczny pasek w TVN24 rozbawił mnie najbardziej: „Braki kadrowe w polskich szpitalach". A kiedy to ostatnio mieliśmy w nich nadmiar rąk do pracy?

No ale skoro PiS zapowiadał w kampanii wyborczej, że naprawi służbę zdrowia, a potem podkreślał wielokrotnie, że jego rząd różni się tym od poprzednich, że swoje obietnice spełnia, to trzeba teraz zjeść tę żabę. Czy pierwszym ruchem będzie dymisja Konstantego Radziwiłła? Ważne pytanie, między nim a Morawieckim nie było zgody, gdy wykuwał się projekt ustawy o sieci szpitali. I o ile medialne zapowiedzi „Wkrótce rekonstrukcja rządu" niespecjalnie już kogokolwiek interesują, o tyle na konkretne pomysły związane z tym, kto ma odpowiadać za Ministerstwo Zdrowia i w jaki sposób rozwiązywać problemy, warto czekać. Być może to jedna z głównych pułapek czekających na nowy rząd. Protesty przeciw reformie sądów nic już opozycji nie dadzą, klamka zapadła, nawet Komisja Europejska swoim wnioskiem o art. 7 demonstruje raczej bezsilność. Reforma edukacji, która miała zakończyć się zwolnieniami nauczycieli, przyniosła tysiące nowych miejsc pracy, reforma emerytalna nie zrujnowała budżetu, przy czym popiera ją tak przytłaczająca większość Polaków, że szarże na nią wykonują już tylko polityczni samobójcy, tacy jak Ryszard Petru. I tak dalej. Natomiast na epatowanie kolejkami w szpitalach oraz skromnymi kwotami na kwitkach wypłat dla pielęgniarek zawsze można liczyć.

Mateusza Morawieckiego nie trzeba na razie bronić przed politycznymi wrogami, bo to kompletnie wypalona ferajna. Przed przyjaciółmi – i owszem

MIODOWY MIESIĄC. I CO DALEJ?

„Co oznacza postawienie na Mateusza Morawieckiego? Przede wszystkim, że Warszawa ma lub może mieć w najbliższym czasie większe kłopoty z Brukselą, niż dotąd oficjalnie przyznawano" – pisałem w „Do Rzeczy" 11 grudnia 2017 r., nie mając pojęcia, że za kilka dni Frans Timmermans sięgnie po „opcję atomową", ogłaszając, że Komisja Europejska domaga się uruchomienia wobec Polski art. 7. Kłopoty więc już są, a Mateusz Morawiecki w przerwach między negocjacjami w trójkącie „Nowogrodzka – prezydent Duda – nowy premier" na temat składu rządu podejmuje dyplomatyczną ofensywę. Być może tu mamy odpowiedź (jedną z odpowiedzi?) na pytanie, dlaczego fotela premiera nie objął Jarosław Kaczyński. Niczego nie ujmując prezesowi PiS, jeśli idzie o osiągnięcia w polskiej polityce, to Morawiecki jest lepszym instrumentem prowadzenia polityki zagranicznej. Idzie wielkie przesilenie w Unii Europejskiej, a wojna Brukseli z Polską to nie efekt kryzysu wywołanego przez Warszawę, lecz rezultat fatalnych działań unijnych lewicowych fanatyków oddanych budowie Stanów Zjednoczonych Europy.

Mateusz Morawiecki przypomina na razie nieco Andrzeja Dudę sprzed zaprzysiężenia na prezydenta – uprzejmy i gładki, kiedy trzeba, mówiący odpowiednie rzeczy do odpowiednich grup wyborców, płynący na efekcie „nowej jakości". W polityce jednak miodowe miesiące kończą się wyjątkowo szybko. Chciałem napisać – „czas prawdziwych wyzwań nadchodzi", ale przecież te wyzwania już tu są, a dopiero po składzie nowego rządu i po pierwszym półroczu jego działania będziemy wiedzieć, jak Mateusz Morawiecki zamierza sobie z nimi radzić. Przed nim najważniejsza lekcja: z jednej strony premier odpowiada za wszystko i musi sobie ze wszystkim radzić, z drugiej w polityce nie działa korporacyjna metoda „polecenie wydane oznacza polecenie wykonane", sprawy są dużo bardziej skomplikowane. Pozostaje mieć nadzieję, że tej polityki realnej nowy premier uczył się przez ostatnie dwa lata, podpatrując, jakie kłopoty z zarządzaniem miała premier Beata Szydło.

Jednocześnie byłoby dobrze, żeby z lekkiego obezwładnienia wywołanego niespodziewanym wzlotem Morawieckiego wyszli także ci, którzy mu kibicują. Szczególnie w mediach publicznych, gdzie prezentowane obrazki sugerują, że oto pojawił się cudotwórca, który jednym machnięciem czarodziejskiej różdżki sprawi, że europejskie stolice padną na kolana, wzrost gospodarczy sięgnie stratosfery, a polskie rodziny będą opływały w dostatki – wszystko to dzięki produkcji samochodów elektrycznych. Mateusza Morawieckiego nie trzeba na razie bronić przed politycznymi wrogami, bo to dziś skłócona i kompletnie wypalona ferajna. Przed przyjaciółmi – i owszem, szczególnie tymi, którzy lepiej od niego zdają się wiedzieć, co powinien zrobić, albo na wszelki wypadek już teraz chcą go pochwalić za to, czym on sam chciałby się pochwalić na serio dopiero w przyszłości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd591204ac

PREMIERA „DO RZECZY"!

NOWA KSIĄŻKA R. ZIEMKIEWICZA

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

SZUKAJ
W DOBRYCH PUNKTACH
I SALONACH PRASOWYCH
ORAZ NA STOISKACH
POCZTY POLSKIEJ

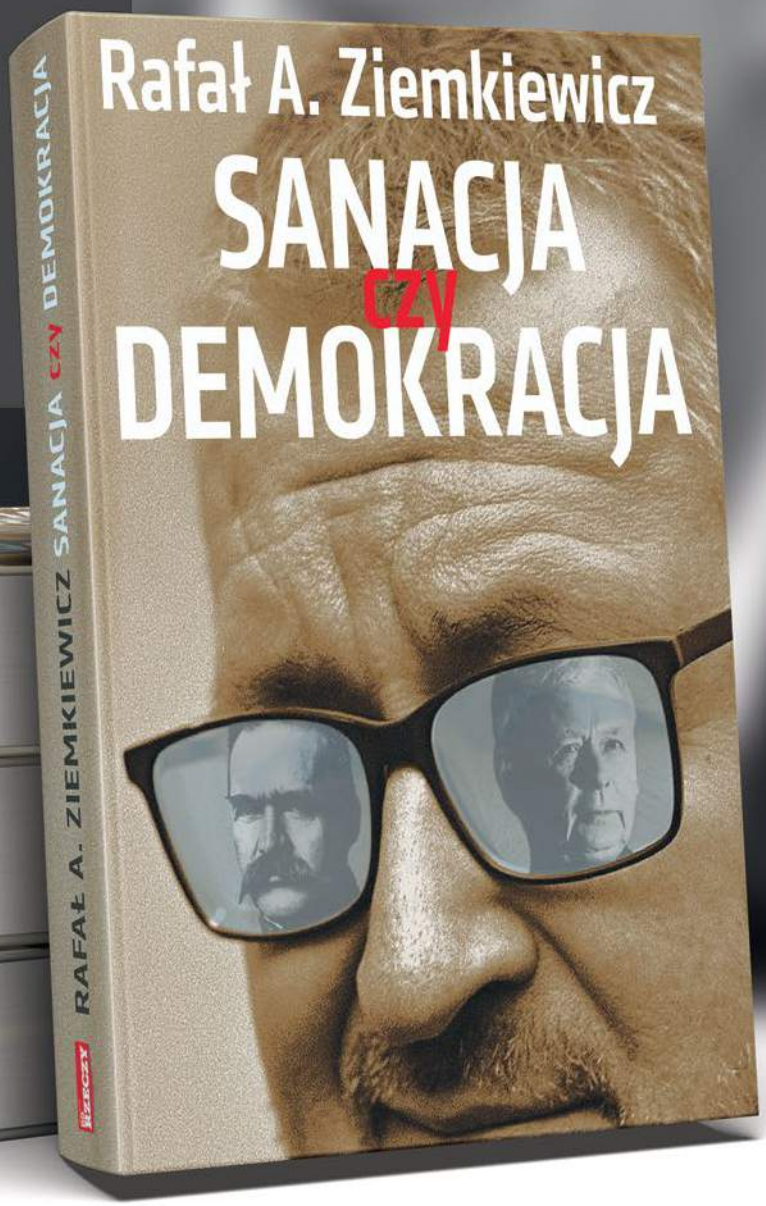

34,90 PLN

Również na zamówienie: tel. +48 22 529 12 10, prenumerata@pmpg.pl

eprasa.pl cd591204ac

Łukasz Warzecha

Pawła Kukiza i Kornela Morawieckiego nie łączy już nawet sympatia. Politycy ugrupowania Kukiza mówią, że to dobrze, iż Morawieckiego nie ma już w ich klubie, bo z zewnątrz trudniej mu będzie podbierać kolejnych ludzi. Znać też nutę pretensji: gdyby nie Paweł Kukiz, marszałka seniora nie byłoby dzisiaj w Sejmie

Kornel

Dla legendarnego działacza dolnośląskiej Solidarności Walczącej III RP to pasmo porażek. Gdy spróbował startować w wyborach prezydenckich w 1990 r., nie zebrał nawet wymaganej liczby podpisów, żeby zgłosić swoją kandydaturę. Założona wkrótce potem Partia Wolności była bytem efemerycznym i nie pomogła mu dostać się do Sejmu w 1991 r. W orbicie PiS znalazł się w 2007 r. jako bezpartyjny kandydat tej partii do Senatu. Uzyskał wtedy w okręgu wrocławskim całkiem przyzwoity wynik – niemal 140 tys. głosów, ale przegrał znacząco z Leonem Kieresem, byłym prezesem IPN, wystawionym przez PO, który uzyskał prawie 260 tys. głosów. Wyprzedzili go też drugi kandydat PO (okręgi jednomandatowe do Senatu wprowadzono w 2011 r., stąd więcej niż jeden kandydat z danej listy) oraz kandydat lewicy.

WCIĄŻ W PODZIEMIU

Znacznie słabiej poszło Morawieckiemu seniorowi w wyborach prezydenckich trzy lata później. Wówczas w pierwszej turze znalazł się na ostatnim miejscu, zdobywając zaledwie 21,5 tys. głosów, czyli 0,13 proc.

Podejmował następne uparte próby powrotu do polityki – a właściwie wejścia do niej, wciąż bez skutku. W 2015 r. zamierzał ponownie kandydować na prezydenta, ale znów nie zgromadził odpowiedniej liczby podpisów. Był politykiem całkowicie zapomnianym, dla młodszego pokolenia, poza Dolnym Śląskiem, właściwie kompletnie anonimowym. Sprawiał wówczas wrażenie, jakby nadal działał w podziemiu. Kompletnie nie przystawał do coraz lepiej dopracowanej wizerunkowo polskiej polityki.

We wstępie do niewydanej książki „Kornel, znaczy rogaty. Rzecz o Kornelu Morawieckim" jej autor, łódzki dziennikarz i publicysta Jarosław Warzecha, pisze: „Rozmowy z Kornelem Morawieckim zacząłem we wrześniu 2014 r. Postać Morawieckiego nie była wtedy w żaden sposób kojarzona ani z aktualną, ani przyszłą działalnością polityczną. […] Pokolenie dwudziesto-, dwudziestopięciolatków, obecnych studentów, kojarzyło to nazwisko słabo albo wcale. Taki był wynik przeprowadzonej przeze mnie sondy wśród studentów Uniwersytetu Łódzkiego. Zapewne we Wrocławiu, na Politechnice Wrocławskiej czy Uniwersytecie, w mieście, gdzie powstała Solidarność Walcząca, miała swoją główną bazę i skąd wywodził się jej legendarny przywódca, skojarzenia wśród studentów byłyby inne. Mam jednak prawo przypuszczać, że sonda wśród studentów UŁ była miarodajna także dla reszty kraju".

NA ZAPLECZU

Szansą dla Morawieckiego stał się start do Sejmu z listy ugrupowania Kukiz'15 w 2015 r. Lider miał do Morawieckiego sentyment za czasy komuny i niezłomność, jednak szybko – jeszcze przed wyborami – okazało się, że pomiędzy konserwatywnymi liberałami z Kukiz'15 a Morawieckim istnieją poważne różnice w podejściu do sposobu zmieniania państwa. W pamięć dzisiejszym posłom klubu Kukiz'15 zapadło wewnętrzne spotkanie przedwyborcze w Katowicach, na którym dzisiejszy wicemarszałek Sejmu Stanisław Tyszka zaprezentował opracowany przez siebie program „Strategia zmiany". Morawiecki oznajmił, że dobry jest z niego tylko spis treści, żadna dyskusja o podatkach nie jest potrzebna, wystarczy jedno chwytliwe hasło, a poza tym trzeba wprowadzić sprawiedliwość społeczną. „Pod względem gospodarczym Kornel stoi bardziej na lewo niż dzisiejszy PiS" – ocenia jeden z gospodarczo-liberalnych posłów klubu Kukiz'15.

Współpraca się nie układała. „Kornel właściwie od początku pracował głównie na syna" – taka opinia powtarza się w rozmowach. Katalizatorem rozstania była sprawa bliskiej Morawieckiemu

eprasa.pl cd591204ac

FOT. KPZFOTO / ALAMY STOCK PHOTO

walczący

posłanki Małgorzaty Zwiercan, która zagłosowała za marszałka seniora podczas jego nieobecności na sali. Klub Kukiza zdecydował o wyrzuceniu posłanki Zwiercan, a razem z nią, oficjalnie w geście solidarności, odszedł Morawiecki. Zwiercan do dziś nie odpowiedziała za swoje postępowanie.

Morawiecki ze swoim obecnie sześcioosobowym kołem „Wolni i Solidarni" stał się swego rodzaju zapleczem dla PiS i zabezpieczeniem większości rządzącej. Tyle że to zaplecze może się okazać bardzo kłopotliwe.

Pod koniec 2017 r. stało się jasne, że Paweł Kukiz nie darzy swojego byłego klubowego kolegi najmniejszą sympatią, a rozstanie jest nieuniknione. Kukiz zebrał w facebookowym wpisie liczne wystąpienia Morawieckiego seniora, które nijak nie mieszczą się w granicach programowych nie tylko jego dawnego klubu, lecz także PiS, do którego – jak się zdaje – Morawiecki zmierza. Kukiz napisał m.in.: „W wywiadzie dla »Wyborczej« Kornel Morawiecki poparł idee wielokulturowości stwierdzając, że »monokulturowa Polska jest niemożliwa«. Zdaniem posła, gdyby Polska zamknęła się na imigrantów i idee wielokulturowości »to by była klęska. Regres«". Czy dalej: „Jakiś czas temu Kornel Morawiecki w programie radiowym »Gość Radia Zet« w rozmowie z Moniką Olejnik gwarantował polskość Adama Michnika i stwierdził, że nie można wyrzucać z Polski Adama Michnika, który czuje się Polakiem". Lista zawiera w sumie 11 punktów.

Jest na niej również niedawna wypowiedź Morawieckiego o tym, że polskie państwo powinno uruchomić korytarze humanitarne i „zaproponować uchodźcom naszą kulturę". Był to być może uzgodniony z rządem balon próbny w sprawie jakichś ustępstw w kwestii migrantów. Po gwałtownej reakcji zwolenników PiS wypowiedź ta została jednak szybko zdyskredytowana przez polityków partii rządzącej jako prywatna opinia marszałka seniora. Możliwe jest zatem również to, że był to wyskok polityka, który nie do końca orientuje się w skomplikowanej układance politycznej. I nie był to wyskok odosobniony.

KŁOPOTLIWY AUTORYTET

Morawiecki zasłynął, wygłaszając w listopadzie 2015 r. z trybuny sejmowej opinię, że wola narodu jest ważniejsza niż prawo. Działo się to podczas debaty o prawomocności wyboru sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Zebrał wówczas gromkie oklaski prawej strony sali, choć to w istocie stwierdzenie bardzo niebezpieczne, bo rewolucyjne. Pasujące najbardziej do metody przekształcania państwa, jaką przyjął PiS, a którą symbolizowało wejście na trybunę sejmową Jarosława Kaczyńskiego „w żadnym trybie". W niektórych momentach takie wypowiedzi z ust polityka cieszącego się autorytetem mogą być partii rządzącej potrzebne, ale pytanie brzmi, czy Morawiecki nie bywa nadmiernie spontaniczny. Jego deklaracja o prymacie woli ludu nad prawem nie mogła wzbudzić entuzjazmu zwłaszcza w konserwatywnej części klubu Kukiz'15, w której i tak panuje opinia, że PiS forsuje swoje koncepcje per fas et nefas, przygotowując legislację bardzo niestaranną lub balansującą na granicy tego, co dopuszczalne.

Sytuacja wygląda więc tak, że z jednej strony koło poselskie Morawieckiego seniora jest partii rządzącej potrzebne, a autorytet jego lidera może się przydać. Z drugiej jednak jego wystąpienia, deklaracje i pomysły mogą się okazać mocno kłopotliwe, zwłaszcza gdy syn marszałka seniora jest szefem rządu. Morawiecki senior zawsze bywał nieobliczalny i to zapewne stanowiło o jego sile jako walczącego opozycjonisty. Dzisiaj ta nieobliczalność może być obciążeniem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd591204ac

Powrót Millera?

Rafał A. Ziemkiewicz

Były premier umiał zachować zdrowy rozsądek wśród antypisowskiej histerii

Lewica w Polsce wciąż ma twarze działaczy, którzy kariery zaczynali jeszcze w PZPR. I to tych starszych. Chociaż przewodniczącym Sojuszu Lewicy Demokratycznej formalnie jest dobijający sześćdziesiątki Włodzimierz Czarzasty, media znacznie chętniej zapraszają o dekadę starszych lewicowych emerytów – Leszka Millera i Włodzimierza Cimoszewicza. Tego drugiego znacznie częściej. Odkąd prawie dwa lata temu ogłosił, że ostatecznie wycofuje się z życia publicznego w prywatność, praktycznie nie wychodzi ze studia TVN24, regularnie publikuje wywiady w prasie i komentuje bieżącą politykę w radiu i na portalach internetowych, pojawia się też na antypisowskich demonstracjach. Miller zabiera głos rzadziej, ale to jego komentarze, nawet te umieszczone na Twitterze, przyciągają uwagę, są cytowane i dyskutowane.

Nie tylko dlatego, że Miller nie dewaluuje swych opinii nieskrywanym parciem na szkło. Przede wszystkim jego wypowiedzi nie są przewidywalne. Często idą pod prąd poprawności obowiązującej na antypisowskich salonach – Miller np. od samego początku mocno krytykował Angelę Merkel i Komisję Europejską za beztroskie zaproszenie do Europy niekontrolowanych mas „uchodźców" i próbę wepchnięcia ich innym krajom mechanizmem „relokacji". Gdy „totalna opozycja" zachłystywała się oburzeniem z powodu „rozmontowywania praworządności" i „niszczenia Trybunału Konstytucyjnego", były lider SLD trzeźwo i przytomnie pokazywał, że wina rozłożona jest po obu stronach i działania PiS były jedynie równie brutalną odpowiedzią na próbę podporządkowania sobie Trybunału przez PO, udaremnioną przegraną Bronisława Komorowskiego.

DYWIDENDA BYŁEGO

Te i inne wypowiedzi ściągnęły na niego oskarżenia, że „sprzedał się PiS", pojawiły się nawet teorie, jakoby był z szefem PiS już przed wyborami „dogadany" na wspólne rządy – co akurat jest skrajnie nieprawdopodobne, bo po cóż w takim razie wchodziłby SLD w koalicję z Palikotem, która ostatecznie wyeliminowała lewicę z Sejmu. Oskarżenia te nie zrobiły jednak na Millerze wielkiego wrażenia i nie zaszkodziły mu.

Po pierwsze – trudno pokazać, za cóż niby miałby się Leszek Miller „sprzedać" i co takiego dla siebie bądź swoich ludzi od PiS uzyskał (chyba żeby zabrnąć w zupełnie już absurdalne domysły, że ceną jest, powiedzmy, wpuszczenie do TVP Magdaleny Ogórek). A po drugie, przekłuwając dęte przez „totalną opozycję" propagandowe balony, Leszek Miller bynajmniej nie stał się chwalcą PiS. Zdarza mu się ostro krytykować poczynania obecnej władzy, nie tylko za obcinanie emerytur funkcjonariuszy służb PRL i nie tylko tych polityków, z którymi, jak na przykład ze Zbigniewem Ziobrą, od dawna ma na pieńku. Szczególnie dotyczy to polityki PiS w Unii Europejskiej, która zdaniem byłego lidera lewicy zupełnie ignoruje realia i niepotrzebnie antagonizuje nas z unijnymi potęgami, co w perspektywie kilku lat przyniesie Polsce duże szkody.

Wszystko wskazuje na to, że Miller w ostatnich latach postanowił po prostu wypłacić sobie swoistą dywidendę z bycia „byłym". Nie odpowiada już za wizerunek swojej formacji, nie uczestniczy w politycznych grach, od nikogo niczego nie potrzebuje ani sam nikogo nie musi sobie pozyskiwać – stać go więc na to, by po latach gryzienia się w język mówić szczerze, co naprawdę uważa.

Tak w każdym razie jest obecnie Miller odbierany. I to sprawiło, że będąc politycznym emerytem, wciąż pozostaje jednym z punktów odniesienia w debacie publicznej. Pod tym względem jego „życie po życiu" wydaje się przeciwieństwem roli odgrywanej przez rywala do „rządu dusz" nad postkomunistyczną lewicą, wspomnianego już Cimoszewicza, który gorąco starając się wesprzeć walkę z PiS i zaszkodzić Kaczyńskiemu, niestrudzenie powiela propagandowe klisze „totalnej opozycji" i stara się pozostałości obozu postkomunistycznego włączyć w KOD czy Obywateli RP.

POWRÓT SLD

Do pewnego momentu działalność obu panów nie miała większego znaczenia, ale ostatnie sondaże zdają się wskazywać, że SLD ma najgorsze lata za sobą i może liczyć na powrót do ogólnopolskiej polityki. Co prawda, zawdzięcza to raczej nie własnej działalności, której poza prywatną medialną aktywnością kilku osób trudno się w ogóle dopatrzeć, ale rozczarowaniu marnością PO i słabością pozbawionej pieniędzy i struktur terenowych Nowoczesnej, która, wbrew liberalnym deklaracjom, wyrosła głównie dzięki przyciągnięciu elektoratu lewicowego. Niemniej jednak fakt jest faktem – kolejne sondaże pokazują, że część rozczarowanych wyborców jest gotowa wrócić do szyldu SLD i że jest

eprasa.pl cd591204ac

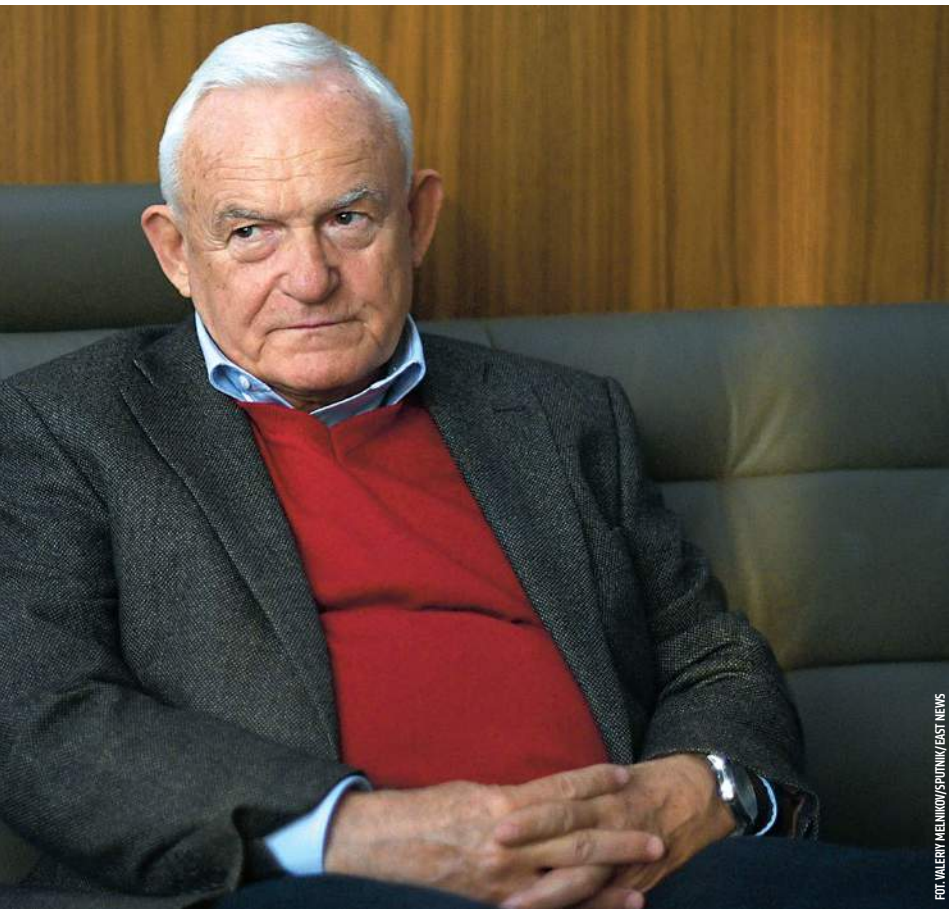

FOT. VALERIY MELNIKOV/SPUTNIK/EAST NEWS

ich wystarczająco wielu, by zapewnić Sojuszowi wejście do Sejmu.

Taki powrót wymaga jednak rozpoznawalnego lidera. SLD nikogo nowego się tu jednak nie dorobił, a wielu stracił – jak doszczętnie ośmieszonego byłego prezydenta Kwaśniewskiego. Pozostają w grze wspomniani wyżej Czarzasty, Cimoszewicz i Miller. O Palikocie – który zresztą uznał ostatnio za stosowne oficjalnie ogłosić, że „wycofuje się z polityki", choć jest poza nią od dawna – nie warto wspominać. Nie zdobył sobie też szczególnej popularności żaden z ludzi kiedyś z nim związanych, choć Andrzej Rozenek bardzo się o to starał. Lansowany przez salon na polskiego Macrona Robert Biedroń pozostaje raczej celebrytą niż politykiem, bez szansy na wyjście poza niszową popularność „pierwszego homoseksualisty III RP". Nie wykreowała też nikogo zdolnego stanąć na czele partii Razem, zresztą na własne życzenie, bo w ramach uprawiania „innej polityki" postawiła, podobnie jak wcześniej Zieloni, na „kolektywność".

Otwierające się w opozycji miejsce dla lewicy dostrzega m.in. komentator portalu Gazeta.pl Grzegorz Sroczyński, nawołując w nadchodzącym roku do zjednoczenia SLD z Razem: „Tak, wiem, że to okropne i pachnie niezbyt ładnie, ale trzeba się dogadać z Czarzastym. Dzięki takiej fuzji Razem pozbędzie się łatki niebezpiecznych radykałów, a SLD łatki cynicznych bezideowców" – pisze. Sroczyński w obozie anty-PiS jest dysydentem, ale właśnie dlatego umie w swych publikacjach opisywać to, co jest, a nie to, co zdaniem jego obozu być powinno.

Czy SLD i Razem rzeczywiście muszą się „dogadać", to osobna sprawa – na pewno ani jedni, ani drudzy nie mają na to ochoty; SLD pamięta doświadczenia z LiD i Palikotem, a Razem obrosło już w piórka jako lewicowy klub pryncypialnych posiadaczy jedynej słuszności, więc postulat Sroczyńskiego spełniony raczej nie zostanie. Jednak jeśli jedna z partii lewicowych będzie w pojedynkę wyraźnie przekraczać próg wyborczy, to w końcu zabierze większość stronników drugiej. I bez wątpienia większą szansę ma na to SLD.

OPOZYCJA NORMALNA

Pytanie, jaka wizerunkowa strategia może temu posłużyć. Droga, którą próbował iść Czarzasty i którą uosabia Cimoszewicz, czyli poddanie się tyranii hasła „Najważniejsze to odsunąć PiS od władzy", wydawała się dwa lata temu łatwiejsza, a bodaj narzucała jako jedyna. Jednak klęska Ryszarda Petru i słabość jego projektu pokazały, że licytowanie się w antypisowskiej retoryce prowadzi tylko do umocnienia hegemonii Grzegorza Schetyny i PO. Pozostaje inna możliwość: wejście w rolę opozycji normalnej, merytorycznej, jasno wskazującej obszary sporu z rządzącym PiS – którego pozostanie u władzy na drugą kadencję coraz bardziej wydaje się przesądzone – ale niepróbującej wmówić wyborcom, że żyją w państwie nielegalnym i reżimie „gorszym niż Hitler", zdolnej zawierać z władzą kompromisy, a nawet z nią, tam, gdzie wymaga tego dobro Polski, współpracować.

W ten sposób w chwili, gdy projekt „ulica i zagranica" coraz wyraźniej bankrutuje, postawa przemawiającego od serca, nieliczącego się z bieżącymi emocjami pozycji „byłego", którą dwa lata temu wybrał Leszek Miller, paradoksalnie uczyniła go predestynowanym do powrotu. Na jego korzyść działa zresztą nie tylko to, że umiał zachować zdrowy rozsądek w antypisowskiej histerii, lecz także wspomnienie czasów, gdy rządził Polską – z obecnej perspektywy, na tle następców, wydają się one wzorem racjonalności i odpowiedzialności za państwo.

Oczywiście łatwo sobie wyobrazić, jaką falę kpin z „nowej twarzy lewicy" wywołałby wśród elektoratu prawicy i sympatyzujących z PiS mediów ewentualny powrót Leszka Millera. Jednak na wyborców, do których odwołuje się lewica, miałoby to wpływ niewiele większy niż niedawne ujawnienie dokumentów związanych z „moskiewską pożyczką" sprzed 27 lat. Które, mówiąc nawiasem, spiskowe myślenie o polityce każe uznać za przesłankę, iż Miller najwyraźniej postrzegany jest przez władzę jako polityk, którego kariera niekoniecznie została już zakończona.

W końcu jest przecież rówieśnikiem Donalda Trumpa i politykiem niewiele starszym od Antoniego Macierewicza, w którym żelaźni zwolennicy PiS widzą potencjalnego następcę Jarosława Kaczyńskiego. A to, że ostatnimi czasy atakuje PiS coraz chętniej i bardziej zdecydowanie, może wskazywać na to, że myśli, iż rok 2018 może otworzyć kolejny etap w jego długiej karierze, wcale nie odrzuca.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd591204ac

Alternatywna rzeczywistość Kijowskiego

Marcin Makowski

Politycznie Kijowski jest dzisiaj cieniem samego siebie. Również społecznie upadł nisko. Co mu zostało?

FOT. ADAM LACH/NAPO IMAGES/FORUM

Wymienienie największych przegranych 2017 r. w polskiej polityce jest dziecinnie proste. To Mateusz Kijowski i Ryszard Petru. O ile ten drugi („zdradzony" przez liderki własnej partii) stara się jeszcze walczyć o utrzymanie na powierzchni, o tyle ten pierwszy („zdradzony" przez najbliższych współpracowników) wybrał podróż do alternatywnej rzeczywistości. Takiej, w której pogrążyły go nie lewe faktury, ale szlachetna naiwność i wiara w ludzi.

Dzień przed Wigilią Mateusz Kijowski spędza na spotkaniu opłatkowym w gronie redakcji NaCzatach.pl. To nowy serwis, do którego przeniósł swoją działalność, dostarczając regularnych diagnoz politycznej kondycji Polski i Europy. – Dla wszystkich najserdeczniejsze życzenia świąteczne. Żebyście je spędzili w tak życzliwej i przepełnionej serdecznością atmosferze, w jakiej my rozkoszowaliśmy się bigosem przy opowieściach o ubekach. Dawnych i obecnych – pisze pod zdjęciem zrobionym „w gościnnych progach państwa Kuczyńskich". Później, w sylwestra, zamieszcza na Facebooku wideo, w którym składa życzenia swoim „wiernym przyjaciołom", a następnie zaczyna grać na gitarze Bułata Okudżawę. „Kto się na związek targnie nasz, najsroższej nie uniknie kary" – śpiewa. I wygląda, jakby w to wszystko wierzył. Jakby czas się cofnął, a on wiódł żywot legendarnego lidera opozycji podczas stanu wojennego. Takiego, który cudem uniknął internowania i musiał się ukrywać po mieszkaniach znajomych, publikując w bibule oraz żarliwie intonując pieśni bardów. Osamotniony, ale wierny ideałom.

Tak w dużym skrócie wygląda stan mentalny, w którym znajduje się były przewodniczący KOD, żalący się na łamach mediów, że nie ma w Polsce pracy dla ludzi z jego przeszłością, a zakupy spożywcze muszą mu robić życzliwi sympatycy. Sporo się zmieniło od czasów pierwszych stron „Polityki" i „Gazety Wyborczej", które okazjonalnie publikuje w mediach społecznościowych, gdy Facebook przypomni mu rocznicę jakiegoś wpisu. Zmieniło się przede wszystkim podejście Kijowskiego właśnie do tych ludzi, którzy – gdy był na fali wznoszącej – widzieli w nim mesjasza opozycji. Kolejnego po Januszu Palikocie, który również w sylwestra, bez większego poruszenia opinii publicznej, zapowiedział całkowite wycofanie się z polityki. Kijowski nie chce skończyć na oucie i po pewnym okresie milczenia coraz wyraźniej daje znać o swojej wewnętrznej metamorfozie. Jego przesłanie nie przypomina jednak antypisowskich połajanek Grzegorza Schetyny czy własnych filipik z okresu świetności, ale… przemowy duchowego guru, którego misję stanowi ideowe zjednoczenie Polaków. W kontrze do możnych tego świata.

PRZYJACIEL LUDU

„Skończył się czas elit" – pisze Kijowski na blogu w tekście, który stanowi rodzaj manifestu ideowego człowieka, który przejrzał na oczy po upadku. – Rok 2017 pokazał, że to wspólnota wartości pociągnęła wszystkich w poprzednim roku, a nie szyldy czy organizacje – twierdzi, dodając, że w roku 2018 będziemy świadkami odrodzenia demokratycznych „celów, postaw i przeżyć", które nie zmieszczą się w ramach działalności żadnej partii. Stanie się tak, ponieważ partie ograniczają egoiści

eprasa.pl cd591204ac

zaangażowani w budowanie własnej pozycji, „mogący zniszczyć największą energię i poruszenie społeczne". Od pewnego czasu Kijowski pisze tylko w analogicznym, antyelitarnym i populistycznym tonie.
– W kręgach, które jeszcze kilkanaście lat temu uznawano za opiniotwórcze, pojawiają się coraz głośniejsze wezwania do przegonienia „chama" albo do wychowania i wyedukowania go – krytykuje Krzysztofa Łozińskiego, obecnego lidera masy upadłościowej po KOD. To właśnie on twierdził niedawno, że rząd PiS „włożył aureolę na głowę chama". Co ciekawe, Kijowski na takie postawienie sprawy się nie godzi, uważając, że Polacy są politycznie mądrzy, ale osieroceni, ponieważ szukają „przyjaciół, a nie przywódców". Oczywiście on mógłby być tym przyjacielem tylko pazerne na władzę elity zrobiły, co w ich mocy, aby zniszczyć człowieka z ludu gromadzącego zbyt duże poparcie.

– W końcu w tzw. salonie do dobrego tonu weszło, żeby wykazać się zgrabnym kopnięciem Kijowskiego. Trudno jest dotknąć prawdziwych oponentów. Kijowski był blisko, więc nawet króciutką nóżką łatwo było dosięgnąć. […] Tak, do was piszę – dziennikarze mediów liberalnych, tak zwanych antypisowskich. Czy przypadkiem nie po prostu konformistycznych? – żalił się na blogu Kijowski, atakując do niedawna sympatyzujące z nim redakcje. Kiedy poświęci się jego przemyśleniom nieco więcej czasu, przynajmniej od chwili ujawnienia skandalu fakturowego, okazują się niezwykle spójne. Mateusz Kijowski ubiera się konsekwentnie w szaty ofiary, której jedynym grzechem była szlachetna czystość intencji. – W swojej naiwności uwierzyłem, że prawda sama się obroni – stwierdził w wywiadzie dla Wirtualnej Polski. – Moje prostolinijne tłumaczenia trafiały na agresję i kolejne kłamstwa. Byłem zaskoczony, oburzony i zagubiony – dodawał w felietonach. Jeden z nich spuentował nawet patetycznie brzmiącym passusem, który jak za dawnych czasów trafił na czołówki portali internetowych: „Nie ulegnę presji ani naciskom. Możecie mnie opluć, możecie mi uprzykrzyć życie, możecie mnie nawet zabić. Ale mnie nie pokonacie".

W roli ofiary Kijowski przedstawia się w tej chwili właściwie bez zażenowania. W mieszkaniu Elżbiety Pawłowicz dziękuje za 32 tys. zł zebranych w ramach „Stypendium wolności", które pozwolą mu zostać w kraju. Wcześniej zagroził bowiem, że jeżeli sytuacja się nie zmieni, to wyleci do Wielkiej Brytanii. W innych wywiadach twierdził, że dostał wilczy bilet, a jedyna praca, która pozwoliłaby mu się utrzymać i spłacać długi, to taka, w której zarabiałby przynajmniej 8 tys. zł brutto. Za mniej robić nie ma sensu. I to nic, że według KRS wcześniej piastował funkcje m.in. prezesa spółki Biznespartner.pl. W jej zarządzie zasiadał Marek Kobiałka, którego jedna ze spółek pojawiła się w kontekście afery związanej z informatyzacją MSWiA. Że był współwłaścicielem prywatnej szkoły i przedszkola, członkiem rady nadzorczej PZU Centrum Operacji i PZU-CL AGT, świadczył usługi dla PZPN, mieszka w 400-metrowym domu.
– Nawet ci, którzy „życzliwie radzili", żebym się wycofał do Sulejówka i napisał książkę, nie zauważali, że w tej analogii brakowało mi jednego istotnego elementu – Sulejówka – miejsca i środków do skoncentrowania się na pisaniu książek czy szykowaniu do przyszłej działalności – ubolewał. W końcu nie ma niczego żenującego w życiu ze wsparcia innych. – Ja też piszę i publikuję teksty. Ludzie ich oczekują, czytają je. Na podobnej zasadzie działają artyści, księża, muzycy – tłumaczył w WP.

Do ostatecznego kontrataku Mateusz Kijowski przeszedł jednak na polu, na którym najwięcej mu do tej pory zarzucano. Alimenciarz wykreował się na bezkompromisowego obrońcę… rodziny. – O moich dzieciach mówi cała Polska i nie tylko. […] Czy ci, którzy tak się niby troszczą o ich los, mają świadomość, jaki im garb wkładają na plecy? – pytał w jednym z felietonów. I dodawał, że przez jego przeciwników pogorszył się stan zdrowia jego matki, która obecnie korzysta z respiratora. Do trudnej sytuacji materialnej dochodzi jeszcze niespłacony kredyt we frankach szwajcarskich i była choroba nowotworowa jego drugiej żony, Magdaleny Kijowskiej, nazywanej wcześniej „szarą eminencją KOD". Tyle że kiedy Kijowskim się wiodło, o problemach nie było słychać. Jak w styczniu 2017 r. zdradził mi Włodzimierz Radwaniecki, lider Straży KOD na Pomorzu, Mateusz kupił małżonce nowy telefon z pieniędzy ze zbiórek publicznych oraz „zabrał ją na wycieczkę do USA, ponieważ była mu potrzebna w roli tłumacza przysięgłego". Dzisiaj Kijowski odrzuca wszelką krytykę, traktując ją jako ciosy zazdrosnych współpracowników. – Muszę obronić swoją rodzinę przed kłamstwami i oszczerstwami. […] żałuję, że kiedyś szliśmy obok siebie. Bo to musiało być nieporozumienie. Ja szedłem po szacunek dla różnorodności, wzajemną troskę i solidarność, uznanie dla odrębności każdej osoby. Szedłem po wolność, równość i demokrację. Solidarność i braterstwo. Ale w tych wartościach to, co zrobiliście mojej rodzinie, się nie mieści – odbija piłeczkę były lider KOD. I dodaje niczym apostoł demokracji: „Dla kogo ważniejsze jest, żeby się nie narazić, niż żeby dotrzeć do prawdy, ten nie jest ze mną".

POLSKA DO NIEGO NIE DOROSŁA

Dochodząc do tego miejsca, czytelnik może się słusznie zapytać: Czy Mateusz Kijowski naprawdę nie wie, o co jest oskarżany? Czy nie ma świadomości, dlaczego ludzie się od niego odwrócili, i że organizacyjnie oraz finansowo rozłożył KOD na łopatki? A może wszyscy padliśmy ofiarą chłodnego cynika i manipulanta, który tylko pozuje na baranka pokoju? Gdybym dzisiaj – po prawie dwóch latach badania środowiska Komitetu i kilkunastu tekstach na temat jego struktur oraz ludzi – miał się pokusić o odpowiedź na to pytanie, stwierdziłbym, że Kijowski naprawdę wierzy w swoje przesłanie. Tylko Polska do niego nie dorosła.

„Róbmy swoje! A reszta niech żyje w swojej, pożal się Boże, prawdzie"; „Mateuszu, dla mnie byłeś i jesteś bohaterem. Zgromadziłeś nas, stanąłeś na czele, poprowadziłeś. To jest wielka rzecz i odwaga"; „Matku, jesteś silny i potrzebny. Dasz radę! Nigdy nie straciłam wiary w Ciebie"; „Panie Mateuszu, chociaż nie znamy się bliżej, to byłem i jestem za Panem duszą, sercem i kieszenią". To tylko próbka komentarzy pod postami Kijowskiego w serwisie NaCzatach.pl. Zero krytyki, aktywna moderacja, syndrom wyparcia. Jak tu nie uwierzyć, że naród czeka?

– Nie mam żadnego kontaktu z Mateuszem i to pewnie już się nie zmieni. Obaj jesteśmy dla siebie nawzajem przeszłością, dlatego nie będę komentować, a tym bardziej oceniać jego dzisiejszej postawy i działalności. Z całego serca życzę mu, żeby wszystkie sprawy udało mu się pomyślnie poukładać – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" Radomir Szumełda, były wiceprzewodniczący KOD, kiedyś najbliższy współpracownik Kijowskiego. I chyba tak właśnie kończy się jego polityczna historia. Z wiernymi wyznawcami u boku i dawnymi współpracownikami na antypodach. A Kijowskiemu zostaje doklejanie na blogu swojej głowy do słynnego plakatu Solidarności z Garym Cooperem. Może nie warto mu już mówić, co poszło nie tak? To byłoby jednak trochę bez serca.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd591204ac

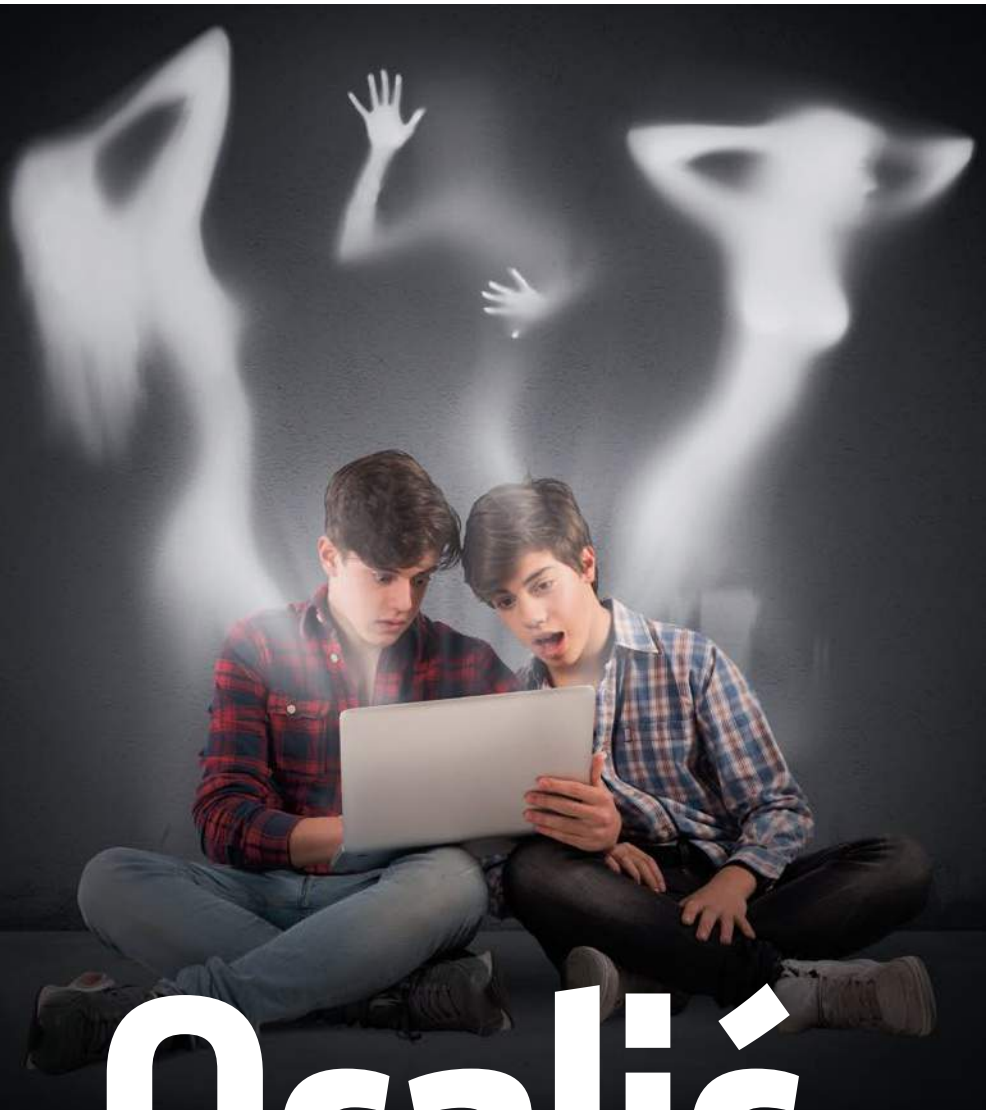

Ocalić od porno

Agnieszka Niewińska

Internet uczynił pornografię tak dostępną dla młodzieży jak jeszcze nigdy w historii. Czy nowa kampania otworzy oczy rodzicom, którzy tego problemu wolą nie dostrzegać?

FOT. FOTOLIA

Mit? Przesada? Absolutnie nie. To są twarde badania naukowe z wielu krajów świata. Od 40 do 50 proc. młodzieży sięga po pornografię – mówi seksuolog dr Bogdan Stelmach. I dodaje, że w rozmowach o oglądaniu treści pornograficznych przez młodych ludzi wielu z nas wpada w pułapkę. – Argumentuje się, że pornografia istnieje od zarania dziejów – funkcjonowała w formie obrazów, zdjęć, a może nawet malowideł naskalnych. Zwraca się uwagę, że nastolatkowie już pokolenia temu z wypiekami na twarzy po kryjomu oglądali tzw. świerszczyki, a teraz zmieniła się tylko ich forma, bo mamy Internet. Otóż nie, Internet zmienił wszystko. Liczba bodźców, których dostarcza internetowa pornografia w danej jednostce czasu, nie da się z niczym porównać. To silnie oddziałuje na mózg, powadzi do jego nieodwracalnych zmian. Wiemy to dzięki badaniom obrazowania mózgu – tłumaczy dr Stelmach. I dodaje, że zbyt późno zauważono zagrożenie, jakim są treści porno w Internecie. – Na jednej z konferencji profesor, która występowała, stwierdziła wręcz, że kiedyś oburzaliśmy się treściami, jakie publikował „Hustler", i nie braliśmy pod uwagę, że kiedyś pomyślimy o „Hustlerze": Wróć!

Polskie badania nie pozostawiają złudzeń. Te przeprowadzone w 2014 r. wśród gimnazjalistów przez Instytut Profilaktyki Zintegrowanej (IPZ) pokazują, że 61 proc. chłopców i 42 proc. dziewcząt pierwszy kontakt z pornografią miało, zanim skończyło 12 lat. 46 proc. chłopców w gimnazjum ma kontakt z pornografią od kilku do kilkudziesięciu razy w miesiącu. 15 proc. zadeklarowało, że ogląda ją ponad 30 razy w miesiącu. Rzadziej po pornografię sięgają dziewczęta, jednak ma z nią kontakt aż 21 proc. gimnazjalistek. 13 proc. do dwóch razy w miesiącu. Badanie przeprowadzono na ponad 10,8 tys. uczniów II i III klas gimnazjum z 10 województw.

– Nie potrzeba nawet specjalnych przewidywań co do tego, jakie konsekwencje społeczne przyniesie wysoki stopień konsumpcji pornografii przez młodych ludzi. Wystarczy popatrzeć na to, co się dzieje w Japonii, która szybko się rozwijała i dała młodym ludziom dostęp do nowych technologii. Przeszło 60 proc. z nich nie jest w ogóle zainteresowanych szukaniem partnera, tworzeniem związku, rodziny. Wielu młodych

Japończyków nie szuka partnerki, bo i tak żadna nie jest w stanie dać im tylu bodźców, ile daje pornografia – opowiada dr Stelmach. I wylicza skutki konsumpcji pornografii przez młodych ludzi: uzależnienie od takich treści, szukanie tych coraz bardziej drastycznych, powolna degradacja, aplikowanie sobie pornografii i masturbacji jako remedium na wszystkie problemy i troski wieku nastoletniego. – Na końcu tej drogi jest utrata zdolności do współżycia ze stałym partnerem, stworzenia stałego związku. Takie osoby traktują drugą osobę instrumentalnie, są niezdolne do empatii. Bywa i tak, że kończy się to poszukiwaniem dziwnych rozwiązań seksualnych, dewiacjami. To nie są hipotezy. Z tym spotykam się w codziennej pracy – przestrzega seksuolog.

SEKS W SMARTFONIE

O tym, jak poważnym zagrożeniem jest dla młodego człowieka pornografia, chce przekonywać rodziców i wychowawców Stowarzyszenie Twoja Sprawa (STS). W ramach kampanii „Pornografia szkodzi dzieciom!" STS zebrało przeprowadzone w Polsce i w wielu innych krajach badania oraz literaturę fachową w raport „Negatywne konsekwencje korzystania z pornografii".

– W pierwszej kolejności chcemy dać rodzicom wiedzę – tłumaczy Izabela Karska, psycholog ze Stowarzyszenia Twoja Sprawa. Drugim krokiem kampanii jest pokazanie rodzicom, jak mogą rozpocząć z dzieckiem rozmowę o problemie pornografii, o tym, dlaczego jej oglądanie szkodzi, i jak reagować, gdy w szkole któreś z dzieci ogląda oraz propaguje wśród kolegów treści porno. – Zakaz to za mało, a rzeczowa rozmowa może przekonać młodych ludzi do niesięgania po pornografię. Większość rodziców nie ma jednak ani wiedzy na temat problemu rozpowszechniania pornografii wśród dzieci, ani umiejętności rozmawiania z dziećmi o niej. Obawia się rozpoczęcia takiej rozmowy i często nie wie, jak odpowiedzieć na trudne pytania. Chcemy im w tym pomóc – mówi Karska.

Przyczynkiem do rozmowy może być już założenie filtru rodzinnego na domowe sprzęty elektroniczne. – Po co ten cały filtr? – może zapytać dziecko. STS zachęca, by tych dziecięcych pytań nie pozostawiać bez odpowiedzi. Zaproponowało cztery filmy wideo i kilkanaście rozmów audio, które mogą posłużyć rodzicom za inspirację do domowych rozmów z młodymi ludźmi. „W Internecie są nie tylko śmieszne filmiki, lecz także takie zupełnie nieśmieszne, których nie powinieneś oglądać. Żaden wrażliwy człowiek nie powinien" – wyjaśnia synowi bohaterka jednego z edukacyjnych filmów STS. – Taka argumentacja może być pomocna, kiedy dziecko zapyta, dlaczego chcemy zabezpieczyć jego komórkę lub komputer filtrem rodzicielskim. Nie chodzi o nieufność rodzica, ale o to, że niewłaściwe treści mogą się na ekranie pojawić przypadkiem – tłumaczy Karska. STS proponuje też, by wyjaśniać dorastającej młodzieży, że filmy pornograficzne nie pokazują prawdy o ludzkiej seksualności, wypaczają obraz relacji kobiety i mężczyzny, propagując przemoc. Wszystkie materiały kampanii można znaleźć na specjalnej stronie internetowej: www.bezpornografii.pl/dzieci.

W ramach kampanii „Pornografia szkodzi dzieciom!" rodzice mogą sięgnąć także po informacje na temat tego, jak zabezpieczyć domową sieć komputerową i urządzenia elektroniczne, z których korzystają dzieci. – Nie trzeba być informatykiem, żeby założyć oprogramowanie filtrujące, ale jeśli się na tym nie znamy, to warto poprosić o pomoc serwis lub sprzedawców, u których kupiliśmy np. nowy telefon dla dziecka. To naprawdę nie jest duża cena za bezpieczeństwo naszych dzieci, bo – jak mówi młodzież – „Co się zobaczy, już się nie odzobaczy" – radzi Karska.

80 proc. smartfonów, z których korzystają dzieci, nie ma żadnego zabezpieczenia przed niewłaściwymi treściami. Z badań Instytutu Profilaktyki Zintegrowanej wyraźnie wynika natomiast, że to na tym urządzeniu dzieci oglądają pornografię najczęściej. W 2013 r. deklarowało ten fakt 19 proc. gimnazjalistów, w 2014 r. – 30 proc. Karska dodaje, że ważne jest również to, aby z dziećmi ustalić zasady korzystania z elektroniki w domu i konsekwentnie ich przestrzegać: wyznaczyć czas, jaki w tygodniu mogą przeznaczyć na gry i surfowanie po sieci, miejsce, w którym korzystamy z komputera, i czas, kiedy z elektroniki korzystać nie będziemy – podczas nauki i snu. – Dozór rodzicielski nie powinien ograniczać się do elektronicznych blokad, ważne są zainteresowanie rodzica tym, jakie strony w sieci odwiedza jego dziecko, oraz rozmowa z nim. W przypadku młodych ludzi to właśnie rozmowa jest kluczem do ich bezpieczeństwa, bo według badań IPZ to rodzice wciąż są dla nich źródłem wiedzy o miłości i seksualności, któremu najbardziej ufają. Nie Internet – zastrzega psycholog STS.

POSŁOWIE ZABLOKUJĄ PORNO?

W 2014 r. z inicjatywy posłów Solidarnej Polski w Sejmie pojawił się projekt uchwały zobowiązujący ówczesne Ministerstwo Administracji i Cyfryzacji do przygotowania rozwiązań prawnych nakazujących operatorom internetowym systemowe blokowanie dostępu do takich treści, chyba że zgodę na nie wyraziłby dorosły użytkownik. Pomysł był żywo dyskutowany. Pojawiły się zarzuty o cenzurę sieci, wątpliwości na temat tego, kto zdecyduje o tym, jakie treści blokować i czy dane użytkowników, którzy zadeklarowali chęć dostępu do treści pornograficznych, będą gdzieś gromadzone. Ostatecznie pomysł upadł. Pojawiły się plotki, że pod rządami PiS odżyje. Jednak jak poinformował nas poseł PiS Arkadiusz Mularczyk, w tej chwili nie toczą się żadne prace w tym temacie.

Seksuolog dr Bogdan Stelmach uważa, że trudno jest osiągnąć polityczne porozumienie w sprawie ograniczenia dostępu do pornografii, zwłaszcza że światowe badania pokazują, iż 70 proc. konsumentów pornografii w dorosłym życiu opowiada się za partiami liberalnymi, chcąc w ten sposób wpływać na liberalne rozwiązania prawne w zakresie seksualności. – Uchronić dzieci przed negatywnymi konsekwencjami, jakie niesie ze sobą pornografia, można tylko wtedy, kiedy mówi się im o wartościach. U dojrzewającej młodzieży pojawia się swego rodzaju idealizm rozwojowy. Chcą idealnej rodziny, idealnej miłości, związku na całe życie. Jeśli w tym momencie w ich życiu pojawi się ostra pornografia, to zburzy ona ich świat. Dlatego tak ważne jest informowanie, uświadamianie rodziców, jak groźne dla ich dzieci są takie treści – wyjaśnia seksuolog. – Internetowa pornografia to zło niemal doskonałe. Jest bardziej podstępna niż narkotyki. Nie da się jej znaleźć w kieszeni młodego człowieka, nie da się zauważyć zmian w źrenicach dziecka ani jego nietypowych zachowań. W dodatku dotyczy sfery intymnej, o której nie mówimy otwarcie. W dorosłość wchodzi pokolenie, które doświadcza ciężaru nieograniczonego dostępu do pornografii. Następne możemy przed tym uchronić – dodaje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd591204ac

Odzyskać kamienice

Ewa Łosińska

Ministerialny zespół do spraw reprywatyzacji będzie miał w Krakowie trudniejsze zadanie niż w Warszawie

Po kamienicach warszawskich trwa „lustracja" zwrotów krakowskich nieruchomości. Wiele wyroków w tych sprawach jednak dawno się uprawomocniło. Konieczne są też szybkie decyzje resortu finansów, by móc zablokować kolejne oszustwa.

DOKUMENT ZE LWOWA

Powołany w październiku przez ministra Zbigniewa Ziobrę dziewięcioosobowy zespół spróbuje pomóc w odzyskaniu tego, na co jeszcze w Krakowie pozwala prawo. Śledczy badają już blisko 50 spraw. Na pewno będzie ich więcej. Wciąż zapadają też wyroki sądowe.

W listopadzie na dwa lata więzienia skazano adwokata, który próbował wyłudzić budynek i działkę. Mecenas Adam W. zamierzał „odzyskać" nieruchomości warte kilka milionów złotych na zlecenie Aleksandra L. Ten drugi spędzić ma za kratami półtora roku. Wyroki nie są jeszcze prawomocne. – Materiał sprawy nadaje się na scenariusz filmu – stwierdził, uzasadniając wyrok, sędzia Maciej Czajka.

76-letni Adam W. i jego klient chcieli wyłudzić kamienicę przy ul. Dietla 101 i działkę przy ul. Koletek 11 w Krakowie, które należały przed wojną do rodziny Feinerów. W PRL przejęło je państwo. W 1999 r. pojawił się w Krakowie Aleksander L. Twierdził, że jest spadkobiercą działki oraz budynku. Reprezentował go mecenas W.

L. miał dokumenty, zgodnie z którymi jego rodzina pomagała Feinerom podczas okupacji, za co wdzięczni żydowscy właściciele przekazali jej nieruchomości. Według materiału z ukraińskiego archiwum krewni Feinerów zginęli we Lwowie w 1941 r. Zaświadczenie o przekazaniu przez właściciela kamienicy ojcu Aleksandra L. też wystawił urzędnik lwowskiego archiwum.

Późniejsze śledztwo wykazało, że i testament, i potwierdzenie śmierci żydowskiej rodziny sfałszowano. W czasie procesu w sądzie pojawił się syn spadkobiercy i zeznał, że Samuel Feiner mieszka w amerykańskim Baltimore. Jego rodzina po wojnie była też w Krakowie. Rzekomo hojny wobec krewnych Aleksandra L. autor testamentu zmarł dopiero w 2011 r.

Z kolei w Łodzi, w październiku, na ławie oskarżonych miał zasiąść „gang spadkobierców". Wśród wyłudzających kamienice są prawnicy i – jak donoszą

W Krakowie zbadana zostanie m.in. sprawa kamienic przy ul. Skałecznej FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

eprasa.pl cd591204ac

media – były wicemarszałek województwa. Przestępcy czuli się tak pewnie, że po przejęciu jednej z kamienic pozwali miasto, domagając się zwrotu wpływu z czynszów i odszkodowania za to, iż nie eksmitowano lokatorów. Prokuratura w Łodzi prowadzi co najmniej 20 podobnych spraw przeciwko wyłudzającym kamienice.

Proces się nie rozpoczął, bo w ostatniej chwili jeden z oskarżonych – prawnik – się rozchorował.

KRZEPKI STULATEK

W Krakowie natomiast postawiono w październiku zarzuty dotyczące próby wyłudzenia kamienicy przy ul. Krowoderskiej 47. Oskarżono dozorcę kamienicy i jego znajomych. I tu użyto sfałszowanego testamentu – twierdzi prokuratura.

Samotna właścicielka kamienicy zmarła w 2007 r., nie spisując ostatniej woli. Nieruchomość powinna przejść na rzecz gminy Kraków. Jednak Stanisław P. zawiadomił sąd, że właścicielka ustnie przekazała spadek dozorcy kamienicy Mirosławowi Cz. Świadkami wydarzenia – oprócz Stanisława P. – miały być jego żona i córka.

Prokuratura w to nie uwierzyła. Na ławie oskarżonych zasiądą cztery osoby, które – oprócz kamienicy – chciały przejąć meble i obrazy warte ok. 83 tys. zł. Warto dodać, że nazwisko Stanisława P. pojawia się też w sprawach innych przejęć kamienic.

Takie procesy zwykle ciągną się latami. I rzadko zapadają wyroki skazujące oszustów. Jeden z nielicznych ogłoszono w czerwcu 2003 r. – ukarano szajkę, która wyłudziła pod koniec lat 90. sześć krakowskich kamienic.

Mechanizm oszustw zwykle był podobny. U notariusza zjawiał się starszy pan, podający się za właściciela nieruchomości, którego nazwisko zapisano w księgach wieczystych. Posługiwał się zagranicznym paszportem. Szybko tanio sprzedawał „odzyskaną" kamienicę podstawionym osobom. Te bez zwłoki zbywały ją następnym kontrahentom. Przy kolejnych transakcjach kupcy nabywali nieruchomość już po cenie rynkowej i w dobrej wierze.

W schwytaniu siódemki oszustów pomogła czujność lokatorów jednej z kamienic. To oni w 1998 r. zawiadomili prokuraturę. Podejrzane wydały im się niska cena sprzedawanego budynku oraz to, że rzekomy Samuel Płóciennik, który nagle zjawił się w Krakowie, miałby w dniu transakcji znacznie ponad 100 lat.

Okazało się, że oszust posłużył się skradzionym w Belgii paszportem. Śledczy nie schwytali przestępcy. Siedem zatrzymanych osób to ludzie zamieszani w przejmowanie i sprzedaż kamienic.

ODSZKODOWANIA I KAMIENICE

Jak mówi „Do Rzeczy" Włodzimierz Krzywicki, rzecznik Prokuratury Regionalnej w Krakowie, po nagłośnieniu tych spraw mieszkańcy Krakowa znów się uaktywnili. – Praktycznie codziennie zespół dostaje informacje na temat możliwych wyłudzeń nieruchomości – przyznaje.

Zespół nie ma jednak łatwego zadania. Przejmowanie nieruchomości pod Wawelem odbywało się inaczej niż w Warszawie. Miasta nie dotyczył tzw. dekret Bieruta. W Krakowie nieruchomości zwracały spadkobiercom sądy, a nie urzędnicy.

Ogromnym problemem są również – i to nie tylko dla Krakowa – tzw. umowy indemnizacyjne. PRL zawarła je z 14 państwami zachodnimi w latach 1948–1971, by nie nakładano na komunistów sankcji gospodarczych za znacjonalizowane mienie. Na ich mocy obywatelom tych krajów wypłacono odszkodowania za nieruchomości pozostawione po wojnie w Polsce.

Jednak w wielu przypadkach nie zadbano o zachowanie dokumentacji umów ani o odpowiednie wpisy do ksiąg wieczystych, toteż kamienic – mimo zapłaconych odszkodowań – Skarb Państwa nie odzyskał. Przez lata lista owych nieruchomości była też utajniona. Dlatego również działalności urzędników resortu finansów w sprawach dotyczących Krakowa ma się przyjrzeć zespół powołany przez Zbigniewa Ziobrę.

Jak wynika z danych dostępnych na stronie Ministerstwa Finansów, liczba nieruchomości objętych wspomnianymi układami odszkodowawczymi przekracza 8 tys. Natomiast z pisma sekretarza stanu resortu finansów z kwietnia 2017 r. – odpowiedzi na interpelację poselską – wynika, że od 1968 do 2017 r. minister finansów wydał w takich sprawach tylko ok. 300 decyzji o przejściu nieruchomości na własność Skarbu Państwa (dzięki tym decyzjom możliwy jest wpis w księgach wieczystych). To oznacza, że po 9 kwietnia 1968 r. – kiedy w PRL przyjęto przepisy dotyczące wpisów takich nieruchomości do ksiąg – niezbędne decyzje wydano w zaledwie kilku procentach przypadków.

Czy resort finansów zdoła nadrobić takie niebywałe „zaległości"?

Część z owych niewpisanych do ksiąg nieruchomości to sprawy krakowskie. W grudniu zeszłego roku małopolski poseł PO Bogusław Sonik, który od lat zbiera informacje o wyłudzeniach kamienic, zamieścił w Internecie listę 344 krakowskich nieruchomości, za które wypłacono odszkodowanie na podstawie wspomnianych umów. Lista może być jednak znacznie dłuższa, bo nie ma pełnych danych ze wszystkich 14 krajów.

ANALIZA I SPOŁECZNY AUDYT

Powołując specjalny zespół, Zbigniew Ziobro przypomniał, że tę decyzję poprzedziły prowadzone przez prokuratora regionalnego w Krakowie kwerenda i analiza „zaległych spraw" w Prokuraturze Okręgowej w Krakowie oraz podległych jej jednostkach. Śledczy przyglądali się sprawom dotyczącym zwrotów nieruchomości z lat 2005–2016 w postępowaniach karnych, cywilnych oraz administracyjnych. – Mamy do czynienia z wielką aferą wyłudzeń kamienic – podsumował te prace prokurator generalny.

Od 2005 r. w Prokuraturze Okręgowej w Krakowie prowadzono 117 spraw dotyczących nieprawidłowości przy reprywatyzacji kamienic na terenie miasta. W 73 sprawach odmówiono wszczęcia śledztwa, a 36 umorzono. Tylko w trzech przypadkach skierowano akty oskarżenia, pięć spraw trwa.

Ponadto prokuratury z okręgu krakowskiego prowadziły 274 sprawy z zakresu postępowania cywilnego i postępowania administracyjnego dotyczące nieruchomości krakowskich, głównie w latach 1999–2004.

Swoje materiały prokuratorom przekazał poseł Sonik. Z kolei działacze krakowskiego stowarzyszenia Miasto Wspólne prowadzą „społeczny audyt reprywatyzacji" – projekt realizowany ze środków Fundacji Batorego. Badanie dotyczy ponad 200 nieruchomości. Pierwsze wyniki też przekazali prokuraturze.

Osoby kwestionujące „prywatyzację" kamienic zgłaszały się także do zespołu powołanego w 2016 r. przez wojewodę małopolskiego. Ten zakończył pracę w maju 2017 r. Informacje o ok. 100 „podejrzanych" nieruchomościach przekazano resortowi sprawiedliwości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd591204ac

Piotr Kościński

Repatriacja

W ciągu 10 lat do kraju ma przyjechać 10 tys. rodaków. Nowa ustawa zapewnia im pobyt w ośrodku i 25 tys. zł po jego opuszczeniu

Kazachstan, rok 1941. Grupa deportowanych Polaków pracujących w kołchozie FOT. NN, ZBIORY OŚRODKA KARTA, UDOSTĘPNIŁA KRYSTYNA DĄBROWSKA

Jedziemy przez step, na zachód od Astany. – Wy Polacy? – pyta kierowca busa, siwiejący Kazach. – Tak – odpowiadamy. – W Szortandach pod kościół? – No oczywiście! – Dobrze, że tak swoim pomagacie. Puszczę wam Annę German – z uśmiechem kiwa głową kierowca. Na kazachskim stepie rozbrzmiewa śpiew Anny German, potem polonez Ogińskiego, wreszcie jakieś disco kazach. Pełen surrealizm.

Pytanie, jakie się pojawia przy okazji tej dość niezwykłej rozmowy: Czy rzeczywiście wystarczająco pomagamy naszym rodakom w Kazachstanie? Czy obecna akcja repatriacyjna, określana jako „Wielki Powrót", może ich (i nas) satysfakcjonować? I czy mamy plan wsparcia tych, którzy z szans na powrót nie skorzystają?

KRAJ WYSIEDLONYCH

Kazachstan, tak jak Syberia, był miejscem zsyłek. W 1897 r. na terytorium dzisiejszej republiki żyło 3,4 mln Kazachów, 454 tys. Rosjan i 860 tys. Ukraińców. W 1926 r. liczba Kazachów wzrosła niewiele, bo do 3,6 mln, ale Rosjan znacząco, bo do 1,3 mln. Rok 1939 przyniósł znaczącą zmianę: Kazachów pozostało zaledwie 2,3 mln, natomiast Rosjan przybyło i przewyższyli liczbę Kazachów – 2,5 mln, pojawili się też Niemcy – 92 tys. i Polacy – 54 tys. W 1970 r. Kazachów było 4,1 mln, Rosjan – 5,5 mln, Ukraińców – 930 tys., Niemców – 839 tys., a Polaków – 61 tys.

Skąd na kazachskim stepie Polacy i Niemcy? Nasi rodacy zostali przywiezieni tam w 1936 r., gdy z Ukraińskiej SRR deportowano ich kilkadziesiąt tysięcy. Kolejna fala zsyłek miała miejsce w latach 1940 i 1941, ale ci Polacy, jeśli przeżyli, mieli szansę na powrót do kraju po wojnie. Z kolei Niemcy osiedlili się na Powołżu po apelach carycy Katarzyny II w końcu XVIII w. W 1924 r. powstała nawet Niemiecka Nadwołżańska Autonomiczna SRR. Po agresji Niemiec na ZSRS Niemców nadwołżańskich zesłano do Kazachstanu. Natomiast z Ukrainy deportowano ich na Syberię.

Główna różnica między żyjącymi w ZSRS Niemcami i Polakami polegała na tym, że ci pierwsi zaczęli emigrować do RFN jeszcze podczas pierestrojki. Wystarczyło pokazać w ambasadzie RFN Biblię w języku niemieckim jako dowód, że przodkowie pochodzili z Niemiec. I tak do RFN przyjeżdżały całe wioski. Uzyskiwali status „Aussiedler", co dawało im bilet na podróż z Moskwy do Frankfurtu (z całym dobytkiem), obywatelstwo RFN, prawo do pracy i zasiłek dla bezrobotnych na okres trzech lat.

Polacy nie mieli jak wracać. Pierwsze artykuły w prasie – tej dostępnej w polskich kioskach – o tym, że w Kazachstanie są polskie wsie, pojawiły się dopiero w 1988 r. w wileńskim „Czerwonym Sztandarze" (jedyny dziennik w ZSRS w języku polskim).

Poczynając od 1980 r., z Kazachstanu wyemigrowała większość Niemców. W latach 1993–1997 emigrowało 100 tys. osób rocznie! (Trzeba przy tym odnotować, że w 2006 r. grupa 1,5 tys. repatriantów powróciła do Kazachstanu i takie powroty się czasem zdarzają. Przystosowanie się do życia w Niemczech okazuje się dość trudne).

I teraz Niemcy emigrują. W samym tylko 2015 r. do RFN dotarło 6 tys. Niemców z Kazachstanu, a w mniejszym stopniu z Rosji (są też grupy z Kirgistanu i Ukrainy). Większość dołącza do swych rodzin, już żyjących w Niemczech. Podobne są liczby repatriantów z lat poprzednich. Według najnowszych szacunków w Kazachstanie żyje obecnie 182 tys. Niemców, gdy w 1989 r. było ich 958 tys.!

Najnowsze szacunki mówią też o 32 tys. Polakach, gdy w 1979 r. było ich 61 tys. Została połowa, ale nie należy z tego wycią-

eprasa.pl cd591204ac

przyśpieszyła

gać wniosku, że reszta wyjechała do Polski. Większość trafiła do Rosji, dokąd wyjechać było o wiele łatwiej.

W Polsce w 2001 r. przyjęto ustawę repatriacyjną. Dawała ona Polakom w Kazachstanie nieporównywalnie gorsze możliwości niż analogiczne niemieckie przepisy. Kosztami repatriacji zostały obciążone gminy, które – jeśli oczywiście mogły i chciały – miały możliwość zaproszenia repatriantów. Musiały „tylko" dać im mieszkanie i zapewnić na pewien czas pracę, co w praktyce okazywało się bardzo trudne.

W efekcie spora grupa Polaków z Kazachstanu, zamiast w Polsce, osiedliła się w Oziorsku w obwodzie kaliningradzkim. Oczywiście po wprowadzeniu Karty Polaka sytuacja nieco się poprawiła. Pomagał też mały ruch graniczny, ale teraz niestety jest on zawieszony.

Ostatnich kilkanaście lat to historia walki o nową ustawę repatriacyjną. Dziwnym trafem politycy różnych opcji publicznie byli „za", jednak gdy przychodziło do podejmowania decyzji, nic się nie udawało.

O ustawę walczył były marszałek Sejmu śp. Maciej Płażyński, który był prezesem zajmującego się Polakami za granicą stowarzyszenia Wspólnota Polska. Po jego tragicznej śmierci w katastrofie smoleńskiej sprawę przejął jego syn, Jakub. We wrześniu 2010 r. w Sejmie został złożony obywatelski projekt ustawy z podpisami ponad 200 tys. osób. Pierwsze czytanie w grudniu tego roku; posłowie wszystkich klubów poparli ideę projektu. Niestety, mimo tych deklaracji prace szły jak po grudzie. Projekt trafił w 2013 r. do specjalnej podkomisji i tam utknął.

Projekt przewidywał, że organem odpowiedzialnym za repatriację ma być Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji, które miałoby dbać o zapewnienie repatriantom mieszkania na okres nie krótszy niż dwa lata. Repatriant miał otrzymywać 1175 zł miesięcznie na pokrycie kosztów utrzymania, a władze powiatów, w których żyją repatrianci, dostawałyby dofinansowanie na stworzenie dla nich stanowisk pracy i ewentualne przeszkolenie. Związek Repatriantów RP szacował, że dzięki ustawie przyjedzie do Polski 15–20 tys. Polaków, przede wszystkim z Kazachstanu.

Ustawa nie została przyjęta. Projekt w istocie rzeczy sabotowano, obawiając się jego finansowych następstw. Oznaczał bowiem wydatki dla państwa, a tego przede wszystkim obawiali się rządzący.

NOWA USTAWA

PiS zdecydowany był zrealizować swoje przedwyborcze zapowiedzi, a wśród nich – zmianę systemu repatriacji. Rząd zapowiedział więc nową ustawę repatriacyjną. Ostatecznie dość szybko została ona opracowana i bez większych problemów przyjęta, a pod koniec kwietnia podpisał ją prezydent Andrzej Duda. Ustawa zmienia definicję repatrianta. Będzie to osoba, która przybyła do Polski na podstawie wizy krajowej wydanej w celu repatriacji z zamiarem osiedlenia się na stałe. Przewidziano ustanowienie pełnomocnika rządu oraz powołanie Rady do spraw Repatriacji. Pełnomocnikiem został podsekretarz stanu w MSWiA Sebastian Chwałek.

Z nieoficjalnych informacji wynika, że pierwotny projekt, opracowany przez grupę ekspertów, szedł dalej niż ostateczna wersja i kładł nacisk zwłaszcza na łączenie rodzin. Podobno pewne ograniczenie wprowadzone zostało na życzenie MSWiA, które zostało organizatorem repatriacji – choć wcześniej cały projekt pilotował minister Henryk Kowalczyk z KPRM.

Planuje się ściągnięcie w ciągu 10 lat 10 tys. repatriantów, a więc około tysiąca rocznie. To dużo w odniesieniu do lat poprzednich, ale stosunkowo niewiele w porównaniu z rozwiązaniami niemieckimi czy nawet rosyjskimi. Cała akcja ma być oparta na ośrodkach adaptacyjnych dla repatriantów, to tam mają docierać i gościć po około pół roku. Nawet jeśli ktoś ma rodzinę w Polsce, to do ośrodka powinien trafić. Będzie uczył się języka polskiego i zdobywał potrzebną wiedzę, ale szans na pracę w tym czasie raczej mieć nie będzie – dostanie za to zasiłek dla bezrobotnych.

Z kolei opuszczając ośrodek adaptacyjny, każdy otrzyma po 25 tys. zł z przeznaczeniem przede wszystkim na cele mieszkaniowe. To oznacza, że np. czteroosobowa rodzina otrzyma 100 tys. zł, a licząc dodatkowo po 6 tys. zł na zagospodarowanie się – co najmniej 124 tys. zł.

Minister Kowalczyk podkreśla, że rząd zastanawia się nad poziomem finansowania repatriantów. Może on ulec zwiększeniu, bo inaczej wygląda sytuacja kilkuosobowej rodziny, w której otrzymane środki się kumulują, a inaczej w rodzinach mniejszych. Rozważane jest więc stworzenie takiej formuły, w której każda rodzina otrzymywałaby jakieś minimum, a dodatkowo przysługiwałyby pieniądze na każdego jej członka.

DZIESIĘĆ LAT CZEKANIA?

Na razie wszystko jest na etapie przygotowań. Nie wiadomo, gdzie poza Pułtuskiem (tam powstał pierwszy ośrodek) będą ośrodki adaptacyjne.

Z rozmów z Polakami w Astanie, Szortandach i Pierwomajce, przeprowadzonych w lipcu podczas wyprawy Fundacji Joachima Lelewela (zawieźliśmy polskim organizacjom cztery laptopy), wynika, że zainteresowanie repatriacją jest – ale wcale nie każdy chce jechać do Polski. Chociaż w Kazachstanie wciąż jest ciężko, to jednak pojawiła się nadzieja, że będzie lepiej. A mimo że Polska z odległości 4 tys. km jawi się wciąż jak wyśniony raj, nasi rodacy patrzą na sytuację trzeźwym okiem. Nie pociąga ich perspektywa, że sporo chętnych musi czekać kilka lat i dłużej. Jeśli bowiem mówimy o 10 tys. w 10 lat, to oznacza, że osoby z numerami na liście 9000 i więcej będą musiały długo czekać. Bardzo długo. Chociaż zawsze pozostaje nadzieja, że jeśli raz udało się poprawić ustawę, to uda się jeszcze drugi… ©℗

Autor jest dziennikarzem i analitykiem, prezesem Fundacji Joachima Lelewela, współpracuje z tygodnikiem „Idziemy".

eprasa.pl cd591204ac

Siedmiu wspaniałych

Krzysztof Masłoń

Żaden z nich, stawiających opór naprawdę opresyjnej władzy, nie został należycie uhonorowany

Dzisiaj, gdy tak wielu ludzi kultury broni, rzekomo zagrożonej, demokracji i protestuje przeciw – ich zdaniem – ograniczaniu prawa do wolności artystycznej, warto przypomnieć sylwetki tych, którzy rozumieli, co naprawdę znaczą demokracja i wolność. I znali cenę oporu wobec rzeczywiście opresyjnej władzy. Przy tym żaden z przedstawionych tu siedmiu wspaniałych twórców nie został za swoją postawę należycie (i w porę!) uhonorowany. Chociaż… jeden z nich, Jan Krzysztof Kelus, tak oceniał swoją dysydencką sytuację z lat komuny: „… nie musiałem uprawiać żadnego kunktatorstwa, robić mniejszych czy większych świństw, mówić dwoma językami. Miałem już to z głowy i – choć to zakrawa na paradoks – czułem się znacznie bardziej wolny niż ci, którzy tkwili w konformizmie". I jeszcze jedno: w przeciwieństwie do „bohaterów naszych czasów" byli to ludzie serio.

JACEK BIEREZIN: WYGNANIE Z KOLEJNEJ OJCZYZNY

Od jego śmierci w przyszłym roku minie ćwierć wieku, a przecież legenda tego „przeklętego" poety nie umiera, podtrzymywana szczególnie w rodzinnym mieście Jacka Bierezina – Łodzi.

Był skandalistą, kobieciarzem oraz pijakiem, ale i sportowcem. Uprawiał boks, pływanie, wspinaczkę wysokogórską. Komuny nienawidził całym sercem, wdając się w przedsięwzięcia opozycyjne od lat studenckich, kiedy to przynależność do Ruchu kosztowała go na początku lat 70. cztery miesiące aresztu, półtoraroczny wyrok w zawieszeniu i – co najgorsze – relegowanie ze studiów polonistycznych. Później zresztą tak samo zakończył naukę na Wydziale Etnografii Uniwersytetu Łódzkiego. Tam z kolei zaszkodziła mu współpraca z Komitetem Obrony Robotników.

Był to czas jego ogromnej aktywności politycznej. Podpisał List 59 i inne memoriały protestacyjne, jeździł do Radomia na procesy aresztowanych w czerwcu 1976 r. robotników, brał udział w głodówce w kościele św. Marcina w Warszawie. A w maleńkim mieszkaniu przy ul. Astronautów w Łodzi, które wychodziła jego żona Ewa Sułkowska-Bierezin, mieściła się redakcja drugiego po „Zapisie" podziemnego pisma literackiego – „Puls", którego Bierezin był nie tylko animatorem i redaktorem, lecz także duszą. Nachodziła więc stale esbecja ten opozycyjny „salon", przeprowadzała rewizje, zatrzymywała poetę na 48 godzin,

FOT. TOMASZ ABRAMOWICZ/PAP

karała przez kolegia karno-orzekające. Oczywiście nie otrzymywał paszportu, nad czym bodaj bolał najbardziej, bo uniemożliwiało mu to wyjazd na wyprawy górskie w Himalaje.

Miał też problemy z uzyskaniem członkostwa Związku Literatów Polskich. Legalnie wydał bowiem jedynie pierwszy, debiutancki tomik „Lekcja liryki" w 1972 r. Następny – „Wam" – przeleżał się w Czytelniku, w końcu ujrzał światło dzienne w Instytucie Literackim w Paryżu, u Jerzego Giedroycia. PRL-owska cenzura nie była w stanie przełknąć takich np. poetyckich życzeń: „Strachu, podłości, dalszego rozwoju socjalistycznej osobowości życzy Święty Mikołaj".

Po 13 latach małżeństwa żona rozwiodła się z nim. Było to zresztą od pewnego czasu białe małżeństwo, Jacek zdradzał Ewę, podobnie jak następne partnerki.

W końcu lat 70. poeta wiąże się z Anką Kowalską, autorką słynnej „Pestki", i to z nią wyjedzie wreszcie na Zachód, jako osoba towarzysząca i opiekun chorej udającej się na leczenie. Jednak to będzie później, po internowaniu po 13 grudnia 1981 r. i odsiadce w Jaworzu, a następnie w Darłówku.

Z Paryża – pisała w szkicu o Bierezinie Joanna Siedlecka („Obława. Losy pisarzy represjonowanych", Prószyński i S-ka, Warszawa 2005) – „Anka Kowalska wróciła do kraju, on natomiast zastanawiał się, a ponieważ kończyła mu się ważność paszportu, żeby nadal zostać, musiał poprosić o polityczny azyl, który otrzymał – Polakom nadal jeszcze wtedy bardzo pomagano. Przyznano mu również nieduże, dwupokojowe mieszkanie w bloku »socjalnym« zwanym Chicago, w małej podparyskiej miejscowości Massy. Jeden pokój był klitką, drugi salonem, a meblem centralnym – wyczynowy rower. Ale źle znosił paryski bruk, nie potrafił się na nim odnaleźć". Wciąż jednak pisał piękne wiersze, erotyki i może coś więcej niż erotyki. Jak „Z Tobą bez Ciebie":

Paryż. Paryż bez Ciebie
jest tylko jeszcze jednym, smutnym,
wyludnionym, wschodnioeuropejskim miastem,
jak Wieluń, Warszawa czy Władywostok.
To nie będzie wiersz, to list,
wyznanie, wyzwanie, wołanie, włóczęga,
walka, wyjście na ring –
jednym słowem wszystko na „w";
jak vestibulum vaginae, woda, wino, wódka
i wygnanie z kolejnej ojczyzny
wykolejeńców wtopionych w widnokrąg,
w wielki pejzaż, wschód i zachód
tego miasta wytatuowanego na skórze
(na imię zawsze będziesz miała Wschód),
jak wyścig z czasem, jak wola
wygranej, a nie ma wrogów
wartych…

Dalej jest w tym wierszu już bardziej typowo, jak to w erotyku…

Po 1989 r. przyjeżdżał do Polski, ale nie bardzo miał do czego wracać. Jego dawni przyjaciele zostali ministrami, zbywali go niczym, odwracali się plecami. Żył coraz

eprasa.pl cd591204ac

gorzej, pił coraz więcej… I dzwonił do byłej żony, Ewy – za wielką wodę, a potem pisał wiersze. Takie jak ten: „Przyrzekam Ci / Zaraz znajdę siłę / żeby dalej żyć / Ponieważ Cię kocham Ponieważ boję się śmierci / mimo że stale jej szukam".

Rankiem 26 maja 1993 r. znalazł ją na moście Alma, niedaleko paryskiego pomnika Mickiewicza. Wtargnął na jezdnię, gdzie został potrącony przez auto, po czym wstał i z podniesionymi rękoma rzucił się pod następny samochód, tym razem ciężarowy. Był trzeźwy, ale podobno na wielkim kacu, zażywał też wtedy w dużych ilościach leki nasenne. Jego ciało przewieziono do Łodzi i złożono do grobu na cmentarzu Doły. Miał 46 lat.

MARIANNA BOCIAN: NA JEJ MILCZENIE NIE SZCZĘDZONO CZASU NI PIENIĘDZY

„Jej życiorys – pisał Eryk Ostrowski – odzwierciedla historię Polski drugiej połowy XX wieku. Pochodziła z rodziny, którą prześladowano już w latach czterdziestych, co przyspieszyło śmierć ojca. Jeśli cenzurowano twórczość, za jej książki zabierano się w pierwszej kolejności. Jeśli UB nachodziło pisarzy, ona pierwsza miała wizytę. Jeśli były aresztowania, była aresztowana. Jeśli trzeba było walczyć słowem, pierwsza ciskała. Jeśli rzucać kamieniami w ZOMO, pierwsza rzucała. Jeśli nowe postkomunistyczne czasy przekreślały dawnych bohaterów, była pierwsza na liście. Jeśli kapitalizm szedł po trupach, nie usuwała się z drogi. Jeśli trzeba było biec na pomoc, biegła pierwsza. Jeśli obowiązek i ziemia żądały ceny najwyższej, zawsze była gotowa".

Urodziła się w 1942 r. we wsi Bełcząc na Lubelszczyźnie, zmarła w wieku 61 lat w Radzyniu Podlaskim. Bardzo wcześnie opuściła rodzinny dom: najpierw skończyła technikum młynarskie w odległej Krajence koło Piły, a następnie studiowała polonistykę i filozofię na Uniwersytecie Wrocławskim. W latach 70. zeszłego wieku stała się legendą młodoliterackiego Wrocławia. Tego Wrocławia Lothara Herbsta, Janusza Stycznia, Rafała Wojaczka. Zmiana ustroju – zauważają Dorota Heck i Stefan Bednarek w szkicu „SB wobec poetki" – „nie zaszkodziła tej legendzie, a być może przyczyniła się do jej podsycenia. Marianna Bocian nic bowiem nie zmieniła w swym życiu i stosunku do rzeczywistości, z którą i później, choć z innych powodów, się nie zgadzała, dając temu czasem bardzo dosadny wyraz".

„Być może – czytamy w tym samym eseju – drogi życiowe Marianny Bocian nie byłyby tak wyboiste, a losy jej twórczości mniej powikłane, gdyby poetka była mniej stanowcza w swoich wyborach, mniej wymagała od siebie i innych oraz gdyby wabiły ją korzyści płynące z koniunkturalizmu. Trzeba przy tym podkreślić, że wraz z rozpadem komunizmu, który właśnie dzięki takim postawom mógł definitywnie upaść, nie skończyły się kłopoty poetki z redaktorami, recenzentami wewnętrznymi, wydawcami, nawet z cenzurą, dziś oficjalnie nieistniejącą, acz – trudno uwierzyć – ciągle obecną, choć jej mechanizmy są oczywiście bardziej subtelne. Nie skończyły się też kłopoty materialne, nowe czasy okazały się bowiem dla poezji – zwłaszcza takiej – mało przyjazne".

Jak najsłuszniej nazywana była Marianna Bocian Norwidem w spódnicy. Z twórcą „Promethidiona" łączyła ją wspólnota losu; w końcu autorka „Scalonego z rozkładu", jedna z najlepszych polskich poetek, nigdy nie dostała żadnej nagrody literackiej. W tomie „Ograniczone z nieograniczonego" napisała więc: „Z choroby na karierę poety

FOT. SP-TE.HÓRZEW

wyleczyło mnie życie / jeszcze przed pierwszym wersetem". Za to niezwykle interesowała się jej twórczością esbecja. Rozmiary inwigilacji poznaliśmy dopiero w 2006 r., po ujawnieniu agenturalnych materiałów. Wynika z nich, że w latach 1976–1977 w stosunku do Marianny Bocian – drobniutkiej bibliotekarki piszącej wiersze – prowadzono sprawę operacyjnego sprawdzenia „Warchoł". Do sprawy przydzielono m.in. trzech tajnych współpracowników SB z osławionym Lechem Isakiewiczem, późniejszym szefem zarządu Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. Stosowano wobec niej prowokacje, jej wystąpienia publiczne wyśmiewano, wierszy nie zauważano. W wierszu „życiorys" opublikowanym w 1978 r. napisała:

na moje milczenie pracowano
z największą dbałością […]
na moje milczenie nie szczędzono czasu
ni pieniędzy
stracono więcej czasu niż zegar
mojej krwi odmierzył […]
zarobiono w donosach więcej niż
warte były książki.

Utwór zadedykowała Marianna Bocian „tym, co pisali donosy z imprez, na których nie byłam / tym, którzy wyzbyli mnie pracy za bycie poetą".

Na wieść o wprowadzeniu stanu wojennego zareagowała wierszem „13 grudnia":

znów zbrodnicza szarość
wypala nam oczy rozpaczą
znów przemeblowanie w piekle
czyni władza zbrojnych kanibali
kto ich urodził hordami łowczych
na jakie owoce stworzenia
cisza wypływa z ukamienowanych
w piekle nic się nie zmienia
idzie ze słów Witkacego
szare! Idzie szare!
rodem z cara!
Ribbentropa
Mołotowa
Stara aż od carów darowana nam tu dola
– pusty garnek i niewola.

Jednak nie była wcale poetką jednego, narodowego tematu. Miała za sobą cykle wierszy miłosnych, poematy poświęcone cierpieniu, utwory filozoficzne. Jej późne wiersze cechuje dążenie do maksymalnej zwięzłości słowa. I przez całą tę twórczość przewija się Norwid, jako punkt odniesienia i gwiazda przewodnia.

W pierwszą rocznicę śmierci Marianny Bocian Ewa Deglerowa pisała: „Była istotą niepokorną. Walczyła z komuną, z sowietyzacją narodu polskiego – słowem i czynem. Rzucała kamieniami w nacierające pododdziały ZOMO podczas tłumienia demonstracji w stanie wojennym, urągała tym, którzy przyszli ją zabrać do więzienia, »zatrzymać« na 48 godzin. Z pasją atakowała wszelkie nieprawości. Nie mogła pogodzić się z tym, że wolna Polska nie jest jej wyśnioną ziemią, że tyle w niej zła, niesprawiedliwości, obojętności na los człowieczy. Bolała nad postępującą pauperyzacją społeczeństwa, nad brakiem perspektyw rozwojowych wiejskiej biedoty. Kochała Życie i Ziemię".

ZBIGNIEW HERBERT: ON BĘDZIE MIASTO

Powojenna komuna próbowała go zmiękczyć, namówić, kupić. Bez skutku. Może „gdyby nas lepiej i piękniej kuszono / słano kobiety różowe płaskie jak opłatek

eprasa.pl cd591204ac

/ lub fantastyczne twory z obrazów Hieronima Boscha / lecz piekło w tym czasie było byle jakie" (z wiersza „Potęga smaku").

W tym byle jakim piekle można było jednak zginąć, zostać zgnojonym, zredukowanym do zera. „Ale dla mnie – opowiadał Zbigniew Herbert Jackowi Trznadlowi w „Hańbie domowej" – wybór to pierwszy decydujący krok, pierwsze »nie«, a potem są konsekwencje". Te „konsekwencje" obrazowała najlepiej herbertowska „Kołatka", powtarzając „tak – tak, nie – nie".

Po 1956 r. zaczął wreszcie normalnie funkcjonować jako poeta i – co było dla niego bardzo ważne – wyjeżdżać na Zachód. Z czasem zamieszkał w Paryżu na dłużej, gdy jednak w 1981 r., w okresie tzw. karnawału Solidarności, przybył do Polski, w wywiadzie udzielonym „Dziennikowi Bałtyckiemu" akcentował: „Psychicznie nigdy z Polski nie wyjechałem".

FOT. JERRY BAUER/OPALE/EAST NEWS

Wcześniej, w latach 70., firmował wszystkie ważniejsze działania opozycyjne, podpisując m.in. „List w sprawie Polonii" alarmujący o sytuacji Polaków w ZSRS i List 59, protest przeciw planowanym zmianom konstytucyjnym. Oszałamiającą karierę zrobił jego wiersz „Przesłanie Pana Cogito" z tomu „Pan Cogito" ze słynnym, zdeprecjonowanym dziś wskazaniem: „Bądź wierny Idź".

W III RP słał listy do prezydentów: George'a Busha w obronie Kurdów „mordowanych przez soldateskę Saddama Husseina", Dżochara Dudajewa z wyrazami poparcia dla Czeczenii w jej wojnie z Rosją, Lecha Wałęsy w sprawie skazanego na śmierć płk. Ryszarda Kuklińskiego. Najbliższe były mu, oczywiście, problemy kraju. Dlatego w 1992 r. wsparł apel krakowskiej „Arki" o dekomunizację elit rządzących III Rzecząpospolitą. Zaraz też warszawski salon obwołał go prawicowcem, antysemitą, w końcu człowiekiem niespełna rozumu.

Pracował do końca (zmarł w lipcu 1998 r. w wieku 73 lat), jego ostatnie wiersze z „Epilogu burzy" przydały świeżych tonów ważnych dla jego twórczości.

A twórczością tą nawiązywał Zbigniew Herbert do najważniejszych strof polskiej poezji wszystkich czasów. W 1982 r., w stanie wojennym, napisał „Raport z oblężonego Miasta", najważniejszy wiersz tamtego – wyjątkowego w naszych dziejach – okresu. Wcielił się w nim w kronikarza tytułowego Miasta, którym jest przecież Polska, stan oblężenia przeżywająca permanentnie od setek lat. Pisał Herbert:

mam być dokładny lecz nie wiem kiedy
zaczął się najazd
przed dwustu laty w grudniu wrześniu
może wczoraj o świcie
wszyscy chorują tutaj na zanik poczucia czasu
pozostało nam tylko miejsce
przywiązanie do miejsca
jeszcze dzierżymy ruiny świątyń
widma ogrodów i domów
jeśli stracimy ruiny nie pozostanie nic.

Zakończenie utworu ma w sobie niezwykłą siłę, tę samą, co wcześniejsze Herbertowskie „Przesłanie Pana Cogito". „Raport…" poeta kończył słowami:

cmentarze rosną maleje liczba obrońców
ale obrona trwa i będzie trwała do końca
i jeśli Miasto padnie a ocaleje jeden
on będzie niósł Miasto w sobie
po drogach wygnania
on będzie Miasto
patrzymy w twarz głodu ognia twarz śmierci
najgorszą ze wszystkich – twarz zdrady
i tylko sny nasze nie zostały upokorzone.

To nic, że o stanie wojennym z wolna zapominamy; to nie ma nic do rzeczy. Ten wiersz wciąż jest aktualny i wciąż zachowuje swą moc. A poezja Zbigniewa Herberta to wciąż są himalaje literatury: i polskiej, i światowej.

JAN KRZYSZTOF KELUS: MOŻE MARZEC LUB SIERPIEŃ – KTO WIE?

„Piosenka o wuju, historii i przypadku", „Papierosy Biełomor-Kanał", „Ballada o szosie E7", „Piosenka o morzu", „Różan", „Pytania, których nie zadam"…

To były prawdziwe hity głównie w środowiskach opozycyjnych, ale śpiewali je też studenci, a w latach 80., przegrywane z kasety na kasetę, docierały i do innych grup odbiorców, choć wciąż przecież były to grupy nieliczne. Tak się też złożyło, że w połowie lat 80., a nawet nieco wcześniej Jan Krzysztof Kelus przestał pisać nowe piosenki („Przestały do mnie przychodzić" – tłumaczył). Z życia publicznego wycofał się całkowicie, zamieszkał na Mazurach, utrzymując się z tłumaczeń z angielskiego. Dzisiaj ma 75 lat i – jak w szkicu jemu poświęconym pisze Cecylia Kuta – pamiętają o nim „jedynie wielbiciele jego twórczości i przyjaciele, którzy dbają o to, by nie został zapomniany i wymazany ze świadomości społecznej". Tutaj warto odnotować zeszłoroczny telewizyjny koncert utworów Jana Krzysztofa Kelusa – „Piosenki ze starej pasieki", szkoda, że pozbawiony odpowiedniej do jego rangi promocji. Jednak zawsze była to dobra okazja, by przypomnieć sobie Kelusowe evergreeny, teraz już w innych wykonaniach, choć tamte, autorskie wciąż wydają się bezkonkurencyjne. Niekiedy nabierają też nowych znaczeń, jak np. „Papierosy Biełomor-Kanał":

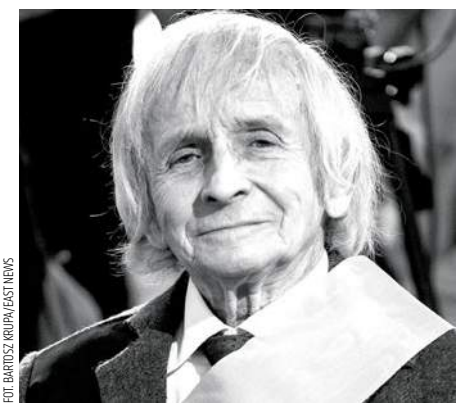

FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

Zapal Willy Biełomora
mam ich cały karton
może zechcesz to pokazać
kolegom lewakom?
Ty Heinz też nic nie rozumiesz
na paczkę się patrzysz
w końcu mówisz – „Bardzo tanie
tylko zwei und zwanzig"
Tak, Heinz, Kanał Białomorski
– nie ma co się łudzić –
tam zginęło tak najmarniej
pół miliona ludzi
Powiedz Willy – jako Niemiec
chyba byś się zrzygał,
płacąc za Auschwitze z filtrem
markę i feniga
Zapal Willy Biełomora
i pomyśl spokojnie
– kto naprawdę wygrał w końcu
tę ostatnią wojnę?
Biełamor eta prosta papiros
kak Philip Morris – eta prosta sigariet…

eprasa.pl cd591204ac

Jan Krzysztof Kelus, z wykształcenia socjolog, w działalność opozycyjną w PRL zaangażował się w marcu 1968 r. Brał udział w strajku studenckim na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie zredagował nawołującą do oporu ulotkę zatytułowaną „Faszyzm nie przejdzie". Po zatrzymaniu przez milicję na 48 godzin, w obawie przed procesem, wyjechał z Warszawy, przez kilka miesięcy ukrywając się w górach. Aresztowany został, rzeczywiście, tyle że w następnym roku, wraz z grupą tzw. taterników, przemycających do kraju wydawnictwa emigracyjne, a w drugą stronę, do Paryża, przekazując maszynopisy z Polski. Kelus aresztowany został w czerwcu 1969 r., siedział przy Rakowieckiej do marca 1970 r., gdy zwolniono go na mocy amnestii. Za kratami napisał „Piosenkę o morzu":

Może marzec lub sierpień – kto wie
nie pozwolił ci już dłużej na godzenie się ze złem
zamiast świata twój adres zmienił się
Rakowiecka 37 M
Na dnie miski wyryję JK
widzisz, chcę zostawić po sobie jakiś znak
może to ostatni proces z mkk
może to niedużo kilka lat...

(Dla wyjaśnienia: mkk to skrót od Małego kodeksu karnego obowiązującego do końca 1969 r., a odnoszącego się do wyjątkowo niebezpiecznych przestępstw popełnionych w okresie odbudowy państwa; oskarżeni w procesie „taterników" byli rzeczywiście ostatnimi, którym zarzucono przestępstwo z art. 5 mkk).

Tajne służby nie traciły go, oczywiście, z pola widzenia, natomiast ze względu na „brak postępów w pracy naukowej" skreślono go z listy doktorantów Instytutu Filozofii i Socjologii PAN.

W 1976 r. razem z żoną pomagał represjonowanym w strajkach robotniczych w Radomiu, o czym napisał „Balladę o szosie E 7" ze sławną potem frazą:

Ta moja żona jest taka drobna
czasem jest całkiem trudno uwierzyć
że przesiedziała w więzieniu dłużej
niż ta wariatka Angela Davis.

Zaczął też wtedy nagrywać kasety ze swoimi songami i rozpowszechniać je z pominięciem cenzury, tworząc tym samym podstawy niezależnej fonografii polskiej. W „rewanżu" szykanowano go w miejscu pracy, ale i np. uniemożliwiono mu uzyskanie karty pływań morskich, o którą się starał. Wielokrotnie zatrzymywano go na 48 godzin, karany był też przez kolegium.

Ciekawe, że gdy w okresie pierwszej Solidarności, po sierpniu 1980 r., wzrosła popularność artysty, on sam wyraźnie dystansował się od takich wydarzeń jak Festiwal Piosenki Prawdziwej. Później wyjaśniał, że nie chciał, by traktowano go jak „starego wodza Siuksów w muzeum etnograficznym".

W stanie wojennym z Czesławem Bieleckim założył wydawnictwo CDN, publikując sławny poradnik „Mały konspirator", a głos jego usłyszeli słuchacze pierwszej audycji podziemnego Radia Solidarność. Zidentyfikowali go też esbecy, zatrzymując w kwietniu 1982 r. Został internowany i przewieziony na Białołękę. Po wyjściu z „internatu" do Okrągłego Stołu zajmował się niezależną fonografią, nagrywając i powielając utwory m.in.: Antoniny Krzysztoń, Jacka Kleyffa, Jacka Kaczmarskiego.

„Nie zapisałem się nigdy – wspominał – do żadnej organizacji, z »Solidarnością« włącznie, nie czułem się etatowym bojownikiem o wolność i prawa człowiecze, raczej wolnym strzelcem, dobiegaczem. Gdy historia pukała do mych drzwi, raz otwierałem, raz nie. Swój akces zgłaszałem nie zawsze i nie do wszystkiego". A swój stosunek do Solidarności przedstawił w znakomitej „Sentymentalnej pannie S.":

Nie była w pełni w moim typie
– szczególnie raził mnie jej język –
i żyłem znowu trochę z boku
i tak jak zwykle bez pieniędzy.
Nie była w pełni w moim typie
– ale lubiłem to, że jest –
Trochę złośliwie ją nazwałem
„Sentymentalna Panna S.".

JERZY NARBUTT: SPOKOJNIE KŁADŹ FUNDAMENT

Wielkim Zamilczanym nazwał tego zmarłego w 2011 r. pisarza Jerzy Biernacki. Rzeczywiście, Jerzego Narbutta, autora znakomitej powieści „Ostatnia twarz portretu" (1981) i wybitnych nowel („Bal u senatora", „Benefis"), twórcy tekstu pieśni „Solidarni" uznanej za oficjalny hymn związku – nie zauważano, pomijano milczeniem lub lekceważono. Z goryczą pisał więc:

Mam tylko gołe ciało moje
i to życie w prawdzie
Co nie ułatwia życia. To życie w prawdzie,
Z którego się natrząsają, szturchając łokciami
I zwą mnie ironicznie:
„Nasz książę niezłomny"...

Odtrącano go za niezależność myślenia i niepoprawność polityczną. Niedrukowany za komuny, po krótkotrwałym zaistnieniu w drugim obiegu („Zapis") ten oryginalny myśliciel, uczeń prof. Władysława Tatarkiewicza, wybitny eseista, nowelista i poeta został skreślony jako twórca „nadto patriotyczny". Przez większą część życia cierpiał biedę, bywało, że najzwyczajniej w świecie głodował. Podejmował dorywcze prace, m.in. przyjmował paczki na poczcie, a prof. Tatarkiewicz temu swojemu wolnemu słuchaczowi przynosił do jego mieszkania na Chłodnej żywność. Wspierał go też finansowo.

Jerzy Narbutt urodził się w 1925 r. w Warszawie i w gruncie rzeczy z tym miastem związany był przez całe życie. A jednak wystarczyły jedne wakacje spędzone w okolicach Kostopolu, no i świadectwa rodzinne, by akcję wielu swoich utworów umiejscawiał potem na kresach. W istocie gniazdem jego rodziny były Szyrwinty, majątek po stronie Litwy Kowieńskiej. Jego dziadek, Ferdynand, był uczestnikiem powstania styczniowego, a ojciec – Antoni

FOT. ARCHIWUM SOLIDARNOŚCI

Narbutt – przed wybuchem I wojny światowej reaktywował na krótko „Tygodnik Wileński" (ten Lelewelowski jeszcze) i był jego redaktorem naczelnym. Matką pisarza była Stanisława z Glińskich, wśród których ludzi pióra też nie brakowało.

Ze względu na zły stan zdrowia nie mógł Jerzy Narbutt uczestniczyć w walce we wrześniu 1939 r. i sierpniu 1944 r. Pisał później: „Jak wiele z wydarzeń wojskowych wybuch Powstania Warszawskiego zaskoczył mnie w chorowaniu". Jednak w czasie okupacji znajdował się w środowisku konspiracyjnym, przyjaźniąc się m.in. z Tadeuszem Zawadzkim, słynnym „Zośką". A w powstaniu brali udział dwaj jego bracia: Olgierd i Witold. On nie, jak sam o sobie powiadał – „był zdechlakiem". Jednak napisze wiersz pt. „Pomnik Powstania Warszawskiego", świadomie polemizujący ze znanym utworem Tadeusza Borowskiego:

eprasa.pl cd591204ac

Zostanie po nas miasto gruzów
I barykada z naszych ciał,
zostanie po nas kpina głupców,
płacz matek i litania skarg
i pozostanie niepodległa
miłość wolności – i ta jedna
urośnie w pomnik, w krzyk kamienny,
co zerwie naród, aby wstał
i by zrozumiał jaki cenny
był nasz rozumny szał.

Po wojnie, ze względów politycznych, odmówił odbycia służby wojskowej. Biorąc pod uwagę jego stan zdrowia (gruźlica włóknista, chroniczny stan zapalny jelit, rozwijająca się białaczka), jego wcielenie do wojska byłoby i tak absurdalne, ale przez kilka lat ukrywał się pod zmienionym nazwiskiem. Aresztowany w 1953 r., poddany został kilkumiesięcznemu śledztwu. Po zwolnieniu, w obawie przed powtórnym uwięzieniem, schronienie znalazł w szpitalu psychiatrycznym.

W 1976 r. lokum Jerzego Narbutta poszło do rozbiórki, a on otrzymał mieszkanie na Służewcu z takimi luksusami, jak ciepła woda, gaz i centralne ogrzewanie. Przy okazji dostał też zakaz druku, a to w rewanżu za złożenie podpisu pod Listem 59 z protestem przeciwko planowanym zmianom w Konstytucji PRL. Pięć lat później organizował spotkania poetyckie w kościele oo. Kapucynów przy ul. Miodowej w Warszawie. Nieco wcześniej napisał tekst „Solidarnych", w grudniu 2002 r. przez Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność" przyjęty jako hymn:

Solidarni
Nasz jest ten dzień,
A jutro jest nieznane,
Lecz róbmy tak,
Jak gdyby nasz był wiek –
Pod wolny kraj
Spokojnie kładź fundament...

Po wprowadzeniu stanu wojennego pisarz ukrywał się w klasztorach w Serpelicach nad Bugiem oraz Lubartowie i w habicie co pewien czas przyjeżdżał do Lublina, gdzie jako „brat Jerzy" wygłaszał wykłady historyczne dla studentów.

W wolnej Polsce pisywał w tygodniku „Ład", wydając książki w katowickiej oficynie Unia. Nie zmieniało to faktu, że obecny był na marginesie toczącego się w kraju dyskursu publicznego. – Miałem wiele okazji przyzwyczaić się do tego – żartował. – Taki pejzaż.

To „zamazywanie" jakże ważnej twórczości literackiej i ciekawej, oryginalnej osobowości pisarskiej zostało na moment zakłócone, gdy w 2006 r. prezydent Lech Kaczyński zdążył odznaczyć autora „Ostatniej twarzy portretu" Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Tak docenił znaczenie tego, co pisał Jerzy Narbutt:

Kimkolwiek jesteś, Ty, który tu stoisz
Jakkolwiek życie układa się Tobie
Pamiętaj – żyjesz póki się nie boisz
Bo gdy się lękasz, to jakbyś był w grobie.
To, co chcesz zyskać, czego nie chcesz stracić,
Wszystko cokolwiek los Ci z czasem sprzeda
Ma swoją cenę i będziesz ją płacić
Lecz wolnej myśli – tej już za nic nie daj.

MAREK NOWAKOWSKI: WYCZUĆ TO, CO OHYDNE I GRZĄSKIE

Absolutny mistrz krótkiej formy prozatorskiej, niezrównany piewca Warszawy, a ściśle mówiąc, jej peryferii: Włoch, Okęcia, Zacisza, Targówka.

Debiutował wcześnie – w 1957 r. w wieku 22 lat – odsłaniając świat, wcześniej pozostający poza zainteresowaniami PRL-owskiej literatury. Marka Nowakowskiego interesowali złodzieje i paserzy, lumpy, w najlepszym razie pracownicy szarej strefy, dorabiający gdzieś u „prywaciarzy", osobnicy z mianem pasożytów społecznych, drobni geszefciarze. Łączyło ich jedno: niechęć, a często nienawiść i pogarda do systemu, który miał nas uszczęśliwić, a przyniósł same nieszczęścia.

Był pisarzem niezwykle wyczulonym na głos ulicy. Zawsze pisał dla tutejszego czytelnika, dla swojaka. W okresie pomarcowym zdarzało mu się publikować w Paryżu u Jerzego Giedroycia, ale to dopiero w latach stanu wojennego stał się częstym autorem Instytutu Literackiego. Wcześniej podpisywał się tam pseudonimem – Seweryn Kwarc. Nie dlatego, że brakowało mu odwagi – tej nie zbywało mu nigdy, ale niecierpliwie czekał na moment, kiedy będzie mógł z powrotem oficjalnie drukować swoje książki. Doskonale wiedział bowiem, gdzie ma swoich odbiorców i pod jakimi warszawskimi adresami ich znajdzie. Drugi obieg, którego był – jakkolwiek dziwnie to brzmi – gwiazdą, nie gwarantował mu dostępu do tych wszystkich, na których mu zależało.

Pod rządami Jaruzelskiego zyskał za to status więźnia politycznego. W marcu 1984 r. został uwięziony pod zarzutem „szkalowania PRL i ustroju socjalistycznego [...] we współpracy z zagranicznymi ośrodkami dywersyjnymi". Na początku lat 90. w wywiadzie, jaki z nim przeprowadziłem, wspominał z nutą czarnego humoru:

Kiedy po zakończeniu śledztwa czytałem tomy akt, które miały być podstawą sprawy sądowej, stwierdziłem, że jestem na topie. Resort, na przykład, dokonał licznych ekspertyz, przez biegłych tłumaczy, celem sprawdzenia zgodności tekstu „Raportu o stanie wojennym" z jego dziesięcioma czy jedenastoma przekładami. Do każdej ekspertyzy dołączono kosztorys. Z szacunkiem stwierdziłem, że nie żałowano na mnie pieniędzy. A ile kosztowała praca tych wszystkich cichobiegaczy, którzy chodzili za mną, za żoną, przesłuchiwali moich znajomych, niektórych szantażowali...

Ze Służbą Bezpieczeństwa miał na pieńku już wcześniej: „Jadąc w swą pierwszą zagraniczną podróż, pożyczyłem walizkę od Ludwika Zimmerera, wspaniałego człowieka, korespondenta radia RFN w Polsce, największego kolekcjonera sztuki ludowej w Europie Środkowej. Nie podobało się to moim rozmówcom z SB. Kiedy zorientowali się, że nie mogą liczyć na moją współpracę, usłyszałem: »To nie mógł pan tej walizki pożyczyć od Polaka, tylko od Niemca!«. Po Marcu '68 próbowano znów brać mnie pod włos jako tzw. prawdziwego Polaka. Nie

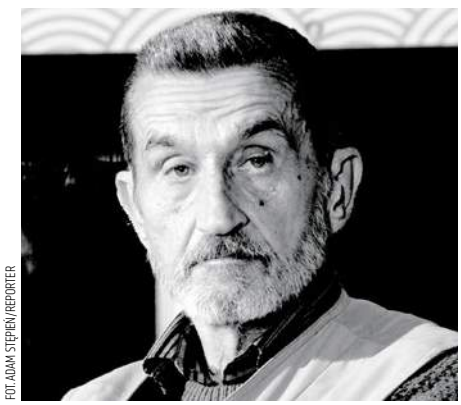
FOT. ADAM STEPIEŃ/REPORTER

powiem, bym w pełni był wtedy świadomy rozgrywek na górze partyjnej, dochodzenia do głosu szowinistów i innych mętów. Zawsze jednak pomagała mi intuicja. Jest widać w człowieku coś zakodowane, co pozwala kiedy trzeba, powiedzieć – nie; wyczuć to, co jest ohydne i grząskie".

Z pewnością był to jeden z powodów, dla których od początku zdecydowanie opowiedział się za koniecznością przeprowadzenia powszechnej lustracji. Piętnował postkomunistów i liberałów, sprzeciwiał się okrągłostołowej taktyce obozu Solidarności. Ponieważ brał pełną odpowiedzialność za swoje słowa i czyny, domagał się tego także od innych. Chociaż, z drugiej strony, postawa Katona była mu z gruntu obca.

eprasa.pl cd591204ac

Niemniej jednak pod hasłem „Stół" w „Moim słowniku PRL-u" Marka Nowakowskiego można było przeczytać: „Dopiero pod koniec PRL-u ustanowiony został okrągły stół i obrady przy nim uważane są za kres dawnej epoki i początek demokracji. Wkrótce nazwaliśmy się III Rzeczpospolitą. Jeżeli rzeczywiście nastąpił wtedy upadek totalitarnej państwowości, to miał charakter kontrolowany i nikt z rządzących nie został przygnieciony w sposób ostateczny". W tym samym „Słowniku…" znajdujemy interesujące wyjaśnienie rzadko dziś używanego słowa „plenum" (nawet SLD nie stosuje tej formy obrad): „Plenum to musi być od ruskiego brać w plen".

Mógł zostać beneficjentem III Rzeczypospolitej, tymczasem wybrał zupełnie inną drogę, nie kryjąc swego sceptycyzmu i krytycyzmu wobec środowisk, które po 1989 r. objęły w Polsce ster rządów. Z „Gazetą Wyborczą" nie chciał mieć nic wspólnego, choć lata temu drukował swoje książki w NOW-ej, a Michnika, którego wspominał w swoich opowiadaniach, broniła przed sądem żona pisarza, Jola Nowakowska, znana adwokat występująca w PRL w procesach politycznych.

Autor „Księcia Nocy" zmarł 16 maja 2014 r. w wieku 79 lat. W opowiadaniu „Mój Przyjaciel Pisarz" z tomu „Portret artysty z czasu dojrzałości" (1989) tak mówił o swoim dojrzewaniu pisarskim: „Wiedziałem, że sztuka to nie żadna lekkość i bajeczna kraina uniesień, ale ciężka harówa, gdzie najważniejsza jest uczciwość wobec siebie i mozolne przedzieranie się przez gąszcz kłamliwych słów w poszukiwaniu tego jednego jedynego, które przylega do rzeczy jak skóra do ciała".

BARBARA SADOWSKA: OSTATNIA KOTWICA ŻYCIA

Przeżyła 46 lat, ale odchodzić zaczęła trzy lata wcześniej – po tym, jak 14 maja 1983 r. milicja zakatowała na śmierć jej syna, 19-letniego maturzystę Grzegorza Przemyka.

Ukoić jej cierpienie usiłował ks. Jerzy Popiełuszko. Jego męczeńska śmierć – wspominała potem przyjaciółka Barbary Sadowskiej, Ligia Urniaż-Grabowska – „odebrała ostatnią kotwicę jej życia. Rozwinęły się choroby, z którymi walczyła wcześniej siłą woli. Póki żył ksiądz Jerzy Popiełuszko, Basia znajdowała w nim oparcie. Ksiądz – znany dziś przecież głównie jako patriota i męczennik – był zarazem pełnym ciepła, serdecznym człowiekiem, spieszącym ludziom z pomocą, także psychiczną. Gdy zabrakło i księdza, Basia załamała się zupełnie. Zachorowała na płuca, wykryto raka".

Barbara Sadowska urodziła się w 1940 r. w Paryżu. Powinna nazywać się inaczej, gdyż jej biologiczny ojciec zginął w marcu 1945 r. na zatopionym w pobliżu Lubeki, omyłkowo ostrzelanym przez aliantów statku z więźniami. Czesław Sadowski był mężem jej matki i Barbara nosiła jego nazwisko.

Była chyba najmłodszą poetką pokolenia „Współczesności", choć potem przypisywano ją raczej do generacji „Hybryd". W każdym razie swój debiutancki tom „Zerwane druty" wydała już w 1959 r.

Jej poetycki dorobek jest niewielki; obejmuje zaledwie cztery tomiki wydane oficjalnie i tyle samo opublikowanych w podziemiu. „Niełatwo osaczyć i opisać zamysł poetycki Sadowskiej – pisał bliski jej krytyk Piotr Kuncewicz. – Docieranie do wnętrza ludzkiej samotności, ustawiczne targanie łatwych systemów porozumienia, przeskakiwanie z jednej płaszczyzny obrazowania na inną, świadome obszary niezrozumiałości". Późniejsze wiersze poetki jawią się na tym tle zgoła inaczej; są wręcz uproszczone, nie ma w nich jednego zbytecznego słowa. Jakby powiedziane zostało nie wszystko może, ale na pewno za dużo. Bo też tak było. Ligia Urniaż-Grabowska twierdziła, że „usiłowano z niej zrobić pomnik matki Polki. Było to dla niej ponad siły. A jednocześnie oficjalna prasa PRL nasiliła kampanię obrzydliwości pod jej adresem. Nie ukarano winnych, a uderzono w ofiary".

Po śmierci syna – wspominał ks. Jan Sochoń, też poeta – „poszarzała i ściemniała, stała się nie tyle może zgorzkniała, co bardziej milcząca, nieobecna. Pisała jednak i to właśnie swoje wiersze najlepsze, najbardziej dojrzałe. Oszczędne, proste, lapidarne, przypominające ostatnie utwory Anny Kamieńskiej, która uważa, że najlepiej zostawić tylko tytuł. Ostatnie wiersze Basi były wstrząsające. O bólu, rozpaczy, a przede wszystkim o cierpieniu. O Hiobie, którego nazywała swoim bratem".

W jawnie opozycyjną działalność poetka zaangażowała się w drugiej połowie lat 70. Podpisała Memoriał 101 z protestem przeciwko zmianom konstytucyjnym, współpracowała z Komitetem Obrony Robotników, publikowała w „Zapisie". Jednocześnie stawała się coraz bliższa Kościołowi, do którego drogę miała długą i skomplikowaną. A jednak współorganizowała warszawskie Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej, a w stanie wojennym działała w Prymasowskim Komitecie Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i Ich Rodzinom. W kościele św. Marcina, gdzie mieściła się siedziba Komitetu, „sama odnajdywała – wspominała Ligia Urniaż-Grabowska – szczególnie tych nieznanych, zażenowanych, skrępowanych tym, że przyszli prosić o pomoc, niezgłaszający swoich próśb z ostentacją. Bo to właśnie ci mieli wielkie poczucie godności i łatwo było ich urazić. […] Gdy dotarła informacja o strzałach w Lubinie, to właśnie Basia natychmiast tam pojechała z wielkim plecakiem pełnym darów dla rodzin zastrzelonych przez esbeków w czasie demonstracji. Zjawiła się tam jako pierwsza od św. Marcina, a przecież była już taka chora i krucha".

W marcu 1982 r. za rozpowszechnianie ulotek została aresztowana, po zwolnieniu nękano ją rewizjami, a 3 maja 1983 r. pobito wraz z innymi współpracownikami Komitetu Prymasowskiego. Jedenaście dni później milicjanci zabili jej syna.

FOT. ERAZM CIOŁEK/FORUM

Barbara Sadowska zmarła 1 października 1986 r. Spoczywają wraz z synem na Powązkach w jednej mogile. Na cmentarz i Jego, i Ją odprowadzało po kilkadziesiąt tysięcy ludzi.

W wierszu „Moja modlitwa" z 1983 r. poetka pisała:

moja modlitwa
we wszystkich językach świata
we wszystkich świątyniach świata
moja modlitwa
naga
poobijana
ćma
na najwyższym
witrażu
gorejącego krzaku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd591204ac

Andrzej Horubała

Exodus, czyli droga donikąd

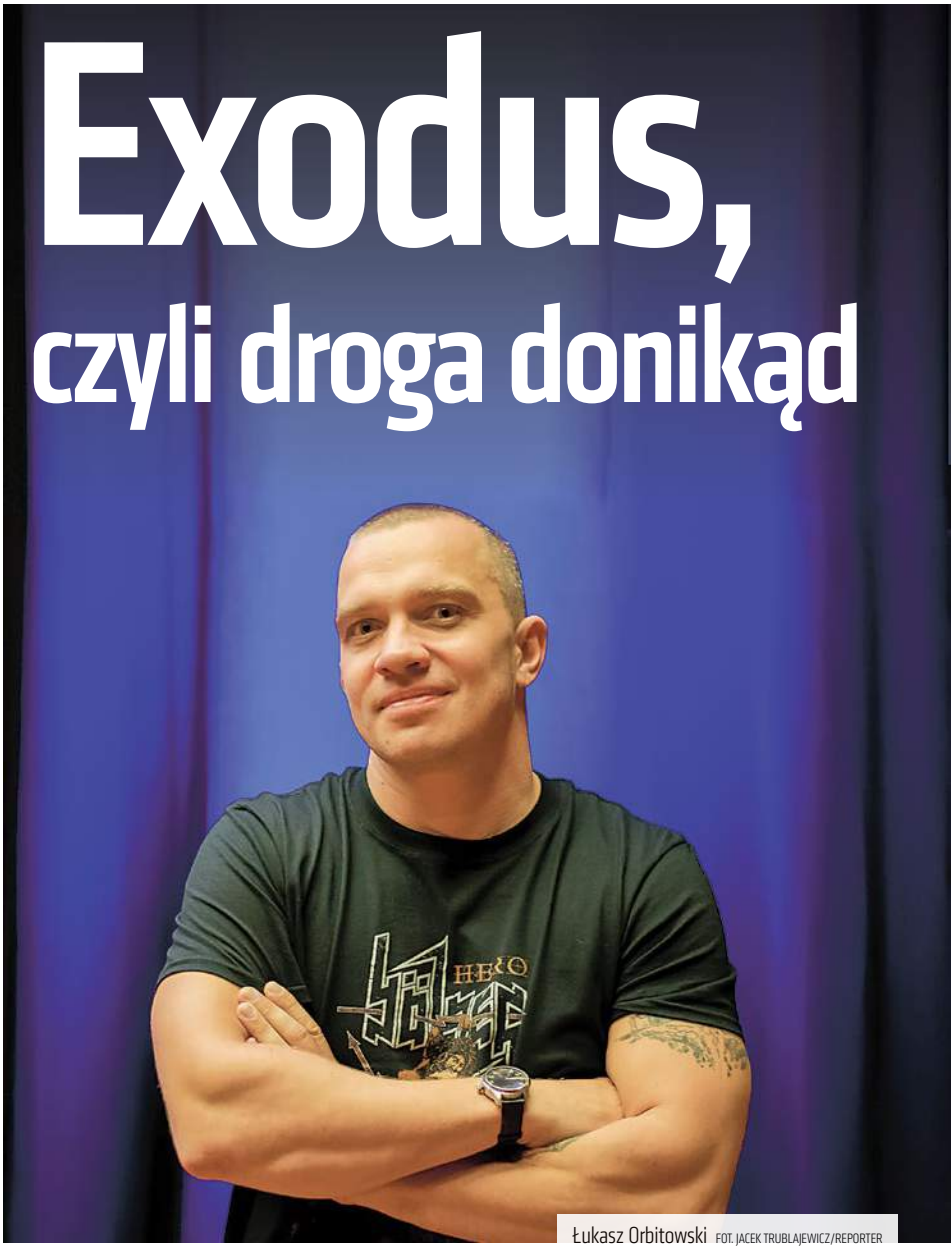

Łukasz Orbitowski FOT. JACEK TRUBLAJEWICZ/REPORTER

Orbitowski pisać umie. Tego nie można mu odmówić. Czuć to od pierwszych stron „Exodusu". Jego proza ma ten drive, napęd, zdania są mocne, dobrze osadzone, świat przez niego opisywany wyraziście jawi się przed oczyma, pozwalając także na bliski związek z bohaterem, który obserwuje i komentuje rzeczywistość. A Janek się zna. Jest twardy. Jednym spojrzeniem prześwietla ludzi, osadza, definiuje, demaskuje ich gierki. Chociaż zdystansowany od nowomodnych strategii, to wtrąca skojarzenia z nowszych i starszych filmów, gier komputerowych, popkultury.

Jest zręcznie prowadzony przez autora, wikłany w perypetie, lokowany we współczesności. Widzimy go przy drobiazgowo i z wdziękiem opisywanych codziennych czynnościach oraz przeżywamy przeciążenia, gdy staje się sam dla siebie niezrozumiały. Towarzyszymy mu w jego autodestrukcyjnych przygodach i chłoniemy w chwilach odprężenia, gdy sytuacja wydaje się stabilizować.

UCIEKAJĄC OD SIEBIE

Początkowo bywa to frapujące. Oto trzydziestoparolatek ucieka z Warszawy, z Polski, niszczy komórkę, kartę kredytową, dowód osobisty, zrywa wszystkie więzi. Staje się nikim. Zerem.

Jest ścigany, musi ukrywać swą tożsamość: „Moje dane wraz ze zdjęciem rozesłano do wszystkich komisariatów w Europie i teraz policjanci w Marsylii i Kastylii, w Rejkiawiku i Rykusmyku wiedzą, jak wygląda mój pysk". Włóczy się po ponurych zakamarach Europy, konfrontując z życiowymi rozbitkami, wprowadzając w świat przeróżnych nieszczęśników, trawionych poczuciem winy, bezsilnych beznadziejnych marzycieli, zalkoholizowanych wraków: niemoralnych, okrutnych, zdradzieckich.

Porzuciwszy świat uporządkowanej kariery korposzczura, wyzuty z ambicji, Janek wstępuje na drogę, która zgodnie z tytułem powieści „Exodus" winna być wyjściem z domu niewoli, oczyszczeniem na pustyni i dotarciem do Ziemi Obiecanej. Oszołomiony osobistą klęską, ogłuszony stratą, jawi się jako twardziel o złamanym sercu – osobnik tajemniczy, którego nieszczęście pcha ku czynom niemoralnym, a nawet przestępczym, którego nieszczęście usprawiedliwia niegodne uczynki. Okrada więc nawet ludzi, którzy okazują mu sympatię, wdaje się w bójki: jest bity i bije, oszukuje i zdradza bliskie mu osoby, wciąż jakby ciągnąc na znieczuleniu zaserwowanym przez okrutny los. Poznaje, co to głód i wycieńczenie, co poniżenie i prostracja.

Wszędzie pozostawia po sobie zgliszcza. Kolejne etapy jego podróży kończą się zdradą i katastrofą: z rozwalonym nosem i ze złamanym żebrem oddala się z hostelu i zaczyna kolejną przygodę, by ją skończyć w damskich ciuszkach wyrzucony z samochodu gdzieś na obrzeżach Berlina. Jako żałosny donosiciel skłócony ze współpracownikami, gdy żywioł wody i ognia pochłania obóz dla uchodźców w Słowenii, ucieka w świat meneli w Lublanie. Tam próbuje realizować swe niespełnione ciągoty ojcowskie, a oszukany, zadenuncjowany przez przygarniętego bezprizornego jugola, musi zwiewać. Szuka wytchnienia na greckiej wyspie, ale i tam dopadają go demony, prowadząc do zbrodni.

Męska to proza, mocna. Nasz bohater idealnie wpisuje się w schemat opowieści o facetach z mroczną tajemnicą. Kłopot jednak w tym, że im bardziej odsłania się Janek i sam Orbitowski ujawnia nam

eprasa.pl cd591204ac

jego historię, tym bardziej banalne się to wszystko zdaje. Im więcej dowiadujemy się o Janku, tym bardziej dęta i beznadziejna jawi się jego historia. A że Orbitowski nie ma zamiaru wieść swego bohatera ku oczyszczeniu, poddać go przemianie, lektura ponad 400-stronicowej powieści staje się zajęciem mocno nużącym.

Owszem, perypetie Janka wyrzuconego na grecką wyspę świetnie kontrastują z dopiero co porzuconym menelskim mrocznym światem Lublany. Jasne światło Salaminy, rytuał codziennych połowów, gorzka spokojna miłość do wdowy rozpamiętującej zmarłego męża – to wszystko dobrze zmienia barwę powieści, ale przecież – choć znajduje kulminację w scenach, gdy nasz bohater dojrzewa do kolejnego morderstwa – pozostawia nas dziwnie obojętnymi. Bo też bohater ów nie podejmuje żadnego wysiłku, by się odmienić. Jego wędrówka przez mroczną Europę nękaną wciąż przez widma nieszczęść bliższych i dalszych (Czegóż tu nie ma! Komunizm i Stasi, wojna na Bałkanach, uchodźcy, grecki kryzys) ma w sobie stałą nutkę masochizmu, a chęć poniżenia się, zatracenia góruje nad wszystkim.

Czy to funkcjonując jako wolontariusz w obozie dla uchodźców, czy maczając chleb w oliwie na greckiej wyspie, ma w sobie nasz bohater wciąż ten sam uraz wobec świata, tę samą dążność do unicestwienia rodzącego się ładu.

PORTRET POKOLENIA?

Powoli odsłania przed nami Orbitowski historię swego rówieśnika, Janka. Poznajemy go jako studenciaka z Warszawy, który na sylwestrze roku 2002 poderwał brzydszą koleżankę upragnionej dziewczyny („Przypominała trochę Nosowską, której zabrakło witamin, by urosnąć, w każdym razie miała w oczach ten sam strach") i jakoś tak przez przypadek, inercję został jej chłopakiem, później ojcem dziecka, wreszcie mężem. Dawkowana pomiędzy epizodami ucieczki opowieść o niedojrzałości Janka – tak do roli męża, jak ojca – stanowi niewątpliwe wytchnienie od ciemnych gęstych, ale męczących przez przestylizowanie na twardzielską prozę kawałków.

Janek okazuje się gnojkiem modelowym, ale przecież budzącym współczucie. Pozbawiony za młodu ojca, skazany na toksyczną miłość matki, kompletnie nie radzi sobie w związku. Zaborcza matka, oferując – a jakże! – pomoc, przyczynia się do rozkładu małżeństwa. Dla ukochanego syneczka ma dobre słowo nawet wtedy, gdy ten wiąże się z kochanką: mamusia zapewnia mu alibi, służy im gościną. Bo wszystko wszak jest winą żony – prowincjonalnej gąski, która złapała na dziecko i unieszczęśliwiła Janeczka.

Droga zawodowa naszego bohatera to terminowanie w korporacji, powolny awans, wreszcie stanięcie na nogi i życiowy sukces: można już kupić sobie lewisy, wyjść poza sery gouda i morski, zainstalować komputer z Internetem, ściągać pirackie filmy, muzykę i gry.

Orbitowski zdaje się kreślić wzorcową biografię swego pokolenia. Czujnie odnotowuje technologiczne nowinki towarzyszące poszczególnym latom, przywołuje modele telefonów komórkowych, tytuły gier, seriali, zatapia to w popkulturze, okrasza piosenkami, znaczy śladami zbiorowych, rozpalających ekrany telewizorów, emocji: Małyszem, Kwachem, aferą Rywina, wejściem do gry Samoobrony. Pokazuje przejście od pirackich VHS-ów do pornostron odwiedzanych nocami.

Przekonująco wprowadza też w życie zagubionego wzrastającego bez ojca chłopaka postać coacha, osobistego trenera, który uwodzi go wizją sukcesu i spełnienia w świecie turbokapitalizmu. Groteskowa postać szarlatana, prezentującego się na zbiorowych seansach w dziwacznej scenografii wziętej z filmów sensacyjnych, odwołującego się do tandetnych metafor, kreślona jest przez Orbitowskiego na tyle dyskretnie i bez szyderstwa, że jesteśmy skłonni uwierzyć w fascynację Janka człowiekiem, który odkrył w nim „parcie na sukces i wolę przemiany".

Wszystko się więc niby zgadza: realistycznie odmalowany jest stan totalnego nieprzygotowania i zagubienia młodych w dziwnej nowej Polsce, pełnej niezrozumiałych reguł oraz nierozpoznanych zasad. Świetnie odtworzone zostają rozpacz i pustka pokolenia, wodzonego na pokuszenie przez miraże współczesności, sugestywnie oddane ich marzenie o raju klasy średniej: nowych smakach i potrawach, podróżach, plastikowym szczęściu.

Ale przecież Orbitowski umiejętnie odklejając się od bohatera, który nie jest jego alter ego, nie potrafi w literackim geście zbliżyć się do niego, by pomóc mu przeżyć jakiś przełom! Taki więc Janek, którego poznajemy na pierwszych stronach „Exodusu", pozostaje taki sam na stronach ostatnich. Urażony, poraniony, nieszczęśliwy.

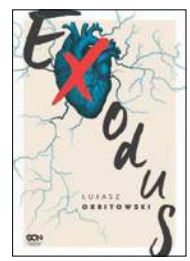

ŁUKASZ ORBITOWSKI „EXODUS" SQN 2017

BEZ OCZYSZCZENIA

Książka odwołująca się w tytule do historii wyjścia z domu niewoli nie przynosi upragnionej przemiany i pozostawia bohatera niedojrzałego do małżeństwa oraz ojcostwa.

Orbitowskiemu nie wystarcza, sam nie wiem czego: woli, talentu, mądrości (?), by opowieść wkleić w ramy jakiegoś mitu – o odkupieniu win, odnalezieniu sensu, przebaczeniu – samemu sobie, innym. Niespecjalnie jasne jest więc, po co pisarz przedstawia nam traumę nieprzetrawioną, nieprzepracowaną.

Złapawszy jeden klimacik, jeden styl – twardziela, faceta po przejściach, obrażonego na świat cały – brnie i czyni książkę niezrozumiale jednostajną.

Czymże więc jest „Exodus"? Na pewno ambitnie zakrojoną, snutą w tle wewnętrznych przeżyć bohatera ciemną panoramą współczesnej Europy: nieszczęśliwej, nieradzącej sobie z demonami przeszłości, niepewnej siebie. Postać berlińskiej aktorki zmiażdżonej przez współpracę ze Stasi, osoba księdza pokutującego za zbrodnię popełnioną na Bałkanach czy demaskatorskie obrazki z obozu przejściowego dla uchodźców, w którym kompromitowany jest każdy z wolontariuszy, na pewno składają się na sugestywny pesymistyczny fresk naszego kontynentu.

I tak jak dla Europy autor nie widzi ratunku, tak też nie ma pomysłu na pogrążonego w rozpaczy bohatera. Brak rozwoju jego osobistej historii czyni jednak z tej opowieści rzecz jałową.

Jak potraktować to stylizowanie całości na męską prozę? Jako nicowanie mitu o twardym facecie, który zazwyczaj pod maską oschłości i mocy skrywa niedojrzałego gnojka nieradzącego sobie z życiem osobistym i intymnym? Ale przecież byłoby to autokompromitacją, bo Orbitowski i jego literaccy kompani chętnie stroją się w szatki twardzieli. A może jest to oskarżenie całego pokolenia?

Gruba ta powieść nie odpowiada na te pytania. Zdaje się książką niespełnioną, niedomkniętą, która, owszem, demonstruje sprawność Orbitowskiego, ale zionie pustką.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd591204ac

Królewski gatunek

Łukasz Zboralski

„Korona królów” ma duże szanse na sukces, bo Polacy po prostu uwielbiają seriale

FOT. MARCIN MARCZYŃSKI

Polacy lubią telewizję. Szklanemu ekranowi poświęcają dziennie średnio 4 godziny i 18 minut (dane Nielsen Audience Measurement za 2017 r.). Z tych godzin każda stacja i każdy w niej program chcą jak najwięcej wyrwać dla siebie. W ubiegłym roku przepisem na sukces było transmitowanie meczów polskiej kadry piłkarskiej oraz zmagań skoczków narciarskich. Oprócz sportowych transmisji w czołówce programów z najliczniejszą widownią znalazły się wydanie „Teleexpressu” TVP1 z 6 stycznia (7,22 mln widzów) oraz odcinek serialu TVP2 „M jak miłość” emitowany 2 stycznia (6,65 mln widzów). Seriale bowiem są wielką namiętnością Polaków.

WEJŚCIE KRÓLA

Dlatego pomysł TVP, by produkować nowy serial kostiumowy, był niejako skazany na sukces. I choć zdania w sieci na temat samego serialu są dziś podzielone, to trzeba przyznać, że debiut był udany. Według telewizji premierowy odcinek „Korony królów” obejrzało ponad 4 mln ludzi. Patrząc na najlepsze wyniki oglądalności z 2017 r., widać, że historyczna telenowela już pierwszym odcinkiem wdarła się na top. Gdy przymierzyć ją do ubiegłorocznych liderów serialowych, to lepszą oglądalność miały jedynie odcinki „M jak miłość” TVP2 (6,62 mln), „Na dobre i na złe” TVP2 (4,72 mln), tylko o włos lepsze były rekordowe odcinki „Barw szczęścia” TVP2 (4,11 mln) i „Ojca Mateusza” TVP1 (4,10 mln). Nowa propozycja TVP zdystansowałaby pozostałe produkcje Telewizji Polskiej – „Dziewczyny ze Lwowa”, „Blondynka”, „Na sygnale”, „Wojenne dziewczyny” – oraz najliczniej oglądane odcinki stacji komercyjnych: „W rytmie serca” Polsatu (2,97 mln) oraz „Belle epoque” TVN (2,9 mln).

Tymczasem dopiero kolejne odcinki mają pokazać jego prawdziwą siłę. Opowiadała o tym m.in. Ilona Łepkowska, słynna serialowa scenopisarka, którą zatrudniono do pracy przy „Koronie królów”. W rozmowie z Onetem ujawniła, że początkowy scenariusz grozić mógł katastrofą i po jej uwagach prezes TVP miał powierzyć jej sformowanie nowego zespołu, który zajmie się tworzeniem telenoweli.

Do tej pory powstało 40 odcinków serii, której odcinki emitowane będą od poniedziałku do czwartku w TVP1 o godz. 18.30. Twórcy serialu mają więc prawie rok, by przekonać do swojego dzieła widownię i zatrzymać ją na lata. Takie są plany. TVP ma nadzieję nie tylko na stworzenie pierw-

szej od 30 lat polskiej serialowej produkcji historycznej, lecz także na powtórkę sukcesu tureckiego tasiemca historycznego „Wspaniałe stulecie". To do tego serialu swoje zapowiedzi odnosił prezes TVP Jacek Kurski, przyznając jednocześnie, że śmieszą go porównania z wielomilionowymi zachodnimi produkcjami typu „Gra o tron". W 2015 r. turecki serial podczas emisji odcinków windował TVP1 na drugie miejsce na rynku oglądalności.

OD „LABIRYNTU" DO PIASTÓW

Wiele wskazuje na to, że „polska odpowiedź" na telenowelę o imperium osmańskim może przebić turecki wzór. Chociaż historia Sulejmana produkowana była za miliony i z większym rozmachem, to jednak bliższa koszula ciału i skromniejszy w produkcji polski serial może bardziej zainteresować widzów nad Wisłą. A może w swoim czasie i w innych krajach? Wszak „Wspaniałe stulecie" emitowano w sumie w ponad 50 państwach, co dało serialowi ok. 200 mln widzów.

Polska produkcja osadzona została w okresie panowania Kazimierza Wielkiego i ma kreślić losy tego wybitnego władcy. Nie będzie to jednak filmowa pogadanka. Oprócz zapoznawania widzów z wydarzeniami z XIV w. serial ma też wciągać – i tu widać rękę Łepkowskiej – dworskimi intrygami, ludzkimi namiętnościami i żądzami. Już pierwsze odcinki zarysowały wyraźnie mocno napięte relacje między przyszłym królem Kazimierzem, jego żoną Anną oraz matką Jadwigą.

Chociaż główne role powierzono młodym aktorom (Kazimierza gra Mateusz Król, a jego żonę – Marta Bryła), to w serialu nie brakuje znanych artystów. Występują m.in. Halina Łabonarska, Robert Gonera, Tomasz Sapryk, Andrzej Deskur czy Jan Wieczorkowski.

– Wreszcie wracamy do opowiedzenia polskiego kanonu kulturowo-tożsamościowego, i to w sposób, który moim zdaniem dotrze do masowej wyobraźni widza – ocenił prezes TVP Jacek Kurski na portalu TVP.Info. Nie krył też, że liczy na to, iż serial emitowany będzie latami.

Patrząc na to, jak Polacy lubią seriale, nie jest to marzenie nierealne. Nad Wisłą telewizyjne opowieści w odcinkach zaczarowały widzów jeszcze w latach 80. Namiętnie oglądano historię zakazanej miłości księdza granego przez Richarda Chamberlaina w „Ptakach ciernistych krzewów". W tym samym okresie chętnie oglądano inną amerykańską produkcję – sagę o czarnoskórych mieszkańcach USA z głównym bohaterem Kunta Kinte, czyli „Korzenie". A przecież były jeszcze „Niewolnica Isaura" zakochana w dziedzicu Leoncio czy choćby pokazywana na początku lat 90. opera mydlana „Dynastia".

Przełom lat 80. i 90. przyniósł pierwszą polską telenowelę. 30 grudnia 1988 r. na ekranach zadebiutowała produkcja „W labiryncie", którą pokazywano raz w tygodniu. Serial z udziałem m.in. Leona Niemczyka, Marka Kondrata i Wiesława Drzewicza przyciągał przed ekrany po 16 mln widzów. A potem ruszyła lawina, która wciąż się nie zatrzymała: „Klan", „Złotopolscy", „M jak miłość", „Barwy szczęścia", „Na Wspólnej", „Plebania", „Samo życie" itd.

Najdłużej emitowanym w Polsce serialem jest historia rodziny Lubiczów, którą od poniedziałku do piątku pokazuje TVP1. „Klan" miał już ponad 3,2 tys. odcinków. Od teraz cztery dni w tygodniu poprzedzał będzie „Koronę królów". Tak TVP ma codziennie szansę zatrzymać na sobie oczy widzów przez godzinę. Czy historyczna telenowela osiągnie taki wynik jak „Klan"? Czas pokaże.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl cd591204ac

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Z pamiętnika czarnej owcy

★★★☆☆☆

REŻ. AARON SORKIN „GRA O WSZYSTKO" („MOLLY'S GAME") USA 2017

wyst. Jessica Chastain, Idris Elba, Kevin Costner

W Ameryce miłość do pieniędzy nie jest uczuciem, którego należy się wstydzić. Naturalne więc, że pozytywną bohaterką „Gry o wszystko" jest panna z dobrej rodziny, która porzuciła studia, by zostać muzą nadzianych hazardzistów.

Przez 10 lat Molly Bloom organizowała nielegalne pokerowe maratony. Ich uczestnicy w jeden wieczór potrafili przegrać więcej, niż statystyczny Polak zarobi przez całe życie. Samo wpisowe do klubu opiewało na 250 tys. dol. I wszyscy byli szczęśliwi dopóty, dopóki do gry nie włączyły się fiskus i organa ścigania, przekonane, że chodzi w niej głównie o pranie brudnych pieniędzy. Czy bystra Molly rzeczywiście nie orientowała się, kim są naprawdę jej rosyjscy klienci? Nie przewidziała, że obracając się w szemranym towarzystwie, też się ubrudzi, a może nawet poniesie uszczerbek na zdrowiu? Kto chce, ten niech wierzy.

Ekranizacja książki, którą „księżniczka pokera" napisała, żeby się wybielić i odkuć finansowo, to pomysł, nawet jak na Hollywood, dość cyniczny. Dołożono więc starań, by historia panny Bloom była opowieścią z morałem. Zaczyna się od monologu zakończonego bojowym zawołaniem: „Fuck you!", kończy w konwencji kina familijnego. Molly „musi być twarda, by przetrwać w męskim świecie". Pechowy wypadek położył kres świetnie zapowiadającej się karierze sportowej. Dziewczyna jest jednak wściekle ambitna, przenosi się na drugi koniec kraju i odnosi sukces w innej branży.

Jessica Chastain to dyżurna feministka amerykańskiego kina. Niedawno zagrała zimnokrwistą lobbystkę, której w sztuce manipulowania opinią publiczną nie dorównywał żaden facet. Rola marzenie, ale bez szans na Oscara. Tak dwuznacznych figur nie lubią bowiem przyznający statuetki członkowie Amerykańskiej Akademii Filmowej. Również pod względem komercyjnym „Sama przeciw wszystkim" okazała się porażką. Twórcy „Gry o wszystko" starali się uniknąć błędu poprzedników. Ekranowa Molly budzi współczucie. Jest seksowna, lecz nie korzysta z usług męskich prostytutek. Dokształca się w Internecie. Poker to dla niej przepustka do lepszego świata.

Wątek narkotykowy potraktowano oględnie, bo mógłby zburzyć wizerunek córeczki tatusia. Widz ma odnieść wrażenie, że panna Bloom złamała prawo, które jest nieżyciowe. Prawdziwymi czarnymi charakterami są w gruncie rzeczy urzędnicy państwowi, psujący interesy zaradnej niewieście. Sądzę, że idealnym zwieńczeniem feministycznej trylogii byłaby ekranizacja książki Hillary Clinton „Co się stało". Jak wiadomo, żona Billa przegrała wybory tylko dlatego, że jest kobietą. Oto rola godna Oscara. ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „POMNIEJSZENIE"

Nowy film twórcy świetnie przyjętych „Bezdroży" i „Spadkobierców". Współczesna wariacja na temat znanego z klasyki SF motywu (choćby filmy „O człowieku, co malał" albo „Fantastyczna podróż") tym razem służy satyrze społecznej. Tylko czy aby uratować świat (i życie osobiste) wystarczy dać się naukowcom zmniejszyć? ©℗

Piotr Gociek

- ***„Pomniejszenie" („Downsizing"), reż. Alexander Payne, USA 2017, wyst. Matt Damon, Christoph Waltz, Hong Chau, Kristen Wiig***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Gniew", reż. Ludwig Shammasian, Wielka Brytania 2017***
- ***„Wyznania mordercy", reż. Yû Irie, Japonia 2017***
- ***„Narzeczona na niby", reż. Bartosz Prokopowicz, Polska 2017***
- ***„Pasażer", reż. Jaume Collet-Serra, USA 2018***

eprasa.pl cd591204ac

Parszywa ósemka

Ryba psuje się od głowy, a społeczeństwo od elity. Sally Potter nakręciła o tym film, choć jego fabułę dałoby się od biedy upchnąć w jednoaktówce. Główna bohaterka zostaje ministrem zdrowia w gabinecie cieni. Zamierza uczcić awans w gronie przyjaciół, ale zwyczajowa domówka od początku zmierza w stronę totalnej katastrofy. Na jaw wychodzą zadawnione urazy i wstydliwe sekrety. Brzmi znajomo, prawda? „Party" jest krewniakiem „Festen" Thomasa Vinterberga i „Cichej nocy" Piotra Domalewskiego. Dokładnie rok temu grasowała na naszych ekranach, wcale udana i oparta na niemal identycznym pomyśle, włoska psychodrama „Dobrze się kłamie w miłym towarzystwie". Tezę, że człowiek to załgane i samolubne stworzenie, trudno uznać za odkrywczą. Potter nie chłoszcze jednak zwykłych zjadaczy chleba. Wzięła pod obcas mądrali i bufonów, rwących się do naprawiania świata. Obsadę udało się jej zgromadzić doborową. Jak tu się nie uśmiechnąć, gdy Bruno Ganz, który zasłynął z roli Hitlera, zaprzecza, że jest nazistą? Albo gdy Cillian Murphy – twardziel z „Peaky Blinders" – poci się ze strachu, bo musi stawić czoła kochankowi żony? Niestety, z każdą sceną „Party", zamiast poważnieć, coraz mocniej grawituje w stronę tuzinkowej farsy, w której nabita fuzja musi w końcu wystrzelić. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆
REŻ. SALLY POTTER
„PARTY"
WIELKA BRYTANIA 2017

wyst. Patricia Clarkson, Kristin Scott Thomas, Timothy Spal

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

UCIEKAJĄCY ZAWODOWCY

Kto jest lepszym człowiekiem: ten, kto zabija bandziorów, czy ten, kto ich chroni? I kto lepiej poradzi sobie w życiu z kobietami: ten, kto wyniośle informuje, że im wybacza, czy ten, kto powtarza skruszonym tonem „przepraszam"? W komedii kryminalnej „Bodyguard zawodowiec" te dwie kwestie są najważniejsze, reszta to tylko akcyjne dodatki. Jest ich sporo (zwłaszcza trupów), bo fabuła wygląda tak: upadły spec od ochrony musi dowieźć przed międzynarodowy trybunał ważnego świadka, zawodowego zabójcę do wynajęcia, który ma skrupuły – w odróżnieniu od oskarżonego tam o wszelakie zbrodnie dyktatora Białorusi. Sam fakt, że białoruskiego satrapę gra Gary Oldman, przesuwa całą tę historyjkę w kierunku czystej fikcji i bezpretensjonalnej, acz krwawej zabawy. W rolach głównych nieźle wypadają Samuel L. Jackson (zabójca) i Ryan Reynolds (ochroniarz), w tle rzuca brzydkimi wyrazami Salma Hayek. Reszta to powtórka z rozmaitych „48 godzin" i ich klonów.

★★☆☆☆☆
REŻ. PATRICK HUGHES
„BODYGUARD ZAWODOWIEC"
USA 2017, MONOLITH

wyst. Ryan Reynolds, Samuel L. Jackson, Gary Oldman

REWOLWEROWIEC MIAŁ PECHA

Cykl „Mroczna wieża" Stephena Kinga to epicka opowieść pełna fantazji, grozy i niezapomnianych postaci. W wersji kinowej została zredukowana do konwencjonalnej i mało odkrywczej historii o cudownym dziecku tropionym przez siły zła, pragnące wykorzystać jego talent do zniszczenia świata. Twórcom nie udało się utrafić w specyficzny ton oryginału, a elementy fantastyczne nazbyt często trącą produkcjami B-klasowymi. W obronie chłopca staje rewolwerowiec Roland (Idris Elba), zło uosabia człowiek w czerni – czarnoksiężnik Walter (Matthew McConaughey). Nikolaj Arcel, reżyser kilku przeciętnych duńskich filmów, miał duży kłopot z zapanowaniem nad materiałem. Produkcja rozczarowała krytyków i widzów, a Stephen King zdążył już zapowiedzieć, że powstający serial TV nie będzie miał nic wspólnego z adaptacją kinową. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

★★☆☆☆☆
REŻ. NIKOLAJ ARCEL
„MROCZNA WIEŻA"
USA 2017, IMPERIAL

wyst. Idris Elba, Matthew McConaughey, Tom Taylor

GRA TYGODNIA: „DIVINITY: ORIGINAL SIN II" ★★★★★★

Rok 2017 – niezwykle udany dla branży gier komputerowych – za nami. Skoro nic nas już nie zaskoczy, to pozostaje wybrać wisienkę na torcie, czyli grę roku. Chociaż konkurencja była mocna (nowa „Zelda", „Horizon Zero Dawn", „Total War: Warhammer II"), to dla mnie bezapelacyjnie RPG wygrywa idealny „Divinity: Original Sin II". Produkcja studia Larian, częściowo finansowana w modelu crowdfundingowym, to pełna fabularnej głębi, złożonych postaci i satysfakcjonujących walk hybryda najlepszych cech „Baldurs Gate" i „Wiedźmina". Jeśli lubicie tytuły, które traktują was jak dorosłych ludzi i stawiają wyzwania, to dwa razy się nie zastanawiajcie. ©℗

Marcin Makowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *RPG*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Larian Studios*
- ***Klasyfikacja wiekowa PEGI:*** *16+*

eprasa.pl cd591204ac

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Nie wątpcie w ojczyznę

Szacuje się, że w dzisiejszej Rumunii żyje ponad 30 tys. Serbów, choć oficjalne dane ze spisu powszechnego podają liczbę o 10 tys. mniejszą. Jednym z nich, bodaj czy nie najbardziej znanym, jest Slavomir Gvozdenović, mieszkający w Timisoarze i wykładający literaturę serbską na uniwersytetach w tejże Timisoarze i w Bukareszcie. O sobie powiada: „Rumunia jest moim krajem rodzinnym, a Serbia ojczyzną".

W 1992 r. został wybrany na posła serbskiej mniejszości narodowej do parlamentu Rumunii i sprawował mandat do roku 2008, a następnie znów od roku 2012. W parlamencie przewodniczy Komisji Kultury.

Nas jednak najbardziej interesuje Gvozdenović jako poeta, ceniony nie tylko w Rumunii i Serbii, lecz także przekładany na inne języki europejskie włącznie z francuskim, angielskim i niemieckim. Nakładem wydawnictwa Agawa ukazał się ostatnio wybór jego poezji, 84 utwory przełożone przez niestrudzonego popularyzatora literatury krajów byłej Jugosławii w Polsce, Grzegorza Łatuszyńskiego, i z jego posłowiem przybliżającym sylwetkę autora pięknego wiersza „Światło i czas" zaczynającego się od słów:

Jest takie drzewo
w Pećkim Patriarchacie
w którego każdy konar
wrośli również moi przodkowie
a gdy dotknie świętej serbskiej ziemi
korzeniem w nią się wczepia
nie potrafię opisać tego drzewa
nie potrafię narysować
gdyż ono jakby się we mnie rozgałęziło
i noszę je przez stulecia.

Nawiasem mówiąc, na okładce polskiego tomu tego twórcy, łączącego w wierszach rumuński kontekst kulturowy z serbską tradycją literacką, widzimy drzewo właśnie, tyle że wyrastające z ludzkiej dłoni. Jest to reprodukcja grafiki serbskiego malarza Momo Kapora (ze zbiorów tłumacza), idealnie przystająca do treści utworów Gvozdenovicia.

FOT. DARKO DOZET

Ten urodzony w 1953 r. poeta pełną garścią czerpie z postmodernistycznej szkatuły dość dowolnie przemieszanej filozofii, ideologii i – może przede wszystkim – stylistyki, ale – co akcentuje Grzegorz Łatuszyński – „nie wyrzekł się tradycyjnych wartości, jakie przyświecały jego przodkom, nie sprzeniewierzył się patriotycznej tradycji rodzinnej, Bogu i Cerkwi, która przez długie wieki niewoli tureckiej była ostoją serbskości dla Serbów i rumuńskości dla Rumunów".

Dla Gvozdenovicia jest oczywiste, że to kultura była i jest najważniejsza dla trwania narodu przez stulecia. Daje temu wyraz w swojej poezji, w której wyraźna jest też troska o język diaspory, ustępujący pod naporem dominacji przede wszystkim ze strony miejscowego szkolnictwa. Cóż, serbskie problemy w Rumunii nie różnią się od polskich na Litwie i nie tylko na niej, bo i na Zaolziu, i w Niemczech, i przynajmniej w kilku jeszcze krajach.

W „Serbskim języku" Slavomir Gvozdenović pisze:

mój język jest domem
weń wrosłem całkowicie i bez reszty
nie znam jego barwy
ani gdzie ma serce i jak wielkie
wiem tylko że dach jego jest z niepogody.

W innym wierszu zaś wyznaje:

wszystko połykam
ogień biblioteki
uśmiech rycerza
mój naród, mój
słabe drzewa
cień nad mlecznymi jeziorami
(nie mogę sobie przypomnieć)
ziemią swoich ojców się żywię.

Trzeba przyznać, że poeta jako społecznik i, było nie było, polityk porusza się z niebywałą zręcznością po najeżonym wybojami kulturowym pograniczu. Dzięki temu ceniony jest i w Rumunii, i w Serbii, i tam, i tu nagradzany oraz wyróżniany. Dodajmy, że jest autorem 35 tomików poezji, z czego pięć wydał w Serbii, a pozostałe w Rumunii, w tym cztery w języku rumuńskim. Tłumaczył też wielu poetów na jeden i drugi język, opracowywał liczne antologie. A w wierszu „Ojczysty" iście ewangelicznie nauczał:

kiedy zwątpicie w wino i puchary
kiedy do niepewności doprowadzi was
kobieta
kiedy zwątpicie w cień księżycowy
z psiego ujadania
kiedy zwątpicie w murarzy garncarzy
złotników
w burze i odgadywanie nocy
nie wątpcie w kraj ojczysty
[...[
kiedy zwątpicie we wszystko
nie wątpcie w kraj ojczysty.

Może i zadedykowałbym ten wiersz wielu moim rodakom, ale chyba jest dla nich za dobry. ©℗

★★★★☆

SLAVOMIR GVOZDENOVIĆ „O BIAŁYM BIZANCJUM CI OPOWIADAM" AGAWA 2017

eprasa.pl cd591204ac

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Dzieci we mgle

Są w nowej powieści Marcina Ciszewskiego trzy znakomite momenty. Zawiązanie akcji: w Lesie Kabackim rozbija się rosyjski samolot z ministrem spraw zagranicznych na pokładzie. Kilkadziesiąt trupów, bałagan na miejscu katastrofy, podejrzenie zamachu i dyplomatyczne piekło. Moment drugi: po zamachu terrorystycznym w centrum Warszawy łysy, wytatuowany kark spuszcza łomot islamskiemu terroryście. – Ja ci, kurwo, dam Allahu Akbar! – woła pod koniec. A gdy policjant chce dziękować za pomoc, kark rzuca: „Z psami nie gadam!". I wreszcie finał, kiedy wszystkie rozrzucone kawałki układanki zaczynają się zazębiać i całość nabiera sensu.

Są też ewidentne słabizny. Ciszewski jest świetny, gdy pisze o historii, ładnie konstruuje zagadki kryminalne i ciężko pracuje nad researchem, ale nie wychodzą mu kawałki obyczajowe, szczególnie zaś płasko wypadają postacie kobiece. Niespecjalnie więc porywające są fragmenty, kiedy zgłębiamy wraz z autorem meandry życia uczuciowego i towarzyskiego bohaterów, z dialogami, których emfaza zalatuje telenowelą. Wszystko zaś nabiera tempa i jakości, kiedy zaczyna się akcja.

A akcji jest sporo – wysłannicy ISIS w Warszawie, podejrzane typy z ukraińskiej organizacji nacjonalistycznej, wywiad rosyjski, amerykański, ukraiński i polski, afery z czasów wojny w Iraku i interwencji w Afganistanie. Plus wielka gra geopolityczna, wielki biznes i wielka podłość mediów, a do tego polityczna rozpierducha w Polsce, bo całość rozgrywa się na tle trwającej właśnie wyborczej zmiany. Jedni wygrali i szykują się do wyrzucania drugich, tak jak sami byli kiedyś przez nich czyszczeni, racje stanu i zwykły zdrowy rozsądek ustępują zaś chęci zemsty na politycznym wrogu. Prawo, prawda, uczciwość – kto by się przejmował? My mieliśmy swoich prokuratorów, tamci mieli swoich, wszystko się skroi pod potrzeby chwili. Zobaczymy, kto ma lepszego wuja. To znaczy ministra czy premiera.

Chociaż w posłowiu autor zastrzega, że wszelkie podobieństwo osób i zdarzeń jest niezamierzone, to uważny czytelnik dostrzeże, kto i jak go inspirował, zwróćcie szczególną uwagę na pewien koncern medialny. Jednak to, co przeraża bardziej od aluzji, to sugestia, z jak dużą łatwością Polska może stać się ofiarą odpowiedniego „montażu" (używając sformułowania Vladimira Volkoffa). Sami bawicie się w swojej piaskownicy jak dzieci, więc jak dzieci przez innych będziecie rozgrywani – przestrzega Ciszewski. Obawiam się, że ma rację. ©℗

★★★★★★

MARCIN CISZEWSKI „MGŁA" WARBOOK 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Kronika cynizmu i głupoty – czyli jak niemiecka kanclerz pragnąc poprawić swój wizerunek polityczny, podjęła decyzję o otwarciu granic i rozpoczęła największy kryzys migracyjny w Europie od czasów II wojny światowej.

ROBIN ALEXANDER „ANGELA MERKEL I KRYZYS MIGRACYJNY" TEOLOGIA POLITYCZNA

Po długiej przerwie znowu w druku – pierwszy tom jednego z arcydzieł literatury XX w., czyli „Kwartetu aleksandryjskiego". Mozaikowa historia miłości opowiedziana z rozmaitych punków widzenia, bo wszystko jest względne.

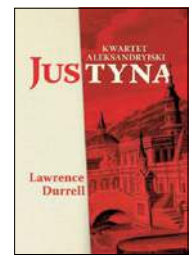

LAWRENCE DURRELL „JUSTYNA" ZYSK I S-KA

Agent 007 rusza do Berlina, gdzie wiele lat po upadku muru już nie sowieccy szpiedzy, lecz międzynarodowi handlarze narkotyków oraz szaleni wynalazcy okażą się niebezpiecznym i śmiercionośnym przeciwnikiem.

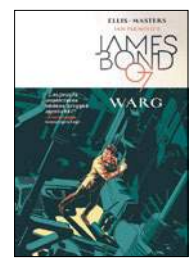

WARREN ELLIS, JASON MASTERS „JAMES BOND. WARG" NON STOP COMICS

Kto kontroluje pieniądze Polaków, czyli ponura, bo szemrana historia transformacji polskiego systemu bankowego. Od powstania FOZZ do założenia BRE Banku i Banku Millennium: służby, biznes, polityka. ©℗

poleca Piotr Gociek

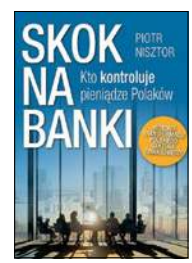

PIOTR NISZTOR „SKOK NA BANKI" FRONDA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Katarzyna Michalak „Gwiazdka z nieba" (Znak) – pierwszy tom nowej serii znanej autorki prozy dla pań. Życiowe tragedie i cuda od Tatr do Mazur.***
2. ***Dan Brown „Początek" (Sonia Draga) – piąta powieść serii o Robercie Langdonie, której najbardziej znaną częścią był „Kod Leonarda da Vinci".***
3. ***Bruce W. Cameron „Psiego najlepszego" (Illuminatio) – nowa powieść autora sfilmowanego bestsellera „Był sobie pies". I dawka podobnych emocji.***
4. ***Andrzej Maleszka „Magiczne drzewo. Berło" (Znak) – dziewiąty tom popularnego cyklu dla dzieci. A zaczęło się od serialu TV.***
5. ***Zygmunt Miłoszewski „Jak zawsze" (WAB) – skrzyżowanie political fiction i romansu, niestety poniżej poziomu cyklu o komisarzu Szackim.***

(Najchętniej kupowane książki w sieci księgarskiej BookBook)

eprasa.pl cd591204ac

ANDRZEJ HORUBAŁA

ZOBACZONE

Niepokoje Wojtka Niedzielko

Wojciech Niedzielko – nasz redakcyjny grafik prowadzący – to człowiek, który mógłby być bohaterem nieźle zakręconego filmu. Tutaj, ujarzmiony przez rygory cotygodniowego wydawania pisma, niekoniecznie wygląda na faceta, który przez 10 lat obsesyjnie fotografował ogłoszenia o zaginionych osobach, zwierzętach i rzeczach, dokumentując te szczególne wyrwy w bezpiecznej na pozór rzeczywistości.

Jednak czy ktoś obserwujący codzienną żmudną pracę Wojciecha, związałby go z ekscentryczną grupą Azorro, której członkowie podstępnie przedarli się przez casting, by jako statyści pojawić się w filmie „Karol. Człowiek, który został papieżem"?

Wydany właśnie przez Edition Haus am Gern & Nieporęcka album jego zdjęć „Zaginieni/Missing 2006–2017" to książka inspirująca. Świadczy o tym chociażby pomieszczony na końcu wydania „Appendix".

Jakub Bąk proponuje w nim spojrzeć na ułomną formę wykonanego domowym sposobem plakaciku, korzystającego często z przypadkowo pozyskanych fotografii o słabej rozdzielczości, źle kadrowanych, fatalnie reprodukowanych, pełnego błędów, jak na swoistą negację pięknego świata „HD, 4K, 3D i pełnego koloru, jakie na co dzień budują poczucie (nad) realności nowoczesnych społeczeństw". Kapitalnie punktuje też metafizyczny niepokój, jaki wzbudza: „Zaginieni są jak kot Erwina Schrödingera, pół żywi i pół martwi, dopóki nie zostaną odnalezieni, dopóty pozostają jednocześnie martwi i żywi".

Z kolei Jolanta Ciesielska, czytając apele o powrót do domu i zapewnienia o miłości, notuje: „Zniknięcie bliskiej osoby, zwłaszcza gdy chodzi o dzieci i osoby bardzo młode, czyni życie absurdalnym, groźnym, nieprzeniknionym i nieprzewidywalnym żywiołem, splotem nieszczęśliwych wypadków. Nagłe zniknięcie jest też poważnym powodem do analizowania swoich relacji z zaginionym, przyczyną intensywnego zastanawiania się nad tym, jaki był, co mogło spowodować jego ucieczkę z domu…".

Część ogłoszeń może nieść marzenie o zerwaniu jarzma nieudanych związków, aktualizować mit nowego początku, uwolnienia się od inwigilacji i nadzoru. O tym też piszą autorzy „Appendixu" do tego niepokojącego albumu. ©℗

WOJCIECH NIEDZIELKO „ZAGINIENI/MISSING 2006–2017"
WWW.EDITION-HAUSAMGERN.CH

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Z miasta zabierz mnie

Jako dojrzała kobieta Anita Lipnicka wzywa do powrotu do natury i prawdziwych uczuć. Jej posthipisowskiej płyty opakowanej w amerykańskie brzmienia słucha się wyśmienicie, tylko że niektóre mądrości życiowe mogą wprawić w zakłopotanie.

To pierwszy jej album nagrany ze stałym zespołem towarzyszącym. Muzycy The Hats są bardziej spontaniczni i naturalni od brytyjskich sidemanów z poprzednich dwóch płyt. Doskonale wpisali się w klimat modnej „americany" i są świetnie zgrani z szefową.

Lipnicka doskonale czuje się w klimatach alternatywnego folku. Skomponowała większość piosenek. Trzy powstały przy współpracy z Porterem. Polskie teksty napisała sama, angielskie z byłym mężem. Cechuje je większy optymizm niż na poprzednich płytach, ale ten czasem przechodzi w coelhowskie postrzeganie świata. Prawdy w rodzaju: „Nie pozna, że żył ten / kto nie upadł choć raz"; „Lecę do płomienia / Co się wiecznie tli"; „Leciałam co sił / Jak motyl pod wiatr"; „Mówiłeś: Trzeba żyć / Nieustannie goniąc sny"; „Zabijasz mnie / Gdy zmieniać chcesz"… pewnie rozbudzą wyobraźnię nastolatek, jednak od damy po przejściach oczekiwałbym głębszych refleksji.

W 1996 r. Anita Lipnicka sprzedała debiutancki album w nakładzie ponad 300 tys. egzemplarzy. „Miód i dym" dotarł zaledwie do 13. miejsca polskiej listy OLIS i po zaledwie miesiącu zleciał na 49. pozycję, nie osiągając nawet 15 tys. nakładu. Szkoda. ©℗

★★★★☆☆
ANITA LIPNICKA & THE HATS „MIÓD I DYM"
POMATON

★★★☆☆☆
DŻAMBLE „KAŻDY MARZY, KAŻDY ŚNI"
GAD

Dżamble z wokalistą Andrzejem Zauchą udanie łączyli rock, soul i jazz. Album „Wołanie o słońce nad światem" z 1971 r. należy do klasyki. Na omawianej płycie zebrano singlowe i niepublikowane nagrania powstałe osiem lat później. ©℗

★★★☆☆☆
NOEL GALLAGHER'S HIGH FLYING BIRDS „WHO BUILT THE MOON"
SOUR MASH

Dwadzieścia lat temu przewodził najpopularniejszemu brytyjskiemu zespołowi – Oasis. Trzeci solowy album Noela znów dotarł na szczyt tamtejszej listy. Cytaty z innych, znani goście… Tyle że z tych psychodeliczno-dance'owych kompozycji wieje pustką. ©℗

eprasa.pl cd591204ac

UTALENTOWANE, PRZEBIEGŁE I DOBRZE WYKSZTAŁCONE

JAK KOBIETY BUDOWAŁY HISTORIĘ POLSKI!

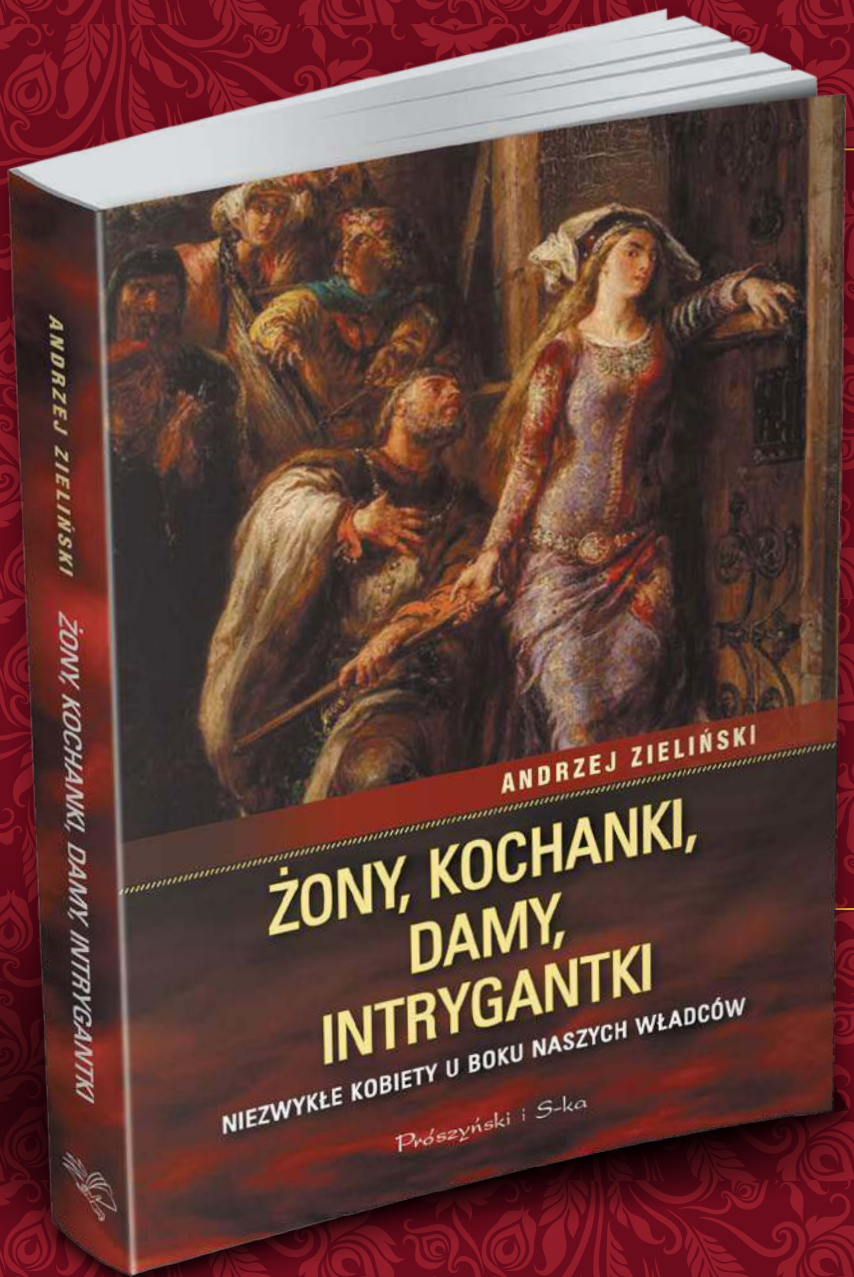

W historii Polski kobiety miały bardzo często istotny udział w tworzeniu, rozwoju i upadku państwowości, a nierzadko bezpośrednio lub pośrednio wpływały na losy Europy. Niejednokrotnie to one właśnie, w najtrudniejszych dla kraju momentach, potrafiły zmobilizować swoich ukoronowanych mężów do podjęcia konkretnych, zdecydowanych działań. Powinno się o nich nieustannie przypominać, odrzucając zastane, obiegowe opinie dotyczące naszej przeszłości, traktujące wyłącznie o książętach i królach.

JUŻ W SPRZEDAŻY

www.proszynski.pl

patroni medialni: HIST MAG .ORG, HISTORIA DO RZECZY, HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl cd591204ac

Zmęczona twarz Benedykta

Grzegorz Kucharczyk

Joseph Ratzinger – profesor teologii, „ekspert" (peritus) Soboru Watykańskiego II, arcybiskup Monachium, kardynał, prefekt Kongregacji Nauki Wiary, wreszcie papież Benedykt XVI – to żywa historia Kościoła przełomowego ostatniego półwiecza

Współkształtował wszystkie najważniejsze wydarzenia tego okresu – od Vaticanum II, podczas którego był bliskim doradcą wpływowego kardynała – metropolity Josepha Fringsa z Kolonii. W latach 70. ubiegłego wieku ks. prof. Joseph Ratzinger stał się – nie tylko w Niemczech – jednym z najwybitniejszych teologów. W 1977 r. papież Paweł VI mianował go arcybiskupem – metropolitą Monachium i Fryzyngi, podnosząc go w tym samym roku do godności kardynalskiej.

Jako jeden z najmłodszych purpuratów kard. Ratzinger brał udział w 1978 r. w dwóch konklawe, które wyniosły na papieski tron Jana Pawła I, a następnie Jana Pawła II. W listopadzie 1981 r. święty papież mianował go prefektem najważniejszej watykańskiej dykasterii – Kongregacji Nauki Wiary. Na tym urzędzie kardynał Ratzinger pozostał do 19 kwietnia 2005 r., gdy w drugim dniu konklawe po śmierci św. Jana Pawła II kardynałowie wskazali jego – „skromnego pracownika Winnicy Pańskiej" – jako kolejnego następcę św. Piotra. Był nim do lutego 2013 r., gdy ogłosił Kościołowi i światu swoją decyzję o abdykacji.

RZYMSKIE RESENTYMENTY

Wspominając – już po abdykacji – w rozmowie z Peterem Seewaldem swój pierwszy pobyt w Rzymie na początku lat 60. ubiegłego wieku, Benedykt XVI przyznawał, że jechał nad Tyber jako typowy przedstawiciel niemieckiej, akademickiej teologii, czyli z dobrze utrwalonym antyrzymskim syndromem: „Muszę przyznać, że w czasie studiów nabyliśmy swego rodzaju resentymentu względem Rzymu. Nie w sensie kwestionowania prymatu czy posłuszeństwa

FOT. MARIA GRAZIA PICCIARELLA/ROPI/EAST NEWS

eprasa.pl cd591204ac

wobec papieża; chodziło raczej o pewną wewnętrzną rezerwę co do uprawianej tu teologii".

Jako „peritus" kard. Fringsa ks. prof. Joseph Ratzinger mógł z bliska obserwować sterowanie strumieniem „Renu wpadającego do Tybru" – a nawet brać w nim udział – by nawiązać tutaj do tytułu głośnej książki ks. Ralpha Wiltgena, który w ten sposób opisywał swego rodzaju „wrogie przejęcie" soboru przez hierarchów wywodzących się z krajów położonych w dorzeczu Renu (RFN, kraje Beneluksu i Francja). „Przejęcie", czyli narzucenie własnej agendy z pominięciem „schematów" (propozycji tematów do omówienia) przygotowanych wcześniej przez rzymską kurię.

Nowa agenda obejmowała np. całkowicie nowe ujęcie kluczowej konstytucji soborowej o Kościele w świecie współczesnym czy konstytucję o wolności religijnej. Dopływ „Renu" do „Tybru" oznaczał również mocne zaakcentowanie przez sobór kwestii dialogu ekumenicznego (w tym także z całkowicie kontrolowaną przez KGB rosyjską Cerkwią prawosławną). Last but not least – chodziło również o tzw. reformę liturgii, która w trakcie jej wdrażania już po soborze okazała się całkowitą destrukcją odwiecznego rytu Kościoła.

Tę agendę całkowicie akceptował ks. prof. Ratzinger. Mało tego, jako doradca wpływowego niemieckiego kardynała współtworzył ją. Po zakończeniu soboru (1965) należał również do zwolenników szybkiej implementacji tzw. reform soborowych w Kościele niemieckim.

Datą przełomową okazał się rok 1968. I to podwójnie. Jako profesor teologii na uniwersytecie w Tybindze ks. Joseph Ratzinger mógł z bliska przekonać się, na czym polega „wolność słowa", której domagała się brać studencka wymachująca „Czerwoną książeczką" chińskiego ludobójcy. Także prof. Ratzinger doświadczył jako wykładowca obowiązywania starej rewolucyjnej zasady, że nie ma wolności dla wrogów wolności. Hasło francuskich jakobinów stało się w 1968 r. obowiązującą zasadą na zachodnioniemieckich uniwersytetach, gdzie uniemożliwiano pracę „reakcyjnym" profesorom. Do tego grona został zaliczony również ks. prof. Joseph Ratzinger.

Rewolucja maszerowała wówczas nie tylko przez uniwersytety, lecz także przez Kościół katolicki w RFN. Właściwie była tam już wcześniej, tylko wtedy ujawniła się z całą wyrazistością. Ponownie ujawnił się antyrzymski syndrom. Tym razem nie jako zwyczajowe utyskiwanie na „centralizm kurii rzymskiej", lecz jako faktyczne wypowiedzenie posłuszeństwa Magisterium Kościoła.

Kością niezgody, prawdziwym znakiem sprzeciwu wobec kulturowych tendencji współczesnego świata (apogeum tzw. rewolucji seksualnej!) stała się bowiem encyklika Pawła VI „Humanae vitae" potwierdzająca nauczanie Kościoła sprzeciwiające się sztucznej antykoncepcji. Nie spełniły się nadzieje wielu „dzieci soboru" (czyt. zwolenników całkowitej liberalizacji doktryny Kościoła w tym względzie) zarówno wśród wiernych, jak i duchowieństwa niemieckiego, że papież uwzględni „potrzeby współczesnego człowieka" i zezwoli na „pigułkę". Obradujący w Essen krótko po opublikowaniu encykliki zjazd niemieckich katolików (Katholikentag) wprost zadeklarował, że nie ma zamiaru akceptować papieskiego nauczania. Jeszcze poważniejsze w swoich skutkach było stanowisko episkopatu RFN, który w specjalnym liście pasterskim z sierpnia 1968 r. (tzw. deklaracja z Königstein) de facto powiedział to samo co Katholikentag, tylko delikatniej (to małżonkowie „w swoim sumieniu" mają rozstrzygać, czy stosować antykoncepcję, czy też jej nie stosować). Wobec takiego stanowiska niemieckich biskupów oraz wobec coraz mocniejszych powiewów „ducha reform soborowych" oznaczających systematyczną destrukcję katolickiej liturgii, doktryny i życia sakramentalnego (por. zanik spowiedzi indywidualnej) ks. prof. Ratzinger, a od 1977 r. kard. Ratzinger, coraz wyraźniej się dystansował. Dawał temu wyraz na piśmie. W swoich publikacjach od końca lat 60. ubiegłego wieku przyszły papież coraz mocniej akcentuje konieczność interpretowania uchwał Vaticanum II z zastosowaniem „hermeneutyki ciągłości", tj. w świetle niezmiennej Tradycji Kościoła i zasad powszechnego Magisterium, a nie jako całkowicie „nowe otwarcie" każące postrzegać historię Kościoła jako dzieje do Vaticanum II i dzieje po nim.

Takim spojrzeniem kard. Ratzinger kierował się jako prefekt Kongregacji Nauki Wiary. Opowiadano, że sam św. Jan Paweł II bał się swojego prefekta („No dobrze, ale co na to powie kard. Ratzinger?"). Odkładając na bok legendy, trzeba przypomnieć, że nie zawsze niemiecki kardynał był entuzjastą – mówiąc eufemistycznie – niektórych decyzji polskiego papieża. Dość wspomnieć w tym kontekście słynne „ekumeniczne" spotkanie w Asyżu w 1986 r. (brali w nim udział m.in. animiści). Jednak w innych sprawach – np. walka z teologią wyzwolenia czy próba dyscyplinowania herezjarchów typu Hans Küng – kardynał prefekt otrzymywał jednoznaczne wsparcie ze strony Jana Pawła II. Dowodem wielkiego zaufania, jakie miał polski papież dla kard. Ratzingera, było mianowanie go na przewodniczącego komisji przygotowującej tekst nowego Kodeksu Prawa Kanonicznego. Z całkowitą papieską aprobatą spotkała się również przygotowana przez kierowaną przez kard. Ratzingera dykasterię deklaracja „Dominus Iesus" (ogłoszona w sierpniu 2000 r.), która przypomniała naukę Kościoła o tym, że pełny depozyt wiary spoczywa tylko w Kościele katolickim, jedynej wspólnocie godnej miana Kościoła.

NIELUBIANY W OJCZYŹNIE

„Jeśli nie całkowita destrukcja, to cofnięcie dialogu ekumenicznego o dziesiątki lat" – grzmieli zaraz po ogłoszeniu rzeczonej deklaracji liberałowie wewnątrz Kościoła i poza nim. Winnym był „pancerny kardynał", bo takim mianem od lat 70. zwolennicy „otwarcia" Kościoła na wszystko i na wszystkich (niekoniecznie zaś na ortodoksję) nazywali kard. Ratzingera. Zwłaszcza w RFN, gdzie spora część akademickiej teologii i niemała część episkopatu interpretowała Vaticanum II w „hermeneutyce zerwania". Domaganie się przez kard. Ratzingera jako prefekta Kongregacji Nauki Wiary respektowania nauczania Kościoła spotykało się nad Renem z rosnącą opozycją. Jej spektakularnym przejawem był opór niemieckich hierarchów w połowie lat 90. ubiegłego wieku wobec płynących z Watykanu żądań wycofania katolickiego poradnictwa rodzinnego z procedury wydawania zaświadczeń, które bez względu na ich treść mogły stanowić podstawę do dokonania tzw. legalnej aborcji. Bezkompromisowe stanowisko Jana Pawła II mocno wsparł wtedy kard. Ratzinger. Tego i wielu innych rzeczy nie wybaczono mu już w ojczyźnie. Gdy w 2011 r. jako Benedykt XVI przybył z oficjalną apostolską pielgrzymką do swojej ojczyzny, w jej programie nie znalazł się punkt „spotkanie z niemieckim episkopatem". Wyobraźmy sobie sytuację: Jan Paweł II przybywa z pielgrzymką do Polski i nie spotyka się z polskimi biskupami. Rzecz nie do wyobrażenia, ale zdarzyła się w 2011 r. w Niemczech.

eprasa.pl cd591204ac

Światowe agencje obiegły zdjęcia pokazujące oficjalne ceremonie powitania i pożegnania Benedykta XVI z jego niemieckimi braćmi w biskupstwie, których to „mowa ciała" (niemal odwracania się plecami do papieża) świadczyły, że atmosfera spotkania była równa tej, jaka panuje na szczytach Alp Bawarskich. Z pewnością niemały wpływ na taki stan rzeczy miały ciągłe wezwania Benedykta XVI pod adresem swojego ojczystego Kościoła, które również mocno wybrzmiały podczas pielgrzymki w 2011 r., by tak bardzo nie koncentrował się na gromadzeniu bogactw materialnych, a bardziej poświęcił się strzeżeniu czystości wiary i przekazywaniu jej takiej wiernym. Głośny był sprzeciw Benedykta XVI wobec stanowiska biskupów niemieckich (ciągle aktualnego!) uzależniającego dopuszczenie do sakramentów od płacenia podatku kościelnego. Sytuacja ta – jak podkreślał niejednokrotnie niemiecki papież – powoduje powstanie wrażenia, że „jak zapłacisz, to dostaniesz komunię". Od siebie dodajmy, że dzisiaj w niemieckim Kościele rozwodnik żyjący w drugim, niesakramentalnym związku, ale płacący podatek kościelny może przystąpić do komunii świętej. Natomiast przykładnie żyjący katolik, ale nie płacący tego podatku ma zakaz jej przyjmowania.

PRZECIW DYKTATURZE RELATYWIZMU

Takie m.in. są opłakane skutki szerzącego się, nie tylko w niemieckim Kościele, relatywizmu. Jego dyktatorskiego oblicza. O szerzącej się dyktaturze relatywizmu mówił 18 kwietnia 2005 r. kard. Ratzinger jako dziekan kolegium kardynalskiego podczas otwierającej konklawe mszy św. „Pro eligendo Romano pontifice": „Wyznawanie jasno określonej wiary, zgodnej z credo Kościoła jest często określane jako fundamentalizm. Natomiast relatywizm, to znaczy poddawanie się »każdemu powiewowi nauki«, jawi się jako jedyna postawa godna współczesnej epoki. Tworzy się swoista dyktatura relatywizmu, która niczego nie uznaje za ostateczne i jako jedyną miarę rzeczy pozostawia tylko własne ja i jego zachcianki".

Z tego konklawe kard. Ratzinger wyszedł jako papież Benedykt XVI. Jego nauczanie i cały pontyfikat trwający niemal osiem lat można potraktować jako walkę z przejawami „dyktatury relatywizmu" poza Kościołem oraz w jego wnętrzu. Temu służyła wielka praca papieża Benedykta nad właściwym rozumieniem słów, które w dzisiejszym świecie służą często jako ideologiczne wytrychy, narzędzia do zwalczania pozostałości cywilizacji chrześcijańskiej.

Chociażby słowo „tolerancja", której „nie należy mylić z indyferentyzmem". Tolerancja, której potrzebuje nasz świat, „zakłada bojaźń Bożą, szacunek dla tego, co dla innych jest święte. Ten szacunek przed tym, co święte dla innych, zakłada z kolei, że my sami uczymy się czci dla Boga. Ten szacunek może zostać odnowiony w zachodnim świecie, gdy znowu wzrastać będzie wiara w Boga".

Podobnego uściślenia domaga się termin „prawa człowieka", ideologicznie skolonizowany przez kolejne emanacje tzw. nowej lewicy („prawo do akceptacji, prawo do samorealizacji etc."). Tymczasem na forum ONZ w 2008 r. Benedykt XVI przypominał, że pojęcie „prawa człowieka" powinno być rozumiane w ścisłym związku z prawem naturalnym. Inaczej bowiem oznaczałoby „ograniczenie ich [praw człowieka] zakresu i uleganie relatywistycznemu pojmowaniu, wedle którego znaczenie i interpretacja tych praw może ulegać zmianom i w ten sposób może zostać zanegowana ich uniwersalność w imię kulturowych, politycznych, społecznych, a nawet religijnych przekonań".

Wreszcie „sumienie". Słowo od kilkudziesięciu lat (por. sprawę sabotowania „Humanae vitae") traktowane przez wszystkich „odnowicieli" Kościoła jako poręczny instrument w rozmontowywaniu katolickiego nauczania. Jakże na czasie brzmią słowa Benedykta XVI wypowiedziane w 2011 r. w Zagrzebiu podczas spotkania z korpusem dyplomatycznym, gdy podkreślał, że „jakość społecznego i publicznego życia, jakość demokracji" zależy wprost od tego, „co się rozumie pod pojęciem sumienia i ile się czyni dla jego uformowania", albowiem „gdy wedle panującego nowoczesnego myślenia zredukuje się sumienie do płaszczyzny tego, co subiektywne, z której zostały usunięte religia i moralność, nie będzie wówczas środka zaradczego dla kryzysu Zachodu i Europa zostanie skazana na regres. Jeśli jednak sumienie zostanie na nowo odkryte jako miejsce słuchania Prawdy i Dobra, jako miejsce odpowiedzialności wobec Boga i bliźnich – co jest siłą przeciw każdej dyktaturze – wtedy istnieje nadzieja na przyszłość".

> **„Jakość demokracji" zależy wprost od tego, „co się rozumie pod pojęciem sumienia i ile się czyni dla jego uformowania"**

ZAGADKA ABDYKACJI

Tak, Benedykt XVI chciał wlać tę nadzieję w serca ludzi Zachodu, próbując zawrócić wielką łódź Kościoła na właściwy kurs. Walka z „dyktaturą relatywizmu" czy potwierdzenie obowiązywania w Kościele klasycznego rzymskiego rytu liturgicznego (motu proprio „Summorum Pontificum" z 2007 r.) były na tej drodze ważnymi, trudnymi do przecenienia wydarzeniami. Jednak to nie one – tak sądzę – zadecydują o tym, jak w historii Kościoła zapisze się Benedykt XVI. Taka całościowa ocena jest niemożliwa bez uwzględnienia podjętej przezeń bezprecedensowej w dziejach Kościoła (nie mówimy przecież o czasach antypapieży powoływanych przez cesarzy) decyzji o abdykacji. Także bez uwzględnienia jej prawdziwych motywów. Jeśli wierzyć słowom samego Benedykta XVI (por. „Ostatni wywiad" z P. Seewaldem), to chodziło o to, aby na światowym spotkaniu młodzieży w Rio de Janeiro był obecny papież w dobrej kondycji fizycznej. W tym kontekście życzliwsze dla Benedykta XVI są spiskowe teorie widzące w abdykacji wynik rozgałęzionego spisku, w którym brała udział m.in. administracja Baracka Obamy.

Tego nie wiemy, ale krok Benedykta XVI był z gruntu rewolucyjny i jako taki ryzykowny. Przypomina się w tym kontekście maksyma, że słowa uczą, ale przykłady pociągają. I pojawiają się pytania. Czy abdykacja nie była aktem kapitulacji? Czy nie była początkiem redukowania posługi Piotrowej do czysto funkcjonalnego aspektu (papież musi być zdrowy jak szef w korporacji)? Czy wreszcie nie otworzyła drogi na tron papieski zwolennikom „nowego paradygmatu Kościoła"? W tym sensie ocena pontyfikatu Benedykta XVI zależy od tego, co zrobią jego następcy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd591204ac

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Los Mondralos

W czasach konsol, smartfonów, filmów 3D albo i 5D oraz Minecrafta książka nieco straciła na swym magicznym powabie. Szczerze mówiąc, nauczenie dziecka, by czerpało radość z czytania, to jedno z największych wyzwań rodzicielstwa.

Widziałem dzieci, które wpadały w szał, gdy dostawały książkę w prezencie. – Nienawidzę książek!!! – wrzeszczała pewna inteligentna skądinąd panna, dając mi dość wyraźnie do zrozumienia, że nie trafiłem z urodzinowym podarkiem. Słyszałem też o chłopcu z bardzo inteligenckiej rodziny, który – gdy ma zadane np. 10 stron tekstu – kończy lekturę dokładnie po owych 10 stronach. Nie tylko wtedy, gdy reszta zdania jest na następnej stronie. Nawet wtedy, gdy urywa się wyraz.

Dlatego odtrąbiliśmy wielki pedagogiczny sukces, gdy nasz ośmiolatek odpłynął w lekturze. Przełomowym wydarzeniem okazało się podetknięcie mu pod nos książek Alfreda Szklarskiego o przygodach Tomka Wilmowskiego. Najpierw sarkał, że prawie nie ma tam obrazków, ale potem zerknął, zanurzył się, wciągnął i ciągle domaga się nowych tomów. A ja mogę wreszcie pograć na iPadzie.

Niestety, ten sukces ma i ciemne strony. Gdy dzieci idą do szkoły, uznają się za najmądrzejsze na świecie i ciągle pouczają rodziców oraz triumfują obleśnie, gdy przyłapią ich na intelektualnej niekonsekwencji albo braku precyzji (Kurteczka? Kurteczka? To polar, a nie kurtka!). Sądziliśmy, że nasz syn osiągnął już Himalaje mądrzenia i wyżej wejść po prostu się nie da. Niestety, fakt samodzielnego czytania „dorosłych" książek uczynił zeń istne monstrum, przy którym smerf Ważniak to całkiem sympatyczna postać.

Niedawno ogłosił bardzo wyniosłym tonem, że jest „największym specjalistą od zwierząt w całej rodzinie". A podczas gry w zagadki odezwał się do swej rodzonej matki w te słowa: „No cóż, twoja wiedza nie jest zbyt wielka, ale trudno – teraz ty zadajesz pytanie". I ciągle, bez ustanku daje nam odczuć swoją intelektualną wyższość (jakby był z Unii Demokratycznej) oraz oczywiście upiera się przy swoim zdaniu nawet wtedy, gdy wygaduje absolutne bzdury. Jednak to akurat ma po matce.

Mieliśmy po dziurki w nosie tej przemądrzałości. Błagania ani tłumaczenia rzecz jasna nie pomagały. W końcu zagroziłem mu, że jeśli wciąż będzie tak nieznośnie przemądrzały, to zamówimy dla niego wizytówki. Z następującą treścią: Tymon Zalewski. Mądrala.

O dziwo – podziałało. Kiedy zaczyna się znowu panoszyć, ogłaszam, że idę zamówić wizytówki, a on rozpacza, iż to nie fair i że to wcale nie jest zabawne. Sęk w tym, że nas to bawi. Nawet bardzo. Szczerze mówiąc, to wielka frajda pośmiać się z własnego dzieciaka. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Vox populi

Kiedy się wsłuchuję w coraz głośniejsze jeremiady tzw. elit na temat stanu ducha i umysłów Polaków, coraz bardziej uderza mnie żenujący brak szacunku do ludzi, pogarda dla tych, którzy być może nie dorównują salonowym pieszczochom z racji wykształcenia lub miejsca zamieszkania, ale przecież stanowią większość, sól tej ziemi, suwerena.

Dobrym przykładem jest modne ostatnio wybrzydzanie na niedawnego „Sylwestra w Dwójce". Wśród zarzutów dominują „tani populizm" i „schlebianie najniższym gustom". Mówiący to zapominają, że sztuka masowa jest ze swej definicji adresowana do szerokich mas, a analiza tzw. minutówek z badania oglądalności wskazuje, czego ludzie życzyli sobie najbardziej: Maryli Rodowicz, Margaret i Szpaka, Martyniuka i Zakopowera, a także „szatańskiego" stadła Basi Kurdej. I telewizja narodowa zrealizowała ich zamówienie.

Sztuka podobnie jak polityka wymaga powszechnej akceptacji społecznej, a nie żądania podporządkowania się tym, „którzy wiedzą lepiej"

Skądinąd nie zapomnieliśmy na Woronicza o kulturze wysokiej, transmitując już nazajutrz filharmoników wiedeńskich, przy widowni tylko cztery razy mniejszej niż podczas sylwestra.

Jeśli nauczyłem się czegokolwiek od czasu podjęcia pracy w Dwójce, to pokory i szacunku do widzów – którzy głosują pilotem. Można i naturalnie trzeba wpływać na ich preferencje, kształtować ich gusty, zwiększać ich wymagania i poziom naszych produkcji, ale nic na siłę. Sztuka podobnie jak polityka wymaga powszechnej akceptacji społecznej, a nie żądania podporządkowania się tym, „którzy wiedzą lepiej". Rozminięcie się z nastrojami, zlekceważenie odbiorców pogrzebało niejednego polityka i artystę.

W dodatku umiejętność tworzenia prostego, zrozumiałego przekazu nie oznacza wcale prostactwa – król szlagierów międzywojnia Andrzej Włast był filozofem i poetą, monopolista na rynku producentów telenowel Tadeusz Lampka prywatnie fascynuje się operą i historią, a piszący te słowa choć chętnie smakuje Eco i Bułhakowa, przegryzając Rimbaudem i popijając Kafką, bawi się jak dziecko przy dobrym kryminale czy sprawnym kinie akcji.

I tego właśnie – dobrej zabawy na wielu poziomach intelektu – życzę wszystkim moim Czytelnikom i Widzom w tym nowym roku. ©℗

eprasa.pl cd591204ac

Pułapki prawniczego

Polemika z artykułem prof. Marcina Matczaka w „Tygodniku Powszechnym"

Maciej Dybowski, Paweł Łącki

W artykule pt. „Niech sędziowie za nas to załatwią" (TP 48/2017) prof. Marcin Matczak zajmuje się moralną oceną działań posłów, którzy skierowali do Trybunału Konstytucyjnego wniosek o stwierdzenie niekonstytucyjności aborcji eugenicznej oraz moralną oceną potencjalnych działań sędziów katolików zasiadających w składzie Trybunału. Jednocześnie autor unika odpowiedzi na pytanie o prawną zasadność złożonego wniosku. Zdaniem prof. Matczaka działanie posłów jest „złe w sensie moralnym" i stanowi akt hipokryzji. Jest rzeczą zastanawiającą, że utytułowany prawnik, specjalista z zakresu interpretacji prawniczej, nie czuje się „gotowy" do dokonania wykładni przepisów konstytucji w kontekście eugenicznej aborcji, natomiast odnajduje w sobie gotowość do formułowania moralnej oceny motywacji wnioskodawców.

Oceniając motywację posłów należących do większości sejmowej, prof. Matczak zastanawia się, dlaczego złożyli oni taki wniosek, skoro mają możliwość zmiany ustawy w parlamencie. Dla prawnika etyczny aspekt tego pytania nie jest ani istotny, ani oczywisty. Oczywiste jest raczej to, że konstytucja daje grupie 50 posłów – niezależnie od tego, czy należą do parlamentarnej większości, czy mniejszości – nieograniczoną możliwość występowania do Trybunału z takimi wnioskami. Z perspektywy prawniczej skorzystanie z tej możliwości nie wymaga żadnego szczególnego uzasadnienia. W tym przypadku posłowie, korzystając z przyznanej im konstytucją kompetencji, chcą, aby powołany przez konstytucję organ zweryfikował, czy uregulowanie dopuszczalności aborcji eugenicznej leży w gestii ustawodawcy zwykłego, czy też – ze względu na uregulowania konstytucyjne – znajduje się poza zakresem jego swobody. Warto przypomnieć, że wspomniane przez prof. Matczaka postępowanie przed TK w sprawie aborcji z tzw. względów społecznych w 1997 r. było również zainicjowane przez parlamentarzystów.

Profesor Matczak uważa, że TK nie powinien oceniać konstytucyjności aborcji eugenicznej. Powołując się na amerykańskiego sędziego Scalię, sugeruje, że ważne i złożone aksjologicznie kwestie powinny być rozstrzygane w ramach demokratycznych decyzji. Tymczasem Scalia bynajmniej nie stronił od konstytucyjnej oceny aborcji. Zdaniem Scalii pozostawienie pewnych kwestii demokratycznej decyzji wynika z treści amerykańskiej konstytucji, a nie – jak sugeruje prof. Matczak z ich moralnej złożoności. Konstytucja RP rozstrzyga wiele ważnych kwestii moralnych, wyłączając je tym samym spod dynamiki zwykłego procesu demokratycznego. Dlaczego zatem TK nie miałby rozstrzygnąć, czy do tych kwestii należy również aborcja eugeniczna?

Wnioskodawcy narazili się na postawiony przez prof. Matczaka zarzut, że „zamiast [...] otwarcie manifestować swoje poglądy, próbują scedować decyzję na sędziów". Tymczasem dostępny na stronie internetowej TK wniosek zawiera argumentację prawniczą o niekonstytucyjności przesłanki eugenicznej, a posłowie, którzy poparli wniosek, ujawnili swoje poglądy na temat prawnej oceny tej przesłanki – w przeciwieństwie do autora tekstu. Argumentacja prof. Matczaka odnosząca się do

FOT. FOTOLIA

eprasa.pl cd591204ac

moralizowania

tych poglądów, czy to w sposób polemiczny, czy aprobujący, byłaby bardziej pożądana niż dywagacje na temat motywacji wnioskodawców i znacznie lepiej przysłużyłaby się realizacji podnoszonego przez autora „chrześcijańskiego nakazu jasności stanowiska »tak-tak«, »nie-nie«". Zarzutu tchórzostwa, podążając za myślą prof. Matczaka, mogliby uniknąć tylko posłowie należący do parlamentarnej mniejszości lub wnioskodawcy pozbawieni mandatu demokratycznego, a to dlatego, że jego zdaniem „rolą Trybunału jest obrona mniejszości niereprezentowanej aktualnie w parlamencie, nie zaś realizowanie politycznych planów większości". Żaden kompetentny prawnik nie odmówi słuszności drugiej części tego zdania: Trybunał Konstytucyjny nie jest po to, by służyć większości parlamentarnej. Zarazem – wbrew twierdzeniu prof. Matczaka – Trybunał nie jest po to, by reprezentować mniejszość czy siły pozaparlamentarne. Albo na poważnie jako prawnicy twierdzimy, że rolą sądownictwa konstytucyjnego jest osądzanie prawa (a nie ludzi), albo prowadzimy polityczny spór o to, czy Trybunał jest dla większości czy dla mniejszości, a w konsekwencji rezygnujemy z budowania w Polsce kultury prawnej. Legitymacji dla Trybunału Konstytucyjnego nie dostarczają politycy i ich partie, lecz konstytucja.

Również przywołany przez prof. Matczaka zarzut, że sędziowie, zazwyczaj niestanowiący pełnej reprezentacji społeczeństwa, decydują o sprawach o charakterze moralnym, kluczowych dla całego społeczeństwa, nie delegitymizuje moralnie posłów składających taki wniosek. Jeśli zarzut ten zawiera ocenę moralną, to przecież odnosi się ona do całej współczesnej kultury konstytucyjnej. Sądy konstytucyjne – czy to w Europie, czy w Ameryce – rozstrzygają sprawy budzące kontrowersje moralne, dlatego dziwne i arbitralne byłoby kwestionowanie takiej praktyki w odniesieniu do polskiego Trybunału tylko dlatego, że ma on orzekać o konstytucyjności eugenicznej przesłanki aborcji. Wobec konkluzji prof. Matczaka, że „wniosek do TK charakteryzuje się hipokryzją, cechą niemożliwą do pogodzenia z chrześcijańskim etosem", powtórzyć więc można jedynie słynne zdanie z konferencji prasowej papieża Franciszka z 2013 r.: „Kim jestem, aby oceniać?".

Druga część artykułu prof. Matczaka zawiera moralną ocenę potencjalnych działań sędziów katolików, którzy będą zajmowali się wnioskiem posłów w sprawie zgodności z konstytucją aborcji eugenicznej. Zdaniem autora taki sędzia skonfrontowany jest z następującym dylematem: „Czy jest w stanie zachować bezstronność w sprawie, w której jego najgłębsze przekonania osobiste są jednoznaczne, a ustawa zasadnicza jest niejednoznaczna?". Trudno zrozumieć, dlaczego pytanie o własną bezstronność nie miałoby z równą siłą towarzyszyć sędziemu, który wyznaje liberalizm kulturowy i jest gorącym zwolennikiem aborcji. Wszak i jeden, i drugi – przy braku wyraźnego zakazu aborcji w konstytucji – „musi zaangażować się w bardzo złożone ważenie wartości". Nie można uczciwie przyjąć, że brak takiego wyraźnego zakazu musiałby, na zasadzie automatyzmu, doprowadzić proaborcyjnego liberała do skorzystania z okazji, by przeforsować uznanie aborcji eugenicznej za zgodną z konstytucją. Dlaczego tylko „sędzia katolik nie ma szansy działać bezstronnie ze względu na siłę obowiązującego go moralnego nakazu przeciwstawiania się aborcji"? Skoro prof. Matczak kwestionuje możliwość bezstronności sędziego katolika w sprawie oceny przepisów aborcyjnych, to czy nie kwestionuje tej możliwości również co do innych spraw, które budzą spory etyczne?

Rada prof. Matczaka, by sędzia katolik wyłączył się z rozstrzygania takiej sprawy, a jeśli tego nie zrobi, „to albo niepoważnie traktuje pełnienie funkcji sędziego, albo niepoważnie traktuje swój katolicyzm", jest wewnętrznie niespójna i prowadzi do absurdalnych konsekwencji. Każdy średnio wrażliwy moralnie człowiek ma przecież jakiś pogląd na temat moralnej dopuszczalności aborcji, a więc zgodnie ze stanowiskiem autora nikt nie mógłby orzekać w sprawie konstytucyjności przesłanki eugenicznej (i w wielu innych sprawach rozstrzyganych przez TK oraz inne tego typu sądy). Jest rzeczą niewyobrażalną, by ilekroć pojawia się przed sędziami możliwość konfliktu między jakimiś regułami moralnymi, którym podlegają, a przedmiotowym rozstrzygnięciem, tylekroć mieli oni wyłączać się z rozstrzygania. Po pierwsze, olbrzymia większość spraw, które trafiają do Trybunału, nie jest prima facie na tyle oczywista, by można było przewidzieć treść jej rozwiązania. Sam brak wyraźnego zakazu aborcji w konstytucji bynajmniej nie przesądza jeszcze – o czym doskonale wie tak subtelny teoretyk prawa jak prof. Matczak – że nie da się z niej nic sensownego na temat aborcji wyczytać.

Dlaczego tylko „sędzia katolik nie ma szansy działać bezstronnie ze względu na siłę obowiązującego go moralnego nakazu..."?

Nie wiadomo więc, dlaczego sędziowie, w tym sędziowie katolicy, mieliby rezygnować z dokonywania w sposób bezstronny wykładni zasad ogólnych, takich np. jak ochrona życia czy godność człowieka. Po drugie, można mieć wątpliwości, czy wyłączenie się sędziego katolika, do czego wzywa prof. Matczak, samo w sobie jest zgodne z konstytucją, która chroni nas wszystkich przed obowiązkiem ujawnienia swojego światopoglądu lub wyznania.

Artykuł prof. Matczaka może okazać się ważnym głosem w dyskusji na temat budowania w Polsce kultury prawnej i wzmacniania rządów prawa. Przede wszystkim dlatego, że jego lektura skłania do postawienia pytania, czy rzeczywiście rolą prawnika powinno być doszukiwanie się przewrotnych motywacji w składaniu wniosków do TK i aprioryczne kwestionowanie bezstronności sędziów katolików.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Doktor Maciej Dybowski jest prawnikiem i filozofem, wykładowcą UAM.
Doktor Paweł Łącki jest prawnikiem, wykładowcą Uniwersytetu SWPS.

eprasa.pl cd591204ac

Piotr Semka

„Tatiček Masaryk" jest dla Czechów kimś na miarę Piłsudskiego w Polsce. Jednak bardziej trafne byłoby porównanie z Dmowskim. Pokazuje to wystawa w Pradze

Ojczulek

Kiedy my czciliśmy niedawno 150. rocznicę urodzin Józefa Piłsudskiego, bracia Czesi uczcili wielką wystawą w praskim Muzeum Narodowym 70. rocznicę śmierci Tomasza Garrigue'a Masaryka (1850–1937) – pierwszego prezydenta Czechosłowacji. To postać słabo w Polsce znana, ale w ogromnym stopniu kształtująca myślenie Czechów o swojej tożsamości. I właśnie elementami mitu Masaryka starannie, ze smakiem, ale i z sympatią do swego bohatera zajęli się twórcy praskiej wystawy.

CHŁOPSKI SYN Z NIEZŁĄ PROTEKCJĄ

Kiedy Masaryk już zrobi karierę naukową, a potem polityczną, chętnie będzie epatował swoim plebejskim rodowodem i pochodzeniem z terenów styku dwóch etnicznych żywiołów – czeskiego i słowackiego. Istotnie, jego ojciec – Jozef Masaryk – był woźnicą, z pochodzenia Słowakiem. Jednak matka, Terezie Kropačkova, należała do służby dworskiej z ambicją uczynienia z syna „pana". Sama, będąc zniemczoną Cześzką, umiała zdobyć finansowe wsparcie możnych protektorów dla wykształcenia potomka.

Muzealna opowieść ukazuje nam los typowego zdolnego młodzieńca z nizin w drugiej połowie XIX w. Trud mozolnego pięcia się po szczeblach kariery naukowej z jednoczesnym wchłanianiem całej scjentystycznej aury epoki. Po studiach w Brnie, Wiedniu i Lipsku Masaryk uwieńczył swoją karierę uniwersytecką profesurą z dziedziny literatury czeskiej na Uniwersytecie Karola w Pradze. Pracę magisterską pisze na temat demonstracyjnie rzucający wyzwanie tradycyjnym normom – „Samobójstwo jako zjawisko socjologiczne". Odchodzi od katolicyzmu na rzecz protestantyzmu, co w warunkach czeskich było odrzuceniem „papizmu" jako sojusznika habsburskiej władzy.

W czasie wizyty w Lipsku w 1877 r. poznaje swoją przyszłą żonę – Amerykankę Charlotte Garrigue, socjalistkę i feministkę. Na ślub jedzie do USA. Uznaje ideały amerykańskiej demokracji za wzór dla Czechów. Aby zademonstrować absolutną równość w ich małżeństwie, Masaryk postanawia przyjąć nazwisko żony. Odtąd przedstawia się jako Tomasz Garrigue Masaryk – w skrócie TGM.

„Który ze znanych mężów w drugiej połowy XIX w. byłby gotów przyjąć nazwisko żony? Kto z nich uznałby tak jak Masaryk małżeństwo za związek literalnie równorzędny" – pytają autorzy wystawy zachwyceni tak wczesną poprawnością polityczną swego narodowego bohatera. „Chociaż nauczyłem ją wielu rzeczy, to tak naprawdę ona mnie uformowała" – przyzna po latach Masaryk.

W czasie licznych wizyt w USA przybysz z dalekich Czech zachłysnął się siłą amerykańskiej demokracji i ideałami praw człowieka. Wtedy zaczęły się jego marzenia, by wychować Czechów na obywateli świata, wychodzących daleko poza ciasne horyzonty karczmy i kościoła parafialnego.

SAM PRZECIW WSZYSTKIM

Okazją do rzucenia wyzwania temu, co uważał za czeską małość, zyskał, wdając się w dwie wielkie debaty, które podzieliły Czechów w końcu XIX w. Pierwszą sprawą był spór o tzw. rękopisy królowodworski i zielonogórski, które „odkryto" na początku XIX w., a które były podróbkami mającymi dowieść wysokiego poziomu literatury dworskiej w czeszczyźnie.

Masaryk po zbadaniu pism ogłasza, że są falsyfikatami. Dla czeskich patriotów, którzy rywalizują z Niemcami, to bolesny cios. TGM tłumaczy, że sztuczna sława nie przystoi narodowi o wielkich aspiracjach.

Druga sprawa to tzw. Hilsneriáda. Latem 1898 r. koło miasta Polná zostają znalezione zwłoki zamordowanej czeskiej dziewczyny. Jako sprawcę policja aresztuje Żyda Leopolda Hilsnera, a w śledztwie pojawia się wątek mordu

eprasa.pl cd591204ac

„Nie bać się, nie kłamać, nie kraść" – trzy przykazania obywatelskie „Tatička" dekorują do dziś kamienicę za jego pomnikiem na Hradczanach

FOT. PIOTR SEMKA

Czechów

rytualnego. W obronę Hilsnera Masaryk wkłada całe serce, co ratuje oskarżonego od kary śmierci (a po wielu latach akcja Masaryka ułatwi ułaskawienie). Płaci za to swoją cenę. Na wystawie zebrano liczne antysemickie karykatury ukazujące naukowca jako pachołka Żydów.

Masaryk staje się znany i wchodzi do polityki. Zostaje wybrany do Reichsratu – parlamentu Austrii w latach 1891–1893 (partia młodoczeska), a potem w latach 1907–1914 (Partia Realistów). Nie jest rewolucjonistą, zaleca raczej powolne dążenie Czechów do zdobywania kolejnych praw w monarchii.

Już wtedy wychodzą na jaw pewne cechy jego charakteru, które nie pomagają mu w polityce. Karel Kramář – czeski lider narodowców – mówi mu: „Pan nie pasuje do żadnej partii. Może pan być tylko szefem własnego ugrupowania, żadna inna pozycja pana nie interesuje".

Kiedy wybucha wojna, Masaryk obawiając się aresztowania, wyjeżdża na Zachód, gdzie daje się poznać dyplomatom mocarstw ententy. I gdy zaczyna się schyłek potęgi Austro-Węgier, rozpoczyna się jego wielka kariera. Elokwentny, wolnomyślicielski polityk zdobywa poparcie kluczowych polityków w Wielkiej Brytanii, we Francji i w USA, w których świta idea likwidacji Austro-Węgier. Pomaga mu też niegdysiejsze zaangażowanie w obronę Hilsnera, która jest mu życzliwie pamiętana przez organizacje żydowskie. To otwiera mu wiele drzwi. Od połowy 1917 r. większość czasu spędza w Rosji, gdzie z jeńców czeskich i słowackich tworzone są słynne legiony, które w chaosie rewolucji oraz wojny domowej przebijają się potem z centralnej Rosji do Władywostoku. Wobec chaosu rosyjskiej rewolucji przenosi się do USA, gdzie wybija się na lidera czeskiego, a potem i słowackiego ruchu narodowego. Tej roli i mentora nie da sobie odebrać już do końca życia.

20 grudnia 1918 r. wraca w glorii zbawcy narodu do Pragi. Już wtedy TGM dba o wizualizację polityki. Wzdłuż jego limuzyny na Václavskim náměsti maszerują legioniści z Rosji, Francji i Włoch. Masaryk wchodzi płynnie i szybko w rolę demokratycznego monarchy. Zajmuje apartamenty cesarskie na Hradczanach. Od tej chwili aż do śmierci nie odda statusu niekoronowanego władcy zeświecczonych Czech.

ASCETA I MAKIAWELISTA

W oszklonej gablocie Muzeum Narodowego oglądam spłowiały quasi-wojskowy uniform Masaryka i jego wysokie buty do jazdy konnej. W przedwojennej Czechosłowacji ten biały (latem) lub granatowy (zimą) strój stał się znakiem rozpoznawczym TGM. Coś jak szary mundur Piłsudskiego. Autorzy wystawy piszą: „Jazda konna była ulubionym sportem prezydenta, który wierzył, że zawdzięcza jej dobrą kondycję fizyczną. Sportowe, ale i ascetyczne życie – to przesłanie, jakie miał nieść strój głowy państwa".

Masaryk bardzo dbał o majestat władzy – starannie używał ówczesnych mediów, dyskretnie animował państwowy kult swej osoby, a jego przemyślenia przelewał na papier Karel Čapek – jeden z najlepszych czeskich pisarzy tamtej epoki. Zebrane kroniki filmowe z lat 20. i 30. pokazują niezliczone wizyty prezydenta w swoim nowym kraju. Wszędzie tam szacowny, siwy starzec o strzelistej, wyprostowanej sylwetce otwiera szkoły, wizytuje manewry, wita się z dziatwą, przecina wstęgi i wygłasza umoralniające mowy do ludu. Jego pasją było podnoszenie poziomu moralnego Czechów i Słowaków. Chciał ich myśli skierować ku humanistycznym ideałom ludzkości. Było w tym trochę idealizmu i nieco rytuału, ale jego rodakom ten górnolotny styl imponował. Czechosłowacki prezydent wypracował sobie pozycję patrona piątki partii politycznych – często skłóconych, ale zawsze w końcu znajdujących drogę do wspólnej koalicji, tzw. petki, czyli piątki partii politycznych.

Jego polityczni przeciwnicy twierdzili, że za dobrotliwą pozą profesora i „ojca ojczyzny" skrywał się twardy polityk mający ponoć szafę z hakami na oponentów. Sam Masaryk mówił o aparacie państwowym trzeźwo. „Państwo nie jest tak złe i nierozsądne, jak twierdzą anarchiści, nie jest wszakże tak piękne i dobre, jak śpiewają jego wielbiciele. Przeciętnie, nie jest gorsze od pozostałych dzieł ludzkich. Jest potrzebne" – stwierdzał z typowym dla siebie pragmatyzmem.

Swoje słowacko-czeskie pochodzenie wykorzystał do lansowania idei narodu

eprasa.pl cd591204ac

Masaryk nie widział sprzeczności między głoszonym demokratyzmem a kreowaniem się na republikańskiego monarchę, portretowanego często na koniu REPRODUKCJA: PIOTR SEMKA

i języka czechosłowackiego. Czechom taka wizja odpowiadała, ale Słowacy z czasem coraz mocniej chcieli własnego państwa.

Tym bardziej że Republika była agresywnie laicka. Sam prezydent lubił mówić o religijności, ale bez określania wiary. Po cichu wspierał Czechosłowacki Kościół Husycki – narodową odpowiedź na katolicyzm.

Ludzkość wielbił, ale w stosunku do konkretnych jednostek nie miał specjalnych złudzeń. „Wspaniałych ludzi jest moc – zwierzał się kiedyś pisarzowi Ferdinandowi Peroutce. – Ale zazwyczaj są słabi i leniwi, i potrzebują presji ludzi pełnych energii i produktywnych.

Polski nie lubił. Drażniły go nasz katolicyzm i „wielkopańskość". Autorzy wystawy w Pradze tematu jego międzynarodowych wizji nie rozwijają. Natomiast uczciwie przyznają, że jeszcze za życia, na 80. urodziny w 1930 r., zaakceptował wydanie przez parlament specjalnej ustawy o swych zasługach dla państwa. Masaryka nie krępowało budowanie mu za życia licznych pomników. Już w 1919 r. jego imieniem nazwano jeden z praskich dworców i uniwersytet w Brnie.

Umarł w 1937 r. Namaszczony przezeń następca – Edward Benesz – okazał się politykiem miernym. Czechosłowacja nie przetrwała roku bez „Tatička". Naziści zakazali pamięci o Masaryku, ogłaszając go „politykiem antyniemieckim". Po wojnie na chwilę znów powrócił jego kult, ale po puczu w lutym 1948 r. prezydent stał się niewygodnym bohaterem. Parę dni po przewrocie Jan Masaryk, syn prezydenta, wyleciał z okna w Pałacu Czerninów (samobójstwo czy demonstracja siły komunistów?). Zaczyna się kampania walki z kultem starego prezydenta. W Pilźnie likwidacja pomnika wywołuje zamieszki. W Hodoninie jego pomnik zostaje opatrzony tablicą przypominającą, ilu robotników zastrzeliła policja w czasie strajków i manifestacji. W 1989 r. „Tatiček" triumfalnie wraca.

TGM i popiersie jego następcy – Benesza FOT. MAT. PRAS.

Do stylu filozofa na tronie nawiązuje prezydent Václav Havel. Kiedy umiera, w 2011 r., jego trumna wieziona jest z Hradczanów na tej samej lawecie armatniej, na której w 1937 r. wieziono ciało twórcy Czechosłowacji.

Wystawę kończy symboliczny motyw: zarys Masaryka na koniu, na który rzutnik rzuca zdjęcia czeskich polityków. Václava Klausa, Mirka Topolánka i wreszcie obecnego prezydenta Miloša Zemana. Czy dorównują oni swemu wielkiemu poprzednikowi?

TATIČEK I DZIADEK

Polski widz po wyjściu z wystawy mimowolnie myśli o porównaniach Masaryka z Piłsudskim.

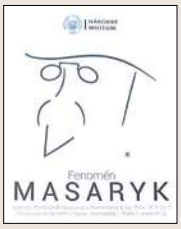

Słynna karykatura Masaryka piórka Bedřicha Fritty stała się symbolem wystawy REPRODUKCJA: PIOTR SEMKA

Obaj chcieli wyzwolenia swoich narodów, ale Piłsudski był zwolennikiem zbrojnej walki i konspiracji. Masaryk stawiał na pracę organiczną – podniesienie umysłowego poziomu narodu przy jednoczesnym korzystaniu ze swobód liberalnej monarchii habsburskiej.

Różnice zaborów odcisnęły na nich obu silne piętno. Brutalny zabór carski łamał charaktery i pchał do czynnego oporu. Habsburski ład skłaniał do wyzwań intelektualnych. Masaryk przypominał bardziej politycznego rywala Piłsudskiego – Romana Dmowskiego – z jego pozytywizmem, doskonałym obyciem na Zachodzie i zimnym realizmem. Piłsudski, wychowany w kulcie powstania 1863 r., płonął „snem o szpadzie". Masaryk żył w epoce renesansu kultu husytów, ale i pamiętał o klęsce pod Białą Górą. W czasie I wojny światowej doceniał wagę czynu legionowego Czechów i Słowaków, jednak generałów trzymał zawsze z dala od polityki.

Obaj po zdobyciu wolności chcieli silnego państwa. Dla Masaryka wzorem była republikańska Francja, gdzie autorytaryzm jakobińskiej republiki był maskowany parlamentarnym sztafażem. Piłsudski gardził Sejmem i niespecjalnie maskował rządy silnej ręki. Zarówno gospodarz praskich Hradczan, jak i lokator Belwederu łamali głowę, na kim oprzeć bezpieczeństwo swoich świeżo stworzonych republik.

Obaj wybrali Francję. W latach 1938–1939 i oni, i my zawiedliśmy się na tym sojuszu.

Masaryk, tak jak Piłsudski, biedził się z dużą liczbą mniejszości narodowych w swoich granicach. Chciał rozwiązać problem, wymyślając jednolity naród czechosłowacki i takiż język. Piłsudski próbował dogadywać się z Białorusinami i Ukraińcami, jednak zwłaszcza ci ostatni nie chcieli uznać polskiego władztwa nad swymi ziemiami.

Obaj nie dożyli zagłady swych państw wskutek agresji Hitlera. Być może dlatego pozostali w pamięci swoich narodów jako nieskalane ideały wolności po I wojnie światowej. Nasz kult Marszałka znamy dobrze. Czeski sen o TGM znamy słabo, choć – co dobrze pokazuje wystawa w Pradze – miał on swój specyficzny urok. Dla Polaka jest bardzo ciekawy. Jak zawsze, gdy w czeskim zwierciadle szukamy wiedzy o sobie samych. ©℗

Wystawę „Fenomen Masaryk" można oglądać w Muzeum Narodowym w Pradze do 31 stycznia 2018 r. Szczegóły na stronie: www.nm.cz.

eprasa.pl cd591204ac

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Komunizm made in Poland

Józef Mackiewicz opowiadał, jak krótko przed wybuchem powstania przyjechał z Wilna do Warszawy. W stolicy rozmawiał z przedstawicielami AK, którym próbował otworzyć oczy na nowe, nadchodzące ze Wschodu zagrożenie.

– Nie zajmujcie się już, panowie, Niemcami – przekonywał. – Niemcy są już pobici. Teraz trzeba się szykować do obrony przed sowietyzacją.

Przedstawiciele AK tylko się śmiali.

– Sowieci nam niestraszni! – mówili. – Skoro tak świetnie radziliśmy sobie ze szkopami, to bez trudu poradzimy sobie z tymi wschodnimi obdartusami. Polska to kraj cywilizacji zachodniej, a nie azjatyckiej. Tutaj komunizm się nie przyjmie.

A jednak – przyjął się. Co więcej, został wprowadzony w dużej mierze polskimi rękami. Proces ten przedstawił w swojej nowej książce wybitny badacz prof. Nikołaj Iwanow. Profesor cytuje słynne słowa, jakie w sierpniu 1944 r. miał usłyszeć od Stalina premier Stanisław Mikołajczyk: „Komunizm pasuje Polsce jak siodło krowie". No bo rzeczywiście – naród katolicki, poparcie dla komunizmu znikome. Co więcej, polskie kadry komunistyczne w latach 30. zostały niemal wymordowane w trakcie bolszewickich czystek.

Okazało się jednak, że słowa Stalina były tylko blefem. Dyktator miał już przygotowany plan sowietyzacji Polski. Po 1944 r. został on zrealizowany z żelazną konsekwencją. Wystarczyła do tego mała, ale ślepo posłuszna grupa polskich komunistów, do której szybko dołączyły tysiące zwykłych oportunistów.

„W Polsce – pisze prof. Iwanow – powstał system bardzo mocno przypominający system totalitarny w Związku Sowieckim. Był to jednak mimo wszystko system polski, uwzględniający specyfikę polskich tradycji, historii i polskiego ruchu komunistycznego".

Stąd właśnie tytuł –„Komunizm po polsku". Jest to książka nie tylko świetnie napisana, lecz także nowatorska. Oparta została bowiem na nieznanych wcześniej archiwaliach sowieckich. Na proces sowietyzacji Polski możemy spojrzeć oczami Stalina i jego współpracowników. Fascynujące! ©℗

★★★★★★

NIKOŁAJ IWANOW „KOMUNIZM PO POLSKU. HISTORIA KOMUNIZACJI POLSKI WIDZIANA Z KREMLA" WYDAWNICTWO LITERACKIE 2017

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Wszechstronny Andrzej Zaucha

Gdyby przeprowadzić głosowanie na najbardziej utalentowanego polskiego muzyka, Andrzej Zaucha (ur. 12 stycznia 1949 r.) zapewne zająłby wysokie miejsce. Grał właściwie „na każdym instrumencie, jaki wziął do ręki", do tego dysponował pięknym barytonem i potrafił niemal wszystko zaśpiewać ze słuchu.

Proponowano mu nie do końca udane utwory, wiedząc, że „zamieni je w złoto"

Nigdy też nie musiał specjalnie ćwiczyć, właściwe efekty osiągał niemal natychmiast. Znajomi i współpracownicy zarzucali mu nawet czasami, że nie należał do specjalnie pracowitych, ale on faktycznie nie musiał się przemęczać. W karierze wokalisty nie przeszkadzał mu niski wzrost, braki fizyczne nadrabiał niezwykłą osobowością estradową i znakomitym kontaktem z widownią.

„Ten talent nie był szlifowany – oceniał Andrzej Sikorowski – nie był przecież wykształconym muzykiem. Natomiast jego talent był rodem gdzieś z Harlemu, miał taki feeling, takie poczucie rytmu i taką [wręcz] małpią umiejętność imitowania, przyswajania wszystkiego".

Problemem Zauchy był fakt, że sam niewiele komponował. To uzależniało go od innych, a nawet najlepszy piosenkarz nigdy nie zrobi kariery bez odpowiedniego repertuaru, a Andrzej raczej nie miał szczęścia do kompozytorów i nigdy nie znalazł twórcy, „który pisałby i dla ludzi, i dla niego".

Poza tym Zaucha nie potrafił odmawiać. Ten w gruncie rzeczy dobry i miły człowiek przenosił te cechy charakteru na grunt zawodowy, co nie było najlepszym rozwiązaniem. Jak wiadomo, w interesach nie ma sentymentów, a show-biznes jest jedną z najbardziej bezwzględnych dziedzin działalności.

Przyjaciele uważali, że został w „wiele piosenek wrobiony". Wszyscy wiedzieli, jak znakomitym jest wokalistą, wobec tego często proponowano mu nie do końca udane utwory, wiedząc, że Zaucha „zamieni je w złoto". Było w tym jednak też trochę winy artysty, który nie tylko nie potrafił odmawiać, lecz także czasami wręcz zaniedbywał swoje interesy.

Sprawdzał się jako wokalista popowy i jazzowy, nagrywał piosenki do programów telewizyjnych oraz seriali, występował jako śpiewający aktor w inscenizacjach krakowskiego Teatru STU. W efekcie jego wszechstronność zaczęła się obracać przeciwko niemu. Gdyby skoncentrował się na jednej, wybranej dziedzinie, być może odnosiłby znacznie większe sukcesy. Jednak artystę interesowało zbyt wiele tematów, by poświęcić się wyłącznie jazzowi czy piosence. Za jego życia ukazały się zaledwie dwie solowe płyty, a to bardzo niewiele jak na lata kariery najlepszego polskiego wokalisty. ©℗

eprasa.pl cd591204ac

Z Grzegorzem Sieczkowskim, dziennikarzem i pisarzem
rozmawia
Tomasz Zbigniew Zapert

Zima zła

FOT. EDMUND UCHYMIAK/PAP

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Zima z przełomu lat 1978 i 1979 była najsroższą w dziejach PRL?

GRZEGORZ SIECZKOWSKI: Przede wszystkim kiedyś były siarczyste mrozy, nierzadko trwające od schyłku listopada do końca marca. W związku z czym każde pokolenie miało własną zimę stulecia. Dla pokolenia moich dziadków taką zimą do czasu wojny była zima w 1929 r., potem ją „zdetronizowały" mrozy w roku 1940. Mnie też mówiono, że „kiedyś to były prawdziwe zimy", i zwykle jako przykład dawano właśnie tę wojenną, co jest zrozumiałe, bo przecież wtedy naprawdę musiało być ciężko. Nie dość, że mroźno i śnieżno, to jeszcze okupacja. Co ciekawe, po tej zimie stulecia w 1979 r. starsi przestali powtarzać, że kiedyś były prawdziwe zimy. Ona też zrobiła na nich wrażenie. Była również bardzo mroźna zima w 1987 r., ale ja najgorzej wspominam zimę z przełomu lat 1981 i 1982, czyli z czasu stanu wojennego. Wtedy mrozy i śnieg przyszły na początku grudnia. Mróz potęgował ponurość i nędzę tamtego czasu. Miałem uczucie, że coraz bardziej staję się mieszkańcem jakiejś Korei Północnej.

Meteorolodzy nie przewidzieli w grudniu 1978 r. potęgi nadchodzącego nad kraj frontu arktycznego czy też władza ludowa zlekceważyła ich ostrzeżenia?

Czy w erze propagandy sukcesu mogą się pojawiać jakieś problemy? Nie. I czy ktoś by się odważył powiedzieć takiej władzy, jak trzeba działać? Ponadto skala klęski żywiołowej była taka, że i dzisiaj wątpię, czy dałoby się ją opanować. Przy takim żywiole pewne straty są nieuniknione. Jednak można było ostrzegać ludzi od samego początku, żeby uważali. Mieli ze sobą ciepłą odzież, jedzenie. I przede wszystkim, by nie podróżowali. Takich apeli jednak nie można było wygłaszać przed tradycyjnym przemówieniem noworocznym I sekretarza KC PZPR, a także zaraz po nim.

Atak zimy nastąpił w wieczór sylwestrowy, więc niektóre bale pozostały niezapomniane...

Podobno najlepiej wojnę zaczynać 1 stycznia, sekretarz Stalina też uciekł w sylwestra. Sporo ludzi próbowało się dostać na zabawy noworoczne, niektórym to nawet się udało. Ja należę do rzadkich szczęściarzy, bo świetnie poruszałem się po mieście, znajdując bez trudu transport. Jednak nie wszystkim poszło tak dobrze, jeden z moich bohaterów wylądował razem ze swoimi znajomymi w noc sylwestrową w zakładzie produkującym... trumny. Z opowiadanych mi relacji sylwestrowych ta robi na mnie największe wrażenie, szczególnie gdy się pamięta apokaliptyczne obrazy, jakie się wówczas widziało.

Komunikacja stanęła, ogrzewanie przestało działać. Ogłoszono stan klęski żywiołowej?

Stany klęski żywiołowej ogłaszali wojewodowie poszczególnych województw, pierwszy chyba zrobił to już 1 stycznia wojewoda gdański, bo fala mrozu i śniegu uderzyła najpierw w północną Polskę. Kataklizm zadziałał jak kostki domina. Błyskawicznie obnażał wszystkie braki systemu. W małych miejscowościach, nawet w okolicach Warszawy, brakowało w pierwszych dniach żywności. Władze sięgnęły po szczególne środki. Już w sylwestra apelowano do pracowników różnych służb, żeby przychodzili do pracy. Zresztą wielu takich, którzy mogli dojechać, stawiało się nawet bez wezwania. Byli to kolejarze, pracownicy elektrociepłowni, komunikacji, służby zdrowia. Ludzie potrafili zachować się świetnie. W pierwszych dniach stycznia z przedsiębiorstw, których produkcja nie była w tym momencie najważniejsza, urlopowano kobiety. Mężczyźni z niemal wszystkich zakładów pracy musieli brać udział w odśnieżaniu ulic. W pierwszej kolejności głównych arterii, przystanków komunikacji, sprzed sklepów. Pracowałem wtedy w szpitalu i pamiętam, że na początku stycznia łatwiejszy dojazd do pracy miały niektóre osoby spoza Warszawy niż ja mający do pokonania raptem kilka kilometrów przez miasto. Sam żywioł i skutki przez niego wywołane nie mieściły się w jakiejkolwiek logice.

Ile było ofiar śmiertelnych?

Trudno dziś ustalić ich liczbę. Nie ma na ten temat ani danych, ani nawet wiarygodnych szacunków. Władzom PRL na tym nie zależało. Tylko 2 stycznia odnotowano 14 przypadków zamarznięcia. A przecież były tzw. ofiary pośrednie, bo do kogoś np. nie dojechało pogotowie. Historyk Marcin Zaremba, który analizował zjawisko zimy stulecia, uważa, że pod względem liczby ofiar mogła to być największa w takich skutkach klęska żywiołowa w PRL. Ucierpiały niemal wszystkie dziedziny gospodarki. Ogromne straty były w rolnictwie. Powymarzały całe fermy drobiu.

eprasa.pl cd591204ac

Jak przedstawiały sytuację media?

Jak zawsze w PRL, czyli wszystko jest pod kontrolą. Aparat partyjny i administracyjny działają i radzą, co obywatele mają robić. Aktywną walkę z żywiołem toczą ludowe wojsko i Milicja Obywatelska, a potem pozostałe służby, na końcu wymieniano jak zawsze obywateli. Na Zachodzie, czyli u kapitalistów, jest jeszcze gorzej, oni nie dają sobie rady. Pojawiły się tematy zastępcze, takie jak z UFO, które dwukrotnie sfilmowała telewizja australijska, potem pojawiło się nad Rzymem, a nawet nad socjalistyczną Bułgarią. Wcześniej takie tematy znajdowały miejsce gdzieś pod koniec gazety, a na początku zimy stulecia zajmowały drugą, jakby nie było prestiżową stronę. No, cóż – jak się mawiało wtedy – mądrość etapu.

Pomysłowość rodaków w walce z żywiołem potwierdzała hasło epoki: „Polak potrafi!".

Wtedy w ogóle w gospodarce permanentnego niedoboru trzeba było ruszać głową, żeby jakoś sobie dawać radę. Niewątpliwie w zimę stulecia sprzedawały się świetnie narty biegowe, elektryczne piecyki do ogrzewania były bezcenne. Kto ich nie miał, ten próbował sam coś podobnego zrobić. Najskuteczniejszy był sposób z dużym garnkiem postawionym do góry dnem nad palnikiem, tworzył się wtedy taki komin. Gaz z kuchenki – dopóty, dopóki był w domu, bo zdarzało się, że go nie było – ogrzewał powietrze w kuchni. Kompletnie nie sprawdzał się pomysł z gotowaniem wody w garnkach. Para wodna osiadała na szybach i zamarzała, zmieniając się w całkiem grubą warstwę lodu. Bardzo ważnym produktem był plaster bez opatrunku. Taki w rolce. Najlepszy, obok waty, środek do uszczelniania okien. I dawał się jeszcze dobrze usunąć, w przeciwieństwie do taśm, które w tym celu zostały wyprodukowane.

A jeśli chodzi o ubranie... W takich warunkach mądrość nakazuje: nie liczy się moda i szyk, ważny jest komfort termiczny. Każdy więc zakładał, co miał ciepłego. Człowiek miał na sobie ciepłą koszulę, czasami nawet dwa swetry. Na autobus czekał długo, a w autobusie był tłok, więc pocił się jak w saunie. Czyli sytuacja patowa.

Śnieg zgarniano na pryzmy, gdzie oczekiwał na odwilż. Zgodnie z hasłem: „Siły przyrody w służbie człowieka" wypowiadanym w komedii Stanisława Barei „Brunet wieczorową porą".

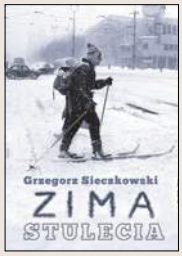

GRZEGORZ SIECZKOWSKI „ZIMA STULECIA" THE FACTO 2017

W miastach nadmorskich śnieg zwożono na plaże lub wysypywano na zamarznięte morze. W Warszawie część opadu przetransportowano poza miasto, ale niewiele. Z czasem trochę osiadł, stwardniał, był trudny do usunięcia. Pod pryzmami znalazło się sporo samochodów, zwłaszcza maluchów, które w ten sposób doczekały do wiosennej odwilży.

Zima stulecia – radująca dzieci, bo przedłużono im ferie – znalazła po latach odzwierciedlenie w kulturze.

To było bowiem ważne doświadczenie. Filip Bajon jeszcze pod koniec lat 80. zaczął pracować nad filmem, który pojawił się zaraz po upadku komuny. „Bal na dworcu w Koluszkach" opowiada o częstych w noc sylwestrową przymusowych postojach pociągów na stacjach kolejowych, podczas których przypadkowi podróżni bawili się wspólnie. Obrazowi patronuje duch Stanisława Wyspiańskiego, czuć klimat jego „Wesela". Z kolei tom opowiadań „Zima stulecia" Sławomira Rogowskiego jest utrzymany w hrabalowskim klimacie z bardzo osobistą, wręcz intymną refleksją. Moja książka zgodnie z podtytułem „Portret pamięciowy kataklizmu" jest próbą zapisania tego, co zapamiętaliśmy.

Konsekwencją pogodowej anomalii sprzed 38 lat były wiosenne powodzie.

„Woda ma to do siebie, że się zbiera i stanowi zagrożenie, a potem spływa do Bałtyku" – jak mawiał pewien klasyk. Ogromne masy śniegu rozpuściły się w marcu 1979 r. Bug i Narew wylały. Moim zdaniem ta powódź była w politycznych skutkach o wiele groźniejsza dla władz PRL niż sama zima stulecia. Kataklizm śnieżny w większości nie dotknął domów i mieszkań. Owszem, było zimno, ale stosunkowo bezpiecznie. Powódź zabrała ludziom domy. Zdarzały się sytuacje, że mieszkańcy całych zatopionych wsi znajdowali bezpieczne schronienie w lasach i czekali na pomoc nawet po kilkanaście godzin. O ile podczas zimy stulecia można było często spotkać się z miłymi gestami od przypadkowych ludzi, to podczas powodzi pojawiły się różnego rodzaju szumowiny, które okradały dobytek pozostawiony przez uciekających.

Potem miała nadejść urzędowa pomoc. I wtedy swoją twarz pokazała PRL-owska korupcja. Często ze środków dla powodzian w pierwszej kolejności korzystały aparat partyjny i administracyjny.

Wielu wspomina zimę stulecia z humorem.

Przyniosła wiele zdarzeń, których się nie da zapomnieć. A to właśnie komuś wysadziło korki w magazynowanych na balkonie, a wcześniej z trudem zdobytych butelkach rieslingu. A to zamarzło mięso w bagażniku, również z trudem pozyskane, miało przecież stanowić zabezpieczenie na pierwsze dni stycznia. Czy można zapomnieć historię kogoś bliskiego, kto musiał się przekopać tunelem kilkaset metrów do sąsiadów, bo inaczej umarłby z głodu? Każdy z nas miał jakieś niezwykłe historie. Ponadto ten żywioł bywał urzekająco piękny. Ci, którzy przeżyli kataklizm nad morzem, twierdzą, że zamrożone fale Bałtyku mają wyjątkową urodę.

„Nam nie trzeba Bundeswehry, nam wystarczy minus cztery. Jeszcze jedna taka zima i komuna nie wytrzyma" – żartowała ulica.

Czy zimę stulecia można odczytać jako zapowiedź upadku systemu? Maciej Świrski widzi to właśnie w ten sposób. Marcin Zaremba też traktuje zimę stulecia jako ważny etap w cyklu zdarzeń, które wpłynęły na upadek komunizmu. Wielu moich rozmówców, idąc przez miasto ogarnięte klęską, czuło się jak w jakimś filmie science fiction. Chcę jednak zwrócić uwagę, że dwie osoby, które wtedy wyrzucono z pracy z powodów politycznych, czyli Paweł Śpiewak i Krzysztof Czabański, do zimy stulecia podchodzą w najmniej emocjonalny sposób z bohaterów mojej książki. Dla mnie to element z sekwencji zdarzeń. Po prostu od Czerwca '76 zaczęło się robić gęsto od różnych niezależnych od siebie zdarzeń: pojawienie się zorganizowanej opozycji demokratycznej i wydawnictw drugiego obiegu, wybór papieża Polaka, zima stulecia, wybuch Rotundy, powódź, pielgrzymka Jana Pawła II do Polski, katastrofa samolotu „Kopernik"... Jednak komuny nie obaliła jeszcze jedna taka zima. Zniszczyło ją lato, strajki sierpniowe w 1980 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Grzegorz Sieczkowski – dziennikarz prasowy i telewizyjny, pisarz, autor książek o obyczajowości rodaków: „Cały ten seks. Kroniki podkasane", „Skandale PRL-u", „Piwo klasztorne i domowe", „Grzyby. Leśne skarby na naszym stole". Kolekcjoner krawatów.

eprasa.pl cd591204ac

Odwieczna stolica Izraela

FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

Tomasz P. Terlikowski

Donald Trump, nie pierwszy raz, wbrew politycznej poprawności robi to, co powinno się zrobić już wiele lat temu. Tak jest w przypadku uznania Jerozolimy za stolicę państwa Izrael

Jerozolima jest miejscem szczególnym. Trudno powiedzieć, na czym owa szczególność polega. Może na mikroklimacie, może na tym, że spacerując po niej, ma się wrażenie, iż jest się w kilku miastach jednocześnie – ponieważ przechodząc z jednej uliczki Starego Miasta na drugą, można przenieść się ze świata ormiańskiego do arabskiego, by zaraz potem przejść do świata żydowskiego. A kilkanaście minut dalej jest Mea Szearim, gdzie atmosfera jest jak w żydowskiej części Warszawy okresu międzywojnia (i nawet, choć coraz rzadziej, z ust starszych mieszkańców usłyszeć można język polski). Jednak to nie różnorodność jest tu najważniejsza. O wiele istotniejsze jest to, że tu – jak nigdzie indziej, bo chyba nawet nie w papieskim Rzymie – świętość jest na wyciągnięcie ręki.

Święte miejsca chrześcijaństwa, miejsce męki i śmierci Jezusa, sąsiadują ze Ścianą Płaczu (ostatnim zachowanym fragmentem murów Świątyni Jerozolimskiej), a nad nimi wznoszą się meczety (Al-Aksa i Kopuła na Skale) święte dla muzułmanów. A jeśli człowiek uświadomi sobie, że według Żydów to właśnie tam – na wzgórzu Moria – Abraham miał złożyć Izaaka w ofierze, a według muzułmanów tam osiąść miała Arka Przymierza Noego. Wszystko to sprawia, że miejsce to – i nie jest to tylko przenośnia – pozostaje duchowym centrum wszechświata. „Ziemia Izraela jest środkiem świata; Jerozolima jest środkiem Ziemi; Świątynia jest środkiem Jerozolimy, Święte Świętych jest środkiem Świątyni; Arka Przymierza jest środkiem Świętego Świętych, a Kamień Węgielny, z którego powstał świat,

eprasa.pl cd591204ac

jest przed Arką Przymierza" – można przeczytać w Midraszu Tanchuma (powstałym ok. IV w. po Chrystusie).

APOKALIPSA, ŚWIECKIE MESJANIZMY I TRZY WIELKIE RELIGIE

To jednak, co jest niewątpliwą siłą Jerozolimy, co sprawia, że kto raz tam przyjechał, ten chce wrócić, pozostaje jednak głównym źródłem jej problemów politycznych. Tak się bowiem składa, że geopolityka miesza się tam z religią, interesy wielkich mocarstw z fundamentalizmami (ale i ze zwykłą pobożnością) trzech wielkich religii monoteistycznych, a argumentacja strategiczna często – i dotyczy to nie tylko Żydów i muzułmanów, lecz także ewangelikalnych Amerykanów – uzupełniana jest wizjami apokaliptycznymi, które mocno oddziałują na niektóre z politycznych pomysłów rozwiązania sporu o Jerozolimę.

Trzeba do tego dodać, a to także ma znaczenie, świeckie ideologie, które z tego miasta uczyniły (z przyczyn mniej lub bardziej uzasadnionych) swoje symboliczne centrum. Dla syjonistów, także tych niewierzących (a jest ich w Izraelu większość), nie ma państwa żydowskiego, którego stolicą nie byłaby Jerozolima. Arabscy (a może należałoby powiedzieć – palestyńscy) nacjonaliści, także ci, którym islam jest obcy, również w tym mieście widzą stolicę swojego wymarzonego państwa i nie widzą najmniejszych powodów, by z pragnień tych rezygnować. Na obie te świeckie wizje nakładają się jeszcze elementy religijne. Żydzi nie mają wątpliwości, że Jerozolima, uczyniona stolicą Izraela przez Dawida, pozostaje na zawsze stolicą Izraela. Dla islamskich Palestyńczyków jest ona trzecim co do ważności miastem (po Mekce i Medynie) ich własnej religii.

W tle tych sporów islamu i judaizmu, Żydów i Arabów, są jeszcze interesy, coraz częściej spychane na margines, miejscowych chrześcijan rozmaitych wyznań i tradycji. Oni także tam są i choć muzułmanie traktują ich jak zdrajców (bo choć są Arabami, to wyznają chrześcijaństwo), a dla Izraela pozostają Arabami, to ich interesy także muszą być uwzględniane przy układaniu strategicznej układanki. Jest to szczególnie ważne, gdy do miejscowej polityki aktywnie włączają się Stany Zjednoczone, ponieważ miejscowi chrześcijanie – choć brzmi to kompletnie absurdalnie – często są przez muzułmanów karani za geopolityczne decyzje Waszyngtonu. Także dlatego (nie bez znaczenia jest tu to, że ogromną większość ich wiernych stanowią Arabowie) liderzy chrześcijan z taką rezerwą podchodzą do deklaracji Donalda Trumpa o uznaniu przez USA Jerozolimy za stolicę Izraela. A jednak, wbrew tej opinii, a także wbrew opinii papieża Franciszka czy liderów Unii Europejskiej, wydaje się to w tej chwili decyzja optymalna i wbrew pozorom bardzo przemyślana.

UZNANIE RZECZYWISTOŚCI

Tak się bowiem składa, że Donald Trump tylko uznał to, co jest rzeczywistością. Dla Żydów Jerozolima zawsze była ich stolicą. I choć w 1947 r. ONZ postanowiła uczynić z miasta strefę neutralną, pod kontrolą międzynarodową, to nigdy nie udało się tego dokonać, ponieważ obie strony – i żydowska, i palestyńska – chciały kontrolować święte miasto. W efekcie wybuchły walki, które doprowadziły do podziału Jerozolimy na dwie części – wschodnią (należącą do Transjordanii) i zachodnią (izraelską). To nie doprowadziło do uspokojenia emocji. Izrael bowiem, czemu z punktu widzenia symboliki trudno się dziwić, już w 1949 r. uznał Zachodnią Jerozolimę za swoją stolicę, a Transjordania złamała podstawowe warunki podziału i zakazała wstępu Żydom do świętych dla nich miejsc, znajdujących się w sporej części po stronie wschodniej. W tym czasie sprofanowano też wiele ważnych dla Żydów miejsc, a także – czasowo – ograniczano dostęp do najważniejszych sanktuariów chrześcijanom.

Normalizacja przyszła dopiero, może trudno w to uwierzyć wielbicielom lewicowych i fundamentalistycznych organizacji palestyńskich, gdy w wyniku wojny sześciodniowej (wywołanej atakiem Egiptu) wojska izraelskie zajęły w 1967 r. także Wschodnią Jerozolimę. Trzynaście lat później – 30 lipca 1980 r. – Kneset uznał zjednoczoną Jerozolimę za stolicę Izraela i choć społeczność międzynarodowa nigdy tej decyzji nie uznała, a pretensje do Wschodniej Jerozolimy zgłaszają nadal Palestyńczycy, to w istocie miasto to od prawie 40 lat funkcjonuje jako stolica Izraela. I nawet jeśli ambasady mieszczą się gdzie indziej, to i tak faktycznie dla każdego Żyda i ogromnej większości turystów jest jasne, że to właśnie Izrael jest gospodarzem w tym mieście i on zapewnia dostęp do ważnych dla Żydów i chrześcijan miejsc. Decyzja Trumpa (poprzedzona decyzjami amerykańskiego senatu, i to za czasów jego poprzedników) jest więc tylko uznaniem stanu faktycznego, którego – z różnych powodów – nie chcą uznać inni.

STARCIE CYWILIZACJI

Naruszenie tego stanu, gmeranie przy realnym statusie miasta, byłoby w istocie wywołaniem wielkiej wojny. Religijni Żydzi i przekonani syjoniści nigdy nie zgodziliby się na oddanie kontroli nad świętym miastem, szczególnie że święte dla nich miejsca znalazłyby się po arabskiej stronie. Trudno sobie też wyobrazić, by Palestyńczycy, ze szczególnym uwzględnieniem tych z nich, którzy prezentują fundamentalizm islamski, pogodzili się z tym, że zachodnia część miasta będzie żydowska, i by nie szykanowali próbujących się modlić religijnych Żydów. I już choćby dlatego, jeśli ktoś ma nadzieję na to, że Wschodnia Jerozolima kiedykolwiek będzie stolicą Palestyny, to jest albo naiwny, albo bardzo źle życzy tym ziemiom. Można oczywiście powtarzać, że konieczny jest dialog i porozumienie, ale ostatnie dziesięciolecia debat o znacznie mniej gorących kwestiach niż Jerozolima nie pozostawiają wątpliwości, iż szanse na takie rozwiązanie problemu są minimalne.

Warto też uświadomić sobie, że niezależnie od rozmaitych sporów polsko-żydowskich czy polityki historycznej Izraela, która w pewnych aspektach pozostaje sprzeczna z polską, w istocie to właśnie to państwo pozostaje na Bliskim Wschodzie najistotniejszym strażnikiem cywilizacji zachodniej, ono jest solą w oku muzułmańskich państw. Jego ochrona, a przynajmniej jej wsparcie, jest w najlepszym interesie Zachodu. Jeśli nie są tego w stanie zrozumieć przywódcy państw unijnych, to dobrze, że zrozumiał to prezydent Stanów Zjednoczonych. I dobrze by było, by Polska podążyła wytyczoną przez niego drogą. Nie chodzi o podlizywanie się komukolwiek, ale o świadomość, że bez Izraela zatrzymanie islamskiej fali będzie o wiele trudniejsze. A Izrael i Polskę łączą naprawdę liczne więzy historii, kultury i teraźniejszości.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd591204ac

Jacek Przybylski

Diabeł miesza w Watykanie

Óscar Maradiaga, bliski współpracownik i przyjaciel papieża Franciszka, publicznie zachęca do ubóstwa. Według mediów inkasował jednak ok. 2 mln zł rocznie. On sam kategorycznie zaprzecza oskarżeniom

Przyjaźni się z Bono, włada sześcioma językami, ma licencję pilota i cieszy się opinią wybitnego znawcy teologii i filozofii oraz stanowczego obrońcy najbiedniejszych. Wpływowy honduraski kardynał Óscar Andrés Rodríguez Maradiaga, arcybiskup Tegucigalpy, był wymieniany jako jeden z faworytów do tronu papieskiego zarówno po śmierci św. Jana Pawła II, jak i po abdykacji Benedykta XVI. Gdy papieżem został Franciszek, stał się jego bliskim doradcą. W światowych mediach zasłynął również bezpardonowym atakiem na amerykańskiego kardynała Raymonda Leo Burke'a – ultrakonserwatywnego duchownego, który w 2014 r. publicznie zdystansował się od postępowania obecnego Ojca Świętego i oznajmił, że jest gotów sprzeciwić się papieżowi, jeżeli będzie on próbował zmienić nauczanie Kościoła. Honduraski hierarcha stanął wówczas w obronie Franciszka, a Burke'a nazwał „biednym, rozczarowanym człowiekiem, któremu nie udało się osiągnąć wielkiej władzy, o której marzył".

POD PRĘGIERZEM

– Wciąż stoi przed nami wielkie wyzwanie ubóstwa. Na ostatnim zgromadzeniu powiedzieliśmy sobie: „Zero ubóstwa, jedna ludzkość". „Zero ubóstwa" wydaje się utopią. Trzeba jednak umieć marzyć. Inaczej niczego się nie osiągnie. My mamy w sobie ten entuzjazm. Dobrze wiemy, że od roku 2000 istnieją słynne „milenijne cele rozwoju". Dzisiaj nikt już o nich nie mówi. Nastanie rok 2015, a ubóstwo nie zostanie zmniejszone o połowę. Naszym zdaniem nie można z tego rezygnować. Caritas postanowiła, że nadal będzie dążyć do realizacji tych celów – przekonywał kard. Maradiaga w 2012 r.

Rok później, gdy w kwietniu 2013 r. papież Franciszek mianował go członkiem

Óscar Maradiaga, przyjaciel papieża Franciszka, przekonuje, że padł ofiarą ludzi żądnych zemsty

FOT. ETTORE FERRARI/ANSA/PAP

eprasa.pl cd591204ac

prestiżowej i wpływowej rady kardynałów (K-9), którzy doradzają Ojcu Świętemu m.in. w sprawach reformy Kurii Rzymskiej, mówił o potrzebie ubóstwa Kościoła.
– Chodzi o używanie tego, co dał nam Bóg, dla wspólnoty, dla braterstwa, dla dobra wspólnego – przekonywał kardynał.

– Zasadniczym pytaniem nie będzie to, czy ktoś był na mszy w kościele, czy nie, ale czy nakarmił głodnego – przekonywał również w 2014 r. honduraski purpurat jeszcze jako przewodniczący Caritas Internationalis. W roku 2015 podkreślał z kolei, że „troska o ubogich to Ewangelia, a nie komunizm", korupcję zaś określił mianem współczesnego raka ludzkości.

Pod koniec 2017 r. włoski tygodnik „L'Espresso" opublikował dokumenty, z których wynika, że tak mocno pochwalający ubóstwo kardynał jako kanclerz uniwersytetu w ojczystym Hondurasie przez lata inkasował miesięcznie ok. 42 tys. dol. (równowartość ok. 150 tys. zł), a do tego w grudniu przyznawał sobie specjalną premię w wysokości 64 tys. dol. (ok. 225 tys. zł). Z wyliczeń dziennikarzy wynika, że łącznie na konto duchownego wpływała rocznie równowartość ok. 2 mln zł. Według „L'Espresso" zarówno duchowni, jak i świeccy świadkowie oskarżają także Maradiagę o podejrzane inwestycje, w wyniku których zniknął gdzieś ponad milion dolarów, a także o malwersacje pieniędzy z subwencji państwowych przeznaczonych na podległe kardynałowi kościelne fundacje. Dochodzenie w tej ostatniej sprawie prowadzi już Honduraski Trybunał Obrachunkowy.

To jednak tylko początek problemów związanych z honduraską diecezją. Kilkudziesięciu świadków złożyło bowiem zeznania obciążające biskupa pomocniczego w archidiecezji Tegucigalpa: Juana José Pinedę. Według niepotwierdzonych informacji miał on np. z kościelnych pieniędzy wspierać finansowo swego „intymnego przyjaciela", który przedstawia się jako „ojciec Erick", choć nigdy nie przyjął kapłańskich święceń.

ATAK WROGÓW REFORM?

Sam kardynał odrzucił oskarżenia „L'Espresso", przekonując, że szkalujące go „półprawdy" to zemsta pracownika Uniwersytetu Katolickiego, który został zwolniony za kradzież. – Będę służył tak długo, jak będzie tego sobie życzył Ojciec Święty – oświadczył Óscar Maradiaga, który 29 grudnia skończył 75 lat, a więc osiągnął wiek, w którym zgodnie z prawem kanonicznym wszyscy kardynałowie muszą złożyć na biurku papieża swoją rezygnację z pełnionego urzędu. Ojciec Święty może ją wówczas przyjąć lub poprosić o dalsze pełnienie posługi. Według zwolenników kardynała osoby, które rozpowszechniają oskarżenia wobec Maradiagi, to wrogowie postulowanych przez niego reform, którzy chcieli po prostu, aby papież natychmiast zaakceptował jego rezygnację.

Ludzie z otoczenia papieża Franciszka, na których relacje powołuje się tygodnik „L'Espresso", twierdzą, że papież jest „smutny, ale jednocześnie bardzo zdeterminowany, aby dotrzeć do prawdy". Według doniesień włoskich mediów papież wezwał już swego przyjaciela na rozmowę i zażądał wyjaśnień. Rzecznik Stolicy Apostolskiej Greg Burke potwierdził zaś, że na osobiste polecenie Ojca Świętego przeprowadzono śledztwo w związku z domniemanymi nieprawidłowościami finansowymi diecezji Tegucigalpa; w imieniu papieża Franciszka przeprowadził je w maju 2017 r. 81-letni argentyński biskup Jorge Pedro Casaretto.

Kardynał Maradiaga oskarżył szkalujących jego imię dziennikarzy o brak wiarygodności oraz etyki zawodowej: z jego relacji wynika bowiem, że reporterzy przed opublikowaniem oskarżycielskiego artykułu nawet się z nim nie skontaktowali, aby zapytać o jego wersję wydarzeń.
– W dzisiejszych czasach, które są tak przepełnione plotkami, ten typ dziennikarstwa niszczącego ludzi nie może być traktowany poważnie – ktokolwiek robi coś takiego, dyskredytuje samego siebie – oznajmił honduraski purpurat na łamach włoskiego dziennika „Avvenire". Zaznaczył także, że gdy tylko otrzymuje jakieś pieniądze lub podarunki podczas zagranicznych konferencji lub debat, to wykorzystuje je do opłacenia ubezpieczenia społecznego swoich księży.

Według portalu Vatican News kardynał przekonuje, że pieniądze, o których pisał „L'Espresso", otrzymywał nie on, lecz diecezja i były one przeznaczane m.in. na opłacenie czesnego seminarzystów, finansowanie budowy oraz remontów kościołów oraz na zapewnienie pomocy ekonomicznej duchownym oraz ludziom potrzebujących na terenie diecezji.

Z kolei Radio Watykańskie podało, że Maradiaga już po wybuchu skandalu odebrał telefon od papieża. – Przykro mi z powodu całego zła, które ci wyrządzili, ale o nic się nie martw – miał powiedzieć Franciszek.

Afera wywołana przez tekst w tygodniku „L'Espresso" to kolejny skandal finansowy, który wstrząsnął Stolicą Apostolską. Zlecone przez papieża Franciszka kontrole finansów Watykanu po kilku latach wykazały np., że niektórzy hierarchowie Kościoła przyjmowali ogromne łapówki oraz drogie prezenty m.in. za przyspieszenie procesu kanonizacji. Korupcja w szeregach duchownych sprawiała, że procesy beatyfikacyjne kosztowały nawet po pół miliona euro, a procesy kanonizacyjne były jeszcze droższe. Z tego powodu Franciszek wprowadził nowe regulacje, które mają zapewnić większą transparentność procesów kandydatów na błogosławionych i świętych.

CHCIWOŚĆ ZA SPIŻOWĄ BRAMĄ

Wcześniej o skandalach finansowych w Watykanie pisał m.in. włoski dziennikarz śledczy Emiliano Fittipaldi. Autor książki „Chciwość" ujawnił wiele malwersacji. Zdaniem Fittipaldiego kościelni dostojnicy mieli np. dużą część datków wiernych przeznaczonych na cele dobroczynne wydawać na bieżące utrzymanie watykańskich instytucji. Najbardziej znany skandal dotyczył zaś fundacji działającej przy szpitalu dziecięcym im. Dzieciątka Jezus, z której kont pobrano kilkaset tysięcy euro na remont kilkusetmetrowego apartamentu kardynała Tarcisia Bertone w Palazzo San Carlo – apartamentu, który był ponoć dziesięciokrotnie większy od mieszkania, w którym w Watykanie żyje papież Franciszek.

Gdy sprawa wyszła na jaw, były sekretarz stanu najpierw zdementował wiadomości włoskich dziennikarzy, a następnie tłumaczył, że jeśli nawet doszło do wykorzystania tych pieniędzy, to bez jego wiedzy. Ostatecznie Bertone zwrócił szpitalowi Dzieciątka Jezus 150 tys. euro w formie „dobrowolnej darowizny", jednocześnie przyznając, że afera z nim związana wyrządziła wielkie szkody.
W zeszłym roku w Watykanie odbył się zaś proces dwóch byłych menedżerów watykańskiego szpitala, oskarżonych o przeznaczenie 422 tys. euro z kasy jego fundacji na remont apartamentu kardynała. Prezes fundacji watykańskiego szpitala Giuseppe Profiti został skazany na rok więzienia w zawieszeniu na pięć lat za nadużycie urzędu. Przed tym samym trybunałem uniewinniono również Fittipaldiego, który został oskarżony o opublikowanie poufnych dokumentów na temat finansów Watykanu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd591204ac

Piotr Włoczyk

Czarny protest

Południowoafrykańscy farmerzy alarmują, że ich zajęcie stało się bardziej niebezpieczne niż praca w policji. Rząd RPA – który przymierza się do konfiskaty ich ziemi – bagatelizuje problem

FOT. ASHRAF HENDRICKS

Werner Weber, mówiący po angielsku z bardzo twardym akcentem afrikaans, z dziada pradziada gospodarzy na gigantycznej farmie w prowincji Mpumalanga, tuż przy granicy RPA z Suazi. Weber jak mało kto w RPA wie, jak niebezpieczna może być walka o bezpieczeństwo farmerów. W 2002 r. zainicjował akcję zbierania podpisów pod petycją do rządu z żądaniem zatrzymania fali ataków na farmerów. Udało mu się wtedy zebrać 416 tys. podpisów.

– Następnego dnia po złożeniu petycji, doszło do ataku na mnie i na moją rodzinę. To była niedziela, więc pojechaliśmy do kościoła. Pod naszą nieobecność napastnicy włamali się do domu i zabrali broń. Gdy parkowałem auto, napastnicy zaczęli do nas strzelać. Uratowało nas to, że najwyraźniej nie umieli obsługiwać mojej broni i oddali niewiele strzałów. Cudem udało się nam uciec – mówi „Do Rzeczy" Werner Weber, szef Freedom Front Plus w prowincji Mpumalanga, jedynej partii reprezentującej w parlamencie RPA interesy białych Południowoafrykańczyków. – To była zemsta za petycję. Policja nie była zainteresowana złapaniem sprawców – dodaje.

– Na policję nie możemy liczyć. My sami musimy być dla siebie ochroną. Kilka tygodni temu mieliśmy w okolicy alarm: jeden z farmerów został postrzelony przez napastników, ale najbliżsi sąsiedzi przybyli w porę z pomocą i udało się go uratować – mówi Weber.

OGIEŃ RASIZMU

Napady na farmerów nie zawsze kończą się tak szczęśliwie dla ofiar. Rok temu w Mpumalandze doszło do potwornego mordu na farmie Modderbult, niedaleko gospodarstwa Webera. Czteroosobowa rodzina została zabita we własnym domu strzałami w głowę. Zginęli 48-letni Louis Smuts, jego 42-letnia żona Belinda oraz rodzice Louisa: 78-letni Gert oraz jego o rok młodsza żona Paulina. Louis i Belinda osierocili dwoje dzieci.

Według danych AfriForum, organizacji broniącej praw Afrykanerów, farmer jest 4,5 razy bardziej narażony na śmierć w wyniku morderstwa niż przeciętny obywatel tego kraju. O ile bowiem w RPA rocznie w wyniku morderstw ginie 34 obywateli na 100 tys. (30 razy więcej niż w Polsce), o tyle w przypadku farmerów – jak przekonuje AfriForum – liczba ta wzrasta do 156. – To oznacza, że farmer jest w naszym kraju trzykrotnie bardziej narażony na morderstwo niż policjant. A zatem w tym momencie to farmerzy mają najbardziej niebezpieczną pracę w naszym kraju. Nie możemy pozwolić, by tak to wyglądało – przekonywał podczas ostatnich protestów w stolicy RPA Ian Cameron z AfriForum.

Protesty nazwano „Czarnym Poniedziałkiem" – po wielu latach bezskutecznej walki, pod koniec tego roku, Werner Weber, wraz z tysiącami południowoafrykańskich farmerów, postanowili postawić sprawę bezpieczeństwa na ostrzu noża.

Bezpieczeństwo to jeden z głównych czynników zmuszających białych Południowoafrykańczyków do emigracji. Ten problem szczególnie dotyczy farmerów, którzy emigrują m.in. do Australii i Nowej Zelandii. Kiedy upadał apartheid, w RPA żyło ok. 100 tys. białych farmerów. Dzisiaj jest ich trzy razy mniej.

– Co roku dochodzi do kilkuset ataków na farmy i ta liczba rośnie z roku na rok. Tylko w 2017 r. na farmach zginęło ponad 70 osób – mówi Werner Weber.

Poza marszami organizowanymi w największych miastach i na prowincji farmerzy blokowali też autostrady wokół Johannesburga, Pretorii oraz Kapsztadu. Na transparentach widać było hasła „STOP Plaasmoorde" („STOP morderstwom na farmach") czy „No farmer, no food" („Nie ma farmera, nie ma jedzenia"). Nie wszyscy protestujący byli biali. W tłumie widać było też wiele czarnych twarzy – pracownikami farm w ogromnej większości są czarni i oni również niepokoją się o bezpieczeństwo na prowincji.

– My, farmerzy, mamy generalnie dobre relacje z czarnymi. Dajemy im pracę i dbamy o ich rodziny. Ktoś jednak roznieca

eprasa.pl cd591204ac

białych farmerów

ogień rasizmu. Niemal w każdym przemówieniu naszego prezydenta padają bardzo jadowite słowa na temat białych. Prezydent zrzuca na nas prawie każde swoje niepowodzenie – mówi Werner Weber.

Jego zdaniem policja nie daje sobie kompletnie rady z chronieniem farm, a rządzący RPA nieprzerwanie od upadku apartheidu Afrykański Kongres Narodowy nastawia czarną ludność przeciwko białym. Dlatego farmerzy biorą sprawy w swoje ręce i organizują się w samoobrony. W razie ataku wystarczy nacisnąć guzik, by zaalarmowani w ten sposób sąsiedzi ruszyli z odsieczą. Czasem udaje się w ten sposób zapobiec tragedii.

„BIAŁA" ZIEMIA

– Moja farma położona jest ok. 15 km od najbliższego posterunku policji. Dlatego – niestety – sami musimy wypełniać zadania policji. Sąsiad często jest pierwszym, który przychodzi z pomocą – powiedział w rozmowie z nami Henry Geldenhuys, który posiada 3 tys. ha przy granicy z Suazi. – Gdy tylko pojawia się sygnał alarmowy, zakładam kamizelkę kuloodporną, chwytam strzelbę i jadę w miejsce, gdzie potrzebna jest pomoc – opowiada.

Henry Geldenhuys jest członkiem Transvaal Agricultural Union of South Africa (TAU SA), organizacji zrzeszającej białych farmerów z północno-wschodniej części kraju. Geldenhuys kieruje w TAU SA specjalną komórką zajmującą się bezpieczeństwem na prowincji. Z szacunków organizacji wynika, że od roku 1990 zostało zamordowanych ponad 1 tys. farmerów, ok. 500 członków ich rodzin, a także ponad 130 pracowników farm.

– Kochamy naszą pracę, jesteśmy odpowiedzialni za żywienie całego narodu, ale życie farmera w RPA to ciągłe oglądanie się za ramię i sprawdzanie, czy nic nam nie grozi. To ogromny problem – mówi Geldenhuys. I dodaje: – W związku z moją pracą w TAU SA widziałem bardzo wiele miejsc zbrodni. Brutalność tych ataków jest wprost nieprawdopodobna. Często całe pomieszczenia są obryzgane krwią. Torturowani przez bandytów ludzie są polewani gorącą wodą albo parzeni żelazkami.

Wszyscy w RPA wiedzą, że biali farmerzy to majętni ludzie, więc siłą rzeczy są atrakcyjnym celem dla bandytów. Farmerzy tłumaczą jednak, że brutalność ataków wynika w znacznej mierze ze szczucia na nich – temat redystrybucji ziemi (w większości należącej do białych) to coraz bardziej zapalny temat, wykorzystywany przez polityków. W marcu zeszłego roku prezydent Jacob Zuma zapowiedział w końcu zmianę konstytucji, by umożliwić konfiskatę „białej" ziemi.

Władze kwestionują dane na temat ataków przedstawiane przez AfriForum, jednak same nie są w stanie przedstawić wiarygodnych danych na ten temat. Dlaczego? Ponieważ 10 lat temu policja w RPA przestała traktować te ataki jako osobną kategorię przestępstw. Werner Weber, podobnie jak wielu innych farmerów, twierdzi, że ta zmiana w statystykach nie była przypadkiem, a część fali przemocy skierowanej przeciw farmerom to element kampanii mającej wyrzucić ich z farm.

KRAJ NAD PRZEPAŚCIĄ

– Trzeba potępić te ataki, ale pamiętajmy, że nastawienie wielu – choć nie wszystkich – białych farmerów do czarnych sąsiadów, a także pracowników, naznaczone jest rasizmem i brutalnością, żeby wspomnieć choćby o ostatniej sprawie z trumną – mówi „Do Rzeczy" Jeremy Cronin, prominentny członek współrządzącej RPA Południowoafrykańskiej Partii Komunistycznej, a także wiceminister robót publicznych. Mówiąc o „sprawie z trumną", Cronin ma na myśli niedawny proces dwóch białych farmerów, którzy zostali oskarżeni o zamknięcie swojego czarnego pracownika – któremu zarzucali kradzież – w trumnie i grożenie mu śmiercią. – To wszystko przejawy kolonializmu i rasizmu, chociaż powiedzieć też trzeba, że wobec białych farmerów również dochodzi do niepokojących zachowań bazujących na uprzedzeniach rasowych, które czasem są niesprawiedliwe – mówi Cronin, dodając koncyliacyjnie, że po części sympatyzował z protestującymi farmerami, rozumiejąc poniekąd ich obawy o bezpieczeństwo.

Wszystkie radykalne głowy, zapowiadające konfiskatę ziemi uprawianej przez białych farmerów, powinien studzić przykład sąsiedniego Zimbabwe. Odkąd w 2000 r. Robert Mugabe odebrał tamtejszym białym farmerom ziemię, a następnie rozdał ją swoim zausznikom oraz biedocie, Zimbabwe stoczyło się w przepaść. Okazało się wówczas, jak prawdziwe jest hasło: „No farmer, no food".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd591204ac

Powrót z syryjskich lochów

Witold Repetowicz

Mój ubiegłoroczny wyjazd do Syrii zakończył się ponad miesiącem uwięzienia. Co miało też swój plus, bo mogłem porozmawiać z tymi, do których z pewnością bym nie dotarł, gdybym nie został oskarżony i nie trafił za kraty

Gdy we wrześniu 2015 r. Monika Olejnik wymachiwała zdjęciami Alana Kurdiego, trzyletniego kurdyjskiego chłopczyka z Syrii, który utonął w pobliżu tureckiego Bodrum, usiłując przedostać się do Europy, ja pakowałem się już, by pojechać do Kobane – miasta, z którego pochodził. Olejnik, podobnie jak większość innych osób wykorzystujących śmierć tego dziecka do agitacji na rzecz przyjmowania migrantów, ani razu jednak nie wymieniła nazwy „Kobane". Tak jakby chłopiec ten spadł z nieba albo pochodził z odległej galaktyki o nazwie „Syria".

Chociaż Syria jest odmieniana przez wszystkie przypadki w kontekście kryzysu migracyjnego, to niektóre media zachowują się tak, jakby cały problem zaczynał się na łódkach płynących do Europy. Cóż z tego, że większość dopływających do Europy ma czarny kolor skóry, który jest w Syrii równie powszechny co w Polsce? W Syrii „wiadomo, jest wojna i wszędzie spadają bomby". To również bzdura, ale przecież wojną też lepiej zajmować się z oddali. Skoro o Syriuszu można pisać, nie będąc na nim, to dlaczego nie o Syrii? Przecież taki wyjazd wiąże się z ryzykiem. Jeśli ktoś je podejmie, to zawsze można skwitować to słowami: „Dla kilku obrazków podjęli wielkie ryzyko". Tak mój ostatni wyjazd do Syrii skomentował jeden z dużych portali w Polsce. Wyjazd zakończył się 37 dniami pobytu w syryj-

eprasa.pl cd591204ac

Witold Repetowicz z Arabami służącymi w oddziałach kurdyjskich YPG, walczących z Państwem Islamskim, północna Syria, 2014 r.

FOT. ARCHIWUM AUTORA

skich więzieniach. Było ciężko, ale warto było podjąć takie ryzyko. Na tym bowiem polega prawdziwe dziennikarstwo.

TRZY SYRIE

Był to mój szósty wyjazd do Syrii, przy czym czwarty w czasie tej wojny i trzeci na tereny opanowane przez zdominowaną przez syryjskich Kurdów koalicję Syryjskich Sił Demokratycznych (SDF). Po pokonaniu Państwa Islamskiego Syria, nieco upraszczając, podzielona jest na trzy części: tereny kontrolowane przez rząd; prowincję Idlib zdominowaną przez dżihadystów z Al-Kaidy oraz północną Syrię opanowaną przez wspierane przez Amerykanów SDF. Zamieszkujący północną Syrię Kurdowie wsławili się najbardziej krwawymi bojami z Państwem Islamskim. To oni obronili na przełomie lat 2014 i 2015 miasto Kobane. Bitwa trwała cztery miesiące i stała się punktem zwrotnym w wojnie z Państwem Islamskim. To również SDF zadały ostateczny cios „kalifatowi", zdobywając w październiku 2017 r. stolicę tego tworu, tj. miasto Ar-Rakka.

Zarówno Kobane, jak i Ar-Rakka były celem naszego wyjazdu w grudniu 2017 r. Materiał był realizowany dla TVP Info. Chcieliśmy pokazać rzeczywiste potrzeby ludzi tam mieszkających. Planowaliśmy porozmawiać z lekarzami, którzy zostali ze swoimi pacjentami na miejscu. Nie skusili się na „humanitarną" ofertę Niemców, która dla wielu Syryjczyków mogłaby oznaczać śmierć lub kalectwo, nie miałby ich bowiem kto leczyć. Planowaliśmy porozmawiać z tymi, którzy nie chcą wyjeżdżać, i skonfrontować ich oczekiwania w kwestii pomocy humanitarnej z propagandą sprowadzającą tę pomoc do „przyjmowania uchodźców" i relokacji migrantów z Włoch i Grecji. Chcieliśmy pokazać ludzi, którzy zamiast iść do Europy – jakby tego chciały niektóre środowiska promigracyjne – wrócili do swych zrujnowanych przez wojnę domów. Uchodźcy powracający do Syrii stanowili jednak zaprzeczenie tezy lansowanej przez środowiska promigracyjne, że w całej Syrii trwa wojna i na miejscu pomagać nie można. Miesiąc wcześniej podobny materiał dla TVP Info realizowałem na terenach rządowych, m.in. w Homs i Aleppo, które mimo częściowego zniszczenia wracają do normalnego życia, a głównym problemem mieszkańców jest odbudowa domów i znalezienie pracy.

Zrujnowane przez wojnę Kobane widziałem w listopadzie 2015 r. Mieszkańcy narzekali wtedy, że nikt im nie pomaga, choć w Europie cały czas mówiło się o „pomocy dla uchodźców z Syrii". Tym razem jednak nie udało mi się dotrzeć do tego miasta, by sprawdzić, czy coś się zmieniło. Dotarła tam, a także do Ar-Rakki, druga ekipa TVP. Mnie i operatora TVP Info Seweryna Sołtysa 16 listopada zatrzymały siły rządowe w miejscowości Al-Kamiszli.

ZATRZYMANIE

Na tereny opanowane przez SDF dziennikarze mogą dotrzeć tylko w jeden sposób – przekraczając nieformalne przejście graniczne w miejscowości Sêmalka. Z jednej strony jest ono kontrolowane przez Kurdów irackich, z drugiej zaś przez Kurdów syryjskich. Chociaż nie jest ono uznawane ani przez Irak, ani przez Syrię, to nie jest to jednak jakiś przemytniczy szlak. Wygląda ono jak normalne przejście o średniej wielkości, a do przekroczenia wymagana

eprasa.pl cd591204ac

jest zgoda obu stron kontrolujących granicę. Tę zgodę, podobnie jak pozwolenie na pracę dziennikarską w północnej Syrii, wydane przez administrację kurdyjską, posiadaliśmy. Problem w tym, że na tym terenie znajdują się dwie niewielkie enklawy kontrolowane przez siły rządowe, które nie uznają pozwoleń wydawanych przez Kurdów. Armia syryjska wprawdzie nie walczy z SDF (nie licząc drobnych incydentów), ale relacje są napięte, a Damaszek nie uznaje politycznych aspiracji syryjskich Kurdów. Władze Syrii nie są też zainteresowane tym, by dziennikarze udawali się w rejony, które nie są przez nie kontrolowane.

Jedna ze stref rządowych znajduje się w Al-Kamiszli, gdzie siły Al-Asada kontrolują kilka dzielnic, bazę wojskową i lotnisko. Zatrzymanie nastąpiło w wyniku nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, był to po prostu „wypadek przy pracy", który nigdy nie przytrafia się tylko tym, którzy nic nie robią. Wyszliśmy zrobić tzw. przebitki w centrum miasta. Niestety, główna ulica Al-Kamiszli przebiega w pobliżu checkpointów rządowych. Gdy asadowscy żołnierze zobaczyli, że coś filmujemy, podbiegli do nas, zabrali operatorowi paszport, wciągając nas w ten sposób do swojej strefy. Tam już czuli się pewnie i szybko trafiliśmy do bazy wywiadu wojskowego.

Pierwsze przesłuchania chwilami były nawet zabawne, bo prowadzący je oficer zmagał się ze swoją słabą znajomością angielskiego i niepewnością, jakie wytyczne co do postępowania z nami otrzyma z centrali w Damaszku. Dlatego raz na nas krzyczał, by po chwili opowiadać, że jest fanem Rousseau i innych oświeceniowych filozofów, których określał mianem „dobrych ludzi". Atmosferę poprawiła też jego deklaracja, że „za dwie–trzy godziny zostaniemy wypuszczeni". Zapowiedzi rychłego zwolnienia towarzyszyły nam potem dość często. Przyzwyczailiśmy się w końcu, że oznaczały one przenoszenie nas do innego więzienia. Tymczasem zabrano nam wszystkie rzeczy i zamknięto nas w podziemnej celi wypełnionej kocami z napisem „UNHCR" (agenda ONZ ds. uchodźców). Wiele nie mieliśmy przy sobie, bo z hotelu wyszliśmy tylko na chwilę.

Bezpiece bardzo zależało na tym, byśmy nie mogli się z nikim skontaktować, m.in. dlatego że prawdopodobnie obawiała się ona w Al-Kamiszli próby odbicia nas przez Kurdów. Seweryn Sołtys przemycił jednak jeden telefon do celi i udało się powiadomić dojeżdżającą do Al-Kamiszli drugą ekipę TVP (o której bezpieka nie miała pojęcia), która z kolei zawiadomiła kurdyjskie siły bezpieczeństwa i polskie MSZ. Kurdowie podobno chcieli dokonać wymiany, ale do niej nie doszło. Z Damaszku przyszły instrukcje, by nas nie bić (o czym dowiedzieliśmy się później, w czasie przesłuchania w centrali Muchabaratu) i jak najszybciej wywieźć do syryjskiej stolicy. 18 listopada około południa wyprowadzono nas z celi i zaprowadzono do salonu, w którym urzędował ktoś wysoko postawiony. Starał się on być bardzo miły i co chwila podkreślał przyjaźń między Polską i Syrią. Dano nam zjadliwe jedzenie, co doprowadziło do przerwania prowadzonej przez nas dwudniowej głodówki. Potem powiedział, że „teraz wrócimy do domu". Ruszyliśmy na lotnisko, gdzie znów zamknięto nas na kilka godzin w jakiejś komórce, po czym w towarzystwie eskortującej nas bezpieki wsiedliśmy do samolotu do Damaszku. Tam busik, wypełniony uzbrojonymi w kałasznikowy żołnierzami, zabrał nas do siedziby syryjskiego Muchabaratu. Już wiedzieliśmy, że ponownie nas okłamano.

Znów zabrano nam wszystko i rozdzielono, wsadzając do osobnych, podziemnych cel. Teraz kontakt ze światem zewnętrznym już się urwał, a my zrezygnowaliśmy z delektowania się więziennymi specjałami: niedogotowanym ziemniakiem, marchewką w łoju i suchym chlebem, wrzucanymi przez otwór znajdujący się w drzwiach jakieś 20 cm nad ziemią.

Następnego dnia wyprowadzono nas z celi, związano z tyłu ręce plastikowymi pętami i zasłonięto oczy specjalną opaską, a następnie poprowadzono na przesłuchanie. Później, w ramach specjalnego traktowania, zdjęto te pęta z tyłu i założono z przodu. Zarzucono nam nielegalne przekroczenie granicy, ale zapewniono, że nie mamy się czym martwić, gdyż następnego dnia staniemy przed sądem, który skaże nas na jeden dzień lub dwa dni więzienia i potem zostaniemy deportowani. Wcześniej, jeszcze w Al-Kamiszli, raz czy dwa razy próbowano nas straszyć zarzutem szpiegostwa, ale w Damaszku bezpiece wystarczyły wyjaśnienia, że filmowanie okolic ich bazy nie było z naszej strony celowe, a nasz projekt w Syrii dotyczy uchodźców i odbudowy kraju. Podkreśliłem też, że nielegalne z ich punktu widzenia przekroczenie granicy wynikało z tego, iż nie mogłem się tam dostać legalnie, a dziennikarz ma prawo dotrzeć wszędzie, więc nie uznaję takich ograniczeń. Przesłuchującym zdecydowanie nie zależało na zastraszeniu nas, wręcz przeciwnie. Nalegali też, byśmy szczerze poinformowali ich, czy ktoś nas uderzył.

W RAJU

Następny dzień zdawał się potwierdzać słowa funkcjonariuszy Muchabaratu, bo przewieziono nas do sądu, ale tuż przed rozprawą okazało się, że nie ma tłumacza. Sąd, podobnie jak wcześniej bezpieka, ignorował nasze domaganie się kontaktu z polskim konsulem, a wszystkie dokumenty i protokoły, które nam dawano do podpisania, były po arabsku. Wiedziałem, że równie dobrze może tam być przyznanie się do szpiegostwa, ale uznałem, iż nie ma to żadnego znaczenia. Następnego dnia sąd poinformował nas, że nie pośle nas do więzienia, tylko pozostaniemy w areszcie, a za dwa dni staniemy przed kolejnym sądem. Jednak wieczorem i tak zabrano nas do więzienia Adra.

Przewiezienie z lochów Muchabaratu do sądu stanowiło dużą odmianę naszej sytuacji, gdyż nagle znaleźliśmy się w sercu Damaszku, w sądzie kryminalnym, tuż pod główną bramą do przepięknej damasceńskiej starówki, którą zwiedzałem pięć lat wcześniej, na samym początku syryjskiej wojny domowej. Na rozprawę czekaliśmy w pomieszczeniu, które w ciągu dnia zapełniało się niemal setką zatrzymanych, a na noc zostawała mniej więcej jedna trzecia. W tym czasie po korytarzach sunęli skuci łańcuchem i ubrani w pasiaki więźniowie przewożeni z Adra na rozprawę. Chociaż nie było tu oskarżonych z paragrafów politycznych, to szybko okazało się, że nic nam ze strony tych ludzi nie grozi. Jednak dopiero więzienie Adra okazało się najciekawszym rozdziałem w tej historii.

Znajdująca się kilkadziesiąt kilometrów na północ od Damaszku Adra ma opinię „raju" i jest zamieszkana przez ok. 15 tys. więźniów, z czego 90 proc. ma zarzut „arhab", czyli terroryzm. Raj ten jest równie względny co znaczenie zarzutu. Osoby te nie są bowiem oskarżone o walkę zbrojną, ale siedzą, bo ktoś doniósł, że coś złego mówili o władzy. Są też tacy, których sytuacja ekonomiczna zmusiła do przewożenia jakichś rzeczy dla różnych walczących stron. Rebelianci siedzą w innym więzieniu, tj. Sednaja. Trafiają tam też dżihadyści i prawdziwi terroryści z Al-Kaidy czy Państwa Islamskiego, jeśli (jak to ujął jeden z więźniów) „mają pecha i nie są zabici na miejscu". W Sednaja i tak niewiele osób ma szanse na przeżycie. Raj w Adra oznacza, że nie ma tu bicia i tortur, a co trzeci więzień

eprasa.pl cd591204ac

ma nawet własną pryczę, za którą oczywiście musi płacić strażnikom. My musieliśmy zadowolić się przestrzenią ok. 2 mkw. (na nas dwóch) na podłodze oraz dwoma kocami, co zdecydowanie nie wystarczyło, by nie marznąć.

Obowiązywały nas te same zasady co innych więźniów, łącznie z rozebraniem się do bielizny na więziennym podwórzu zaraz po przywiezieniu. Zabrano nam spodnie i buty (bo stwierdzono, że są wojskowe) i dano pasiaki. Gdyby nie pomoc współwięźniów, którzy dali nam dres, szczoteczkę do zębów, ręcznik, a nawet bieliznę na zmianę, ciężko nam byłoby przetrwać. Mimo to był to raj. Co tydzień, w sobotę, odbywało się darmowe strzyżenie i golenie, a więźniowie-fryzjerzy udowadniali, że nikt nie jest w tym fachu lepszy od Araba. Potem można było też umyć się w łaźni. Mogliśmy też spacerować po długim korytarzu, który odgrywał również rolę więziennego bazaru. Gdybyśmy mieli pieniądze, to nawet moglibyśmy od czasu do czasu kupić jakieś ciastko, kawę albo kanapkę z kurczakiem. Nie pozwolono nam jednak wymienić dolarów na syryjskie funty, a gdy zdołaliśmy się skontaktować po 12 dniach niewoli z konsulem, nie pozwolono mu przyjechać do Adra i dostarczyć nam czegokolwiek. Dolary, które mieliśmy, były nam zabierane w każdym miejscu, do którego nas przewożono, ale sporządzano skrupulatnie protokół i nic nie zginęło.

W więzieniu było też kilka placów, gdzie zwykle grano w piłkę. Na jednym z nich była nawet mała kawiarnia prowadzona przez więźniów. Od czasu do czasu na tych placach któryś z więźniów nie wytrzymywał presji i popełniał samobójstwo, skacząc ze schodów. Największym problemem zatrzymanych było to, że nie mieli pojęcia, kiedy wyjdą. Nie odsiadywali wyroków, tylko latami czekali na rozprawę. Niektórzy bez wyroku przesiedzieli już ponad pięć lat, jak pewien 25-latek, z którym dzieliliśmy celę. Była ona stosunkowo mała – przebywały w niej 53 osoby przy 24 pryczach. W innych bywała setka więźniów. Rozmowy z więźniami i słuchanie ich historii było niezwykłym doświadczeniem. Gdyby nie nasze aresztowanie, nigdy bym do nich nie dotarł jako dziennikarz.

ZNOWU LOCHY

Pobyt w Adra wydłużył się z zapowiedzianych dwóch dni do 13, przy czym przez ostatni tydzień byliśmy w końcu w kontakcie z konsulem. Wreszcie oznajmiono nam, że nadano prawomocny nakaz zwolnienia, i rzeczywiście wyszliśmy. Tyle że bardzo szybko zatęskniliśmy za Adra, bo zamiast deportacji czekały nas znane już nam lochy Muchabaratu. Zaczął się najcięższy okres, choć dowódca aresztu stwierdził na powitanie, że jesteśmy tu „gośćmi", a nie aresztowanymi przestępcami. Jako goście przez następne dwa tygodnie nie ujrzeliśmy światła słonecznego. Całą dobę świeciło nam w oczy silne sztuczne światło, co z prób zaśnięcia czyniło wielką bitwę z własnym organizmem. Najgorsze jednak było to, że nie mieliśmy, poza myśleniem, nic do roboty. Byliśmy również odcięci od informacji, nikt nas nie przesłuchiwał i cała sytuacja była dla nas całkowicie niezrozumiała. Tak minęło kolejnych 18 dni. Dopiero dwa dni przed zwolnieniem pozwolono nam na 15-minutowy spacer.

Żyliśmy nadzieją, że przed świętami zostaniemy wypuszczeni. Al-Asad w końcu liczy się z Kościołem, a nam nie stawiano nowych zarzutów. Jednak gdy w przedświąteczny czwartek nic się nie wydarzyło, nabraliśmy przekonania, że będziemy tam gnić wiele tygodni, a może miesięcy. Piątek i sobota to bowiem dni wolne od pracy w Syrii, a w niedzielę była już Wigilia. Stało się jednak inaczej, co jest dużą zasługą polskiego ambasadora w Syrii Krzysztofa Czapli, jak również ambasadora Iraku w Polsce Asaada Abo Gulala. Szczegóły tych działań muszą jednak pozostać niejawne. Nie jest natomiast prawdą, że MSZ płaciło za nas jakiś okup. Konsul zapłacił grzywnę nałożoną na nas w wysokości 230 dol. i pieniądze te zostały zwrócone w ambasadzie w Bejrucie.

Wypadki przy pracy się zdarzają i nie mogą być powodem rezygnacji z zawodu, w którego sens się wierzy. Dlatego do Syrii wrócę, i to niebawem. Według zapewnień syryjskiego MSZ i Muchabaratu nie mam zresztą wydanego zakazu wjazdu. Materiały, które mieliśmy zrealizować, też powstaną, bo wszystkie nasze rzeczy, w tym kamery, TVP ewakuowała do Polski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Witold Repetowicz: Jak pomóc Syrii

W Syrii jest ok. 13 mln osób potrzebujących pomocy humanitarnej, połowa z nich to tzw. uchodźcy wewnętrzni, czyli osoby, które straciły swoje domy, ale nie opuściły kraju. Syryjczyków, którzy wyjechali ze swej ojczyzny, głównie do Libanu, Jordanii i Turcji, jest ok. 5 mln. Do Europy przyjechało kilkaset tysięcy, przy czym w większości nie były to osoby najbardziej potrzebujące, bo tych po prostu nie stać na taki wyjazd. Tymczasem przedstawiciele organizacji humanitarnych zgodnie przyznają, że środki przeznaczane na tych, którzy przybywają do Europy, mogłyby wystarczyć kilkukrotnie lub nawet kilkunastokrotnie większej liczbie potrzebujących na miejscu. A pieniędzy po prostu brakuje. Zatem kosztem przyjmowania tych osób w Europie jest pozbawianie podstawowej pomocy milionów potrzebujących na miejscu.

Wojna od dawna nie toczy się już w całej Syrii, więc problemem wielu mieszkańców tego kraju nie są spadające bomby, lecz to, że nie mają za co odbudować swoich mieszkań. Brakuje pracy, bo gospodarka została zrujnowana. Koszty odbudowy i miniprojektów tworzących miejsca pracy są znacznie niższe niż te, które przeznacza się na migrantów w Europie. Syria potrzebuje też inżynierów i lekarzy, których takie kraje jak Niemcy chętnie ściągają do siebie, nazywając to pomocą. Kosztem tej „pomocy" jest śmierć lub kalectwo pacjentów, którzy zostali.

Wielu Syryjczyków nie chce wyjeżdżać z kraju, kilkaset tysięcy wróciło do swojej ojczyzny. Wróciłoby znacznie więcej, gdyby społeczność międzynarodowa skoncentrowała się na odbudowie i pomocy na miejscu, a nie na relokacjach.

Publicysta „Do Rzeczy" Witold Repetowicz jest autorem licznych reportaży z krajów objętych konfliktami zbrojnymi oraz szczególnie zagrożonych terroryzmem. Jego artykuły dotyczyły m.in. Somalii, Afganistanu czy też Afryki Północnej. Miesiąc po zajęciu przez Państwo Islamskie Mosulu pojechał do Iraku, gdzie jako pierwszy polski dziennikarz dostał się na front sił zwalczających tę organizację. Był również pierwszym polskim dziennikarzem, który wjechał na tereny opanowane przez syryjskich Kurdów w północnej Syrii. Tam również obserwował walki z Państwem Islamskim. W 2017 r. ambasada Iraku w Polsce wręczyła mu nagrodę za „odwagę w pracy dziennikarskiej", w związku z jego relacjami z walk sił irackich z Państwem Islamskim w Mosulu i prowincji Niniwa. Jest autorem książki „Nazywam się Kurdystan".

eprasa.pl cd591204ac

FOT. FOTOLIA

DLACZEGO MĘŻCZYZNA MUSI MIEĆ BRODĘ

Do tej pory można było podśmiewać się z hipsterów, którym wmówiono, że są drwalami (byle płacili za kosmetyki i zabiegi) i którzy w związku z tym zaczęli masowo zapuszczać brody. Okazuje się, że są naprawdę bardziej męscy niż ci, którzy używają żyletek. Przynajmniej w oczach pewnego imama z Turcji. Murat Bayaral stwierdził bowiem, że gładko ogolona twarz mężczyzny może zmylić innych mężczyzn i ci mogą go wziąć za kobietę, dopuścić do siebie grzeszne myśli i niechcący stać się gejami. Warto zapamiętać – broda chroni przed homoseksualizmem. Nie wiadomo tylko, co imam sądzi na temat Conchity Wurst.

UCHODŹCY NIEMILE WIDZIANI

Niemcy, którzy szeroko rozłożyli ramiona, zapraszając uchodźców, zaczynają się do nich odwracać inną częścią ciała. Szef parlamentarnej grupy CSU, współrządzącej nad Odrą, zaproponował, by uchodźców przymusowo badać w celu określenia ich wieku. Tak, tak – te biedne kobiety i ich dzieci! W dodatku nieczuli na ludzką krzywdę politycy CSU chcą również wydłużyć okres, po którym imigranci dostają świadczenia socjalne w normalnej wysokości. Do tej pory dostawali niższe przez 15 miesięcy od przybycia, a teraz mają tak biednie żyć przez trzy lata. To oczywisty skandal i rozbój – i miejmy nadzieję, że zajmie się tym jak najszybciej co najmniej Komisja Europejska.

NEUTRALNE DZIECIĄTKO JEZUS

Szwedzcy duchowni nie przestają zadziwiać. Całkiem niedawno stwierdzili, że przestaną nazywać Boga Panem, bo to za bardzo określa płeć. A w te święta lokalny kościół w Västerås w postępowy sposób zaprosił wiernych na uroczystości związane z Bożym Narodzeniem. W lokalnej gazecie duchowni napisali o dzieciątku Jezus, używając rodzaju nijakiego – tłumaczyli, że nie chcieli „od razu decydować o płci małego dziecka".

JAJA Z PISANKAMI

Brytyjski tabloid „The Mirror" doniósł, że na Wyspach w sklepach pojawił się już asortyment na Święta Wielkanocne. Są króliczki i jajeczka. Klienci trochę oburzeni, ale m.in. Tesco tłumaczy, że wykładając wielkanocny towar trzy miesiące przed świętami, pozwala klientom rozłożyć koszty przygotowania do nich.

BO SIĘ SPIESZYŁ...

Wśród zaskakujących informacji ze świata znalazła się i taka z polskim akcentem. Chodzi o nietypową sytuację, do której doszło na lotnisku w Maladze. Samolot linii Ryanair wylądował tam z godzinnym opóźnieniem, a załoga jeszcze przez 30 minut nie pozwalała pasażerom opuścić maszyny. Najbardziej niecierpliwy okazał się 57-letni Polak, który wziął swoje tobołki, otworzył wyjście awaryjne i pomaszerował po skrzydle. Załodze udało się go wciągnąć do środka. ©℗

Łukasz Zboralski

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Brutus i Wielka Nierządnica

Nic nie łączy lepiej współczesnych Włoch ze starożytnym Rzymem od czarnej legendy Brutusa. Włosi pójdą 4 marca do wyborów, zatykając nos, bo polityka cuchnie zdradą.

Silvio Berlusconi wydobył z politycznego niebytu postfaszystę Gianfranco Finiego, wpuścił go na polityczne salony, uczynił wicepremierem, a pupil go zdradził. Potem Berlusconi namaścił sycylijskiego adwokacinę Angelino Alfano swoim następcą. Gdy przyszło wybierać między lojalnością a ministerialnym stołkiem, Sycylijczyk wybrał stołek.

Matteo Renzi 17 stycznia 2014 r. zapewniał swego partyjnego kolegę, wówczas premiera, Enrico Lettę: „Enrico, bądź spokojny". Miesiąc później wbił mu nóż w plecy i przejął władzę.

Rak zdrady strawił najpierw włoskie polityczne elity, a potem parlament, przezwany dlatego przez Włochów Wielką Nierządnicą Babilonu. Gdy prezydent Sergio Mattarella tuż po świętach rozwiązał to panopticum, otwierając drogę marcowym wyborom, wyliczono, że podczas pięcioletniej kadencji spośród 995 wybrańców narodu aż 339 (36 proc.) zmieniło barwy partyjne. Aktów zdrady było więcej – 528 – bo wielu prostytuowało się kilkakrotnie, a rekordzista aż dziewięć razy.

Na dobrą sprawę parlament powinien zostać rozwiązany, gdy upadł rząd Letty, bo wskutek transferów przestał reprezentować wyborców. Jednak już wówczas ktoś prorokował, że nie stanie się to przed 15 września 2017 r. Dlaczego? Bo tego dnia wybrani po raz pierwszy parlamentarzyści (ponad połowa) nabierali praw emerytalnych. „Przecież nie idzie się do parlamentu po to, żeby nic z tego nie mieć" – tłumaczył mi mój fryzjer. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl cd591204ac

Srogie kary za „mowę nienawiści”

FOT. FOTOLIA

Jacek Przybylski

Nawet 50 mln euro kary mogą zapłacić Facebook, Twitter, YouTube oraz inne serwisy społecznościowe za brak szybkiej reakcji na treści uznane za hejterskie

Co, do diabła, dzieje się w tym kraju? Dlaczego na oficjalnej stronie policji NRW [Nadrenii Północnej-Westfalii – przyp. red.] pojawia się tweet po arabsku? Czy uważacie, że w ten sposób da się ułagodzić barbarzyńskie, muzułmańskie, dokonujące grupowych gwałtów hordy mężczyzn?” – taki wpis zamieściła na Twitterze działaczka Alternatywy dla Niemiec (AfD) Beatrix von Storch. Administratorzy Twittera szybko go jednak usunęli, uznając jej słowa za mowę nienawiści. Twitter na 12 godzin zablokował również konto działaczki AfD. Gdy w innych mediach społecznościowych Beatrix von Storch poskarżyła się na cenzurę, zamieszczając zrzut ekranu, na pewien czas straciła też dostęp do swojej strony na Facebooku. „To koniec państwa konstytucyjnego” – napisała w kolejnym wpisie, gdy Twitter odblokował jej już konto. Stanowisko von Storch poparła liderka AfD Alice Weidel. Inni członkowie AfD, którzy publikowali podobnej treści wpisy, również spotkali się z ocenzurowaniem wypowiedzi i blokadą kont.

Tak szybka reakcja administratorów mediów społecznościowych wynika z wejścia w życie nowego prawa nazwanego w skrócie NetzDG. Zgodnie z nowymi przepisami jeśli portale społecznościowe nie usuną szybko postów zawierających mowę nienawiści lub oszczerstwa, to grozić im może kara wynosząca nawet 50 mln euro (równowartość 208 mln zł).

Czas na reakcję zależy od wielkości serwisu i specyfiki treści. Największe portale na usunięcie najbardziej radykalnych treści wskazanych przez innych użytkowników mają maksymalnie 24 godziny. W przypadkach, które są bardziej skomplikowane, czas na reakcję wynosi tydzień.

Krytycy nowego prawa zwracają uwagę na ryzyko prewencyjnego cenzurowania treści przez największe portale internetowe. Politycy AfD wprost nazywają więc przepisy NetzDG „prawem cenzorskim”. Zastrzeżenia wobec nowych regulacji zgłaszają także internetowi aktywiści oraz organizacje dziennikarskie (m.in. Reporterzy bez Granic). Główny zarzut jest prosty: niemiecki rząd sprawił, że decyzję o tym, co może się publicznie ukazać, a co nie, podejmują już nie sądy, a administratorzy serwisów społecznościowych. To zaś może prowadzić do ograniczenia wolności słowa. Już w pierwszych dniach dochodziło do poważnych pomyłek. Dla przykładu Mike Samuel Delberg, przedstawiciel organizacji żydowskiej w Niemczech, stracił dostęp do konta na Facebooku, gdy zamieścił filmik ukazujący antysemickie ataki na berlińskiego restauratora.

Pytanie, czy jeśli obawy krytyków nowego prawa się potwierdzą, Komisja Europejska uruchomi procedurę monitorowania praworządności w Niemczech. I czy w razie potrzeby aktywiści w Berlinie będą mogli zaalarmować w Internecie opinię publiczną. ©℗

eprasa.pl cd591204ac

Jak oddłużyć Polskę?

Stefan Sękowski

Nie da się szybko zlikwidować długu publicznego, ale próbować trzeba

Dług publiczny Polski wynosi według „zegara długu publicznego" Forum Obywatelskiego Rozwoju już 1,03 bln zł (nie licząc tzw. długu ukrytego). To ponad 27 tys. zł na mieszkańca. Rośnie z każdą sekundą. I ten rok zamkniemy z deficytem budżetowym, który wyniesie wedle zapowiedzi ok. 30 mld zł, a deficyt całych finansów publicznych – ponad 51 mld zł. Także na przyszły rok mamy zaplanowany minus w budżecie – 41,5 mld wedle projektu. I te pieniądze także trzeba dodać do całego długu, plus oczywiście odsetki.

NIE WYDAWAĆ WIĘCEJ

Skutki nadmiernego zadłużenia mogą być opłakane. Wysoki dług rozumiany przez wierzycieli jako ryzykowny do spłacenia w przyszłości oznacza wyższe oprocentowanie. Nawet jeśli nie będziemy doktrynalnymi zwolennikami zbilansowanego budżetu oraz długu publicznego, to i tak im wyższy jest dług, tym trudniej zaciągnąć… nowy.

Polskę należałoby więc oddłużyć. To truizm. Pytanie tylko: Jak to zrobić? Poszukajmy odpowiedzi na to pytanie, nie licząc się przy tym z kosztami politycznymi, tylko ekonomicznymi i społecznymi, wskazując raczej maksymalistyczną drogę, w której jest zawsze jakieś pole manewru.

Oddłużać się można na kilka sposobów. Przykładowo udając, że długu nie ma, i go nie spłacając. Takie podejście długofalowo nic nie naprawia, a wiele niszczy – zwłaszcza relacje z potencjalnymi wierzycielami, z których w przyszłości nie będziemy chcieli przecież rezygnować. Nie jesteśmy też w na tyle złej sytuacji, by brać ich na litość i wołać o umorzenie długu. Chociaż można go w różny sposób zmieniać, np. wykupując przedterminowo wysoko oprocentowane obligacje skarbowe od wierzycieli i wypuszczając nowe, oprocentowane niżej. Trzeba przyznać, że rządowi Beaty Szydło się to udawało i premier Morawiecki w swoim exposé obiecał wykup kolejnych obligacji. Jednak dzięki temu można zaoszczędzić najwyżej kilkadziesiąt milionów złotych rocznie, co jest kroplą w morzu potrzeb, jeśli chodzi o oddłużanie.

Pozostają dwie inne drogi. Tak się składa, że obecnie jesteśmy w świetnym momencie, by na nie wejść – kuracja byłaby z ekonomicznego punktu widzenia łatwiejsza do przeprowadzenia. Nasza gospodarka jest właśnie na fali wznoszącej. Gdy bowiem mamy do czynienia z recesją i wpadamy w kryzys zadłużeniowy, konieczna jest – przynajmniej jako część programu naprawczego – szybka kuracja odchudzająca. W sytuacji prosperity na korzyść działają wyższe wpływy do budżetu, wynikające ze wzrostu gospodarczego – im więcej bowiem ludzie zarabiają, tym wyższe płacą podatki. A to oznacza, że przynajmiej nie trzeba zaciągać nowych długów na pokrycie starych zobowiązań. Tak robią właśnie Niemcy. Od 2014 r. cieszą się nadwyżką finansów publicznych. Osiągnęli to dzięki temu, że w dobie prosperity nie zwiększali znacząco wydatków, mimo że było na co przeznaczać pieniądze (zawsze zresztą jest na co). Kolejne debaty budżetowe obfitowały w koncert życzeń: że trzeba naprawiać stare mosty, że brakuje pieniędzy na infrastrukturę internetową, policję czy pomoc uchodźcom. Ówczesny chadecki minister finansów Wolfgang Schäuble był jednak twardy: nawet w roku wyborczym nie ugiął się przed kolejnymi drogimi pomysłami, z tymi pochodzącymi od socjaldemokratycznego koalicjanta. W efekcie rok 2017 Niemcy zamkną kolejny raz z nadwyżką, która wyniesie, według prognoz, 14 mld euro.

CIĄĆ – TYLKO GDZIE?

Skutki są bardzo pozytywne. W ciągu ostatnich siedmiu lat niemiecki dług publiczny zmalał z 81 proc. do 66 proc. PKB. Tutaj nie ma mowy o efekcie statystycznym. W Niemczech mało kto podnosi argument, że brak otwartości na nowe wydatki wpłynął na słaby wynik chadecji w ostatnich wyborach. Ten przykład nam mówi, że i my moglibyśmy dać sobie spokój z nowymi wydatkami. Jako nowy wydatek („500+" jest już „stary") można potraktować cofnięcie podwyższenia wieku emerytalnego, który dopiero w 2018 r. pokaże swoją wydatkową moc. Premier Morawiecki doskonale zdaje sobie sprawę z tego, jak kosztowne jest obniżenie wieku emerytalnego, co można wyczytać nie tylko między wierszami jego Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju.

Pomysły na nowe wydatki, których można by nie ponosić, można mnożyć w nieskończoność, więc nie będę tego robił; jeszcze ktoś się zainspiruje. Grunt, żeby ministrów przychodzących „po prośbie" premier odprawiał z kwitkiem. A i ze swoich obietnic, przedstawionych podczas exposé, może się wycofać. Brak jednak produkcji nowych wydatków nie wystarczy, trzeba jeszcze zmniejszyć stare. To jednak wcale nie jest takie proste. Założenie, że tanie państwo zawsze znaczy dobre państwo, jest fałszywe, a to dlatego, że gdy coś jest tanie, to rzadko jest solidne. Ani „cięć w administracji", ani obniżek czy zamrażania płac w budżetówce nie można traktować jako zasady, bo pierwsze bez deregulacji skutkować mogą gorszą obsługą obywatela, a drugie selekcją negatywną pracowników, których także w szkołach, urzędach czy państwowych szpitalach potrzebujemy na poziomie. Pomoc społeczna to także nie jest naczynie, przy którym łatwo zakręcić kurek (nie tylko z przyczyn politycznych). Poza wybranymi kategoriami, takimi jak „500+", większość świadczeń i tak jest na bardzo niskim poziomie (włącznie z zasiłkiem dla bezrobotnych) i tu nie ma gdzie ciąć. Chyba że przy samym „500+", które można dostosować do realnych potrzeb Polaków, wprowadzając np. kryterium dochodowe. To, co można tu zrobić, to „uszczelnienie" systemu, np. poprzez lepszą wymianę informacji między różnymi świadczeniodawcami, po to, by uniemożli-

eprasa.pl cd591204ac

wić nieuczciwe korzystanie ze świadczeń, których kumulacja się nie należy.

W takim razie gdzie ciąć? Najlepiej tam, gdzie wydatki wiążą się np. z dodatkowymi przywilejami. Taką kategorią są np. przywileje emerytalne. Sędziowie, prokuratorzy, górnicy, wojskowi, policjanci, celnicy czy rolnicy, o których będę pisał, korzystają a to z możliwości wcześniejszego przejścia na emeryturę, a to ze specjalnych dotacji podnoszących ich świadczenia bez związku z odprowadzanymi składkami. Łącznie kosztuje nas to ok. 30 mld zł rocznie – nawet jeśli część z nich pokrywa ZUS, wymaga on przez to dotowania z budżetu. Ścięcie ich wszystkich (oczywiście niemożliwe od razu, ale ograniczone i likwidacja dla nowych pracowników, przy ewentualnej rekompensacie utraconych „praw" w wyższej pensji) mogła by nas zbliżyć do granicy zadłużenia.

Warto się także zastanowić nad skreśleniem lub przynajmniej ograniczeniem wydatków na rzekome obowiązki państwa, które mogą ponieść spokojnie także rynek lub społeczeństwo. Czy naprawdę musimy wydawać pieniądze na zawodowy sport wyczynowy, który ma coraz mniej wspólnego ze zdrowiem, a coraz więcej z płatnym widowiskiem? Albo na kinematografię, wypuszczającą obok dobrych filmów także takie wynikające z dobrej woli gnioty jak „1920. Bitwa Warszawska"? Warto się nad tym zastanowić.

NOWE PODATKI?

Radzenie, by w ramach oddłużania nie tylko oszczędzać, lecz także podwyższyć stare bądź wprowadzić nowe daniny, może skończyć się tym, że pierwsze jak zwykle będzie leżeć odłogiem, drugie zaś zostanie zrealizowane w całej rozciągłości. A jednak, zaryzykuję, ponieważ i tu można znaleźć nowe źródła finansowania, nieskutkujące wylaniem dziecka z kąpielą.

Chodzi bowiem o podatki i składki, przez które jedni korzystają z przywilejów i płacą mniej, przez co inni muszą płacić więcej, a wszyscy się zadłużać. Z danych Ministerstwa Finansów wynika, że preferencje podatkowe w Polsce wynoszą prawie 90 mld zł, nie licząc tych, które osiągają rolnicy. Jedną z takich grup zawodowych są twórcy (w tym dziennikarze), którzy korzystają z 50-procentowego kosztu uzyskania przychodów. To jednak i tak nic w porównaniu z rolnikami właśnie, zresztą kuriozalnie traktowanymi. Z jednej strony ich działalność jest objęta potężnymi i często utrudniającymi rozwój regulacjami, z drugiej korzystają oni z wielu przywilejów. Rolnicy – z grubsza rzecz biorąc – nie płacą podatku dochodowego, tylko rolny, a ich składki na ubezpieczenie społeczne są bardzo niskie. W efekcie nie wkładają tyle do wspólnej kiesy, ile pozostali obywatele, a na ich emerytury (zgoda, że dość niskie) zrzucamy się my wszyscy. Nie dzieje się to bez przyczyny – ludzie w ten sposób sztucznie zatrzymywani na roli nie zasilają szeregów potencjalnych pracowników (a i potencjalnych bezrobotnych), przez co w trudnych okresach zamieciono pod dywan niejeden kryzys społeczny. Z tym, że obecnie akurat… nie mamy problemu z nadmiernym bezrobociem. Objęcie rolników podatkami i składkami analogicznymi do innych grup zawodowych pomogłoby zasypać luki w budżecie, jednocześnie czyniąc ich sytuację zawodową mniej sztuczną. Musiałoby się to odbywać stopniowo i w połączeniu z większym przystosowaniem rolników do potencjalnej pracy w alternatywnych zawodach.

Innym rozwiązaniem byłoby uszczelnienie systemu emerytalnego. Nie tak, jak to się dzieje dziś, czyli przez oskładkowanie kolejnych rodzajów umów, ale przez stworzenie czegoś w rodzaju jednolitego kontraktu (myślały o tym i PO, i PiS, ale na myśleniu się skończyło), w którym wszystkie rodzaje prac byłyby oskładkowane w ten sam sposób. Nie powinno się to odbywać na zasadzie podnoszenia wszystkim składek do poziomu najwyższego z obowiązujących: powinny one spotkać się gdzieś pomiędzy po to, by uniemożliwić uciekanie spod reżimu składkowego, ale jednocześnie by nie miało to tak dużego ekonomicznie sensu jak obecnie (alternatywą jest zawsze szara strefa). Inną możliwością jest większe opodatkowanie kapitału. Niedawno postulował to Andrzej Mikosz w raporcie podatkowym „Bogacić się łatwiej i sprawiedliwiej" dla „Nowej Konfederacji", postulując wprowadzenie podatku katastralnego (przy jednoczesnym obniżeniu innych danin), ulepszonego podatku od sklepów wielkopowierzchniowych i bankowego. Diabeł oczywiście tkwi w szczegółach, niemniej faktem jest, że obecnie kapitał jest uprzywilejowany wobec pracy, jeśli chodzi o opodatkowanie. Podobnie zresztą twierdzi Robert Gwiazdowski, trudno więc to założenie uznać za rodzaj lewicowego dogmatyzmu. Uszczelnienie systemu byłoby także łatwiejsze dzięki ujednoliceniu stawek podatku VAT, przez co zamknęlibyśmy możliwość wielu nieczystych zagrań podatkowych.

Oddłużanie kraju to bardzo trudne zadanie. Wymaga działania na wielu obszarach przy jednoczesnym pamiętaniu, że mamy do czynienia z żywymi ludźmi, którzy na nasze zabawy suwakami mogą odpowiadać różnymi zachowaniami na rynku. Nie da się go też zrealizować w pełni w ciągu wielu lat, cudów więc nie oczekujmy. Jednak… próbować trzeba, tego wymaga dalekosiężne myślenie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora thinkzine'u „Nowa Konfederacja".

FOT. FOTOLIA

Tomasz Cukiernik

Unijne dotacje nie opłacają się tak, jak się powszechnie uważa. Zwłaszcza gdy fundujemy sobie za nie drogie w utrzymaniu błyskotki

Czy stać nas na dotacje UE?

W przypadku Polski dofinansowanie ze środków europejskich wynosi maksymalnie 85 proc. (80 proc. dla woj. mazowieckiego). Jednak w różnych konkursach może być ustalony niższy poziom dofinansowania. W projektach realizowanych przez przedsiębiorców unijne współfinansowanie jest zwykle jeszcze niższe i wynosi ok. 50 proc. W wielu inwestycjach firm prywatnych dotacje unijne są tak małe, że niemal niezauważalne. Na przykład na projekt pn. „Zautomatyzowana wymiana informacji pomiędzy operatorami telekomunikacyjnymi" krakowska spółka Comarch otrzymała dofinansowanie z UE na poziomie 0,62 proc., a firma Harpo z Poznania na system wspomagania nauki czytania i pisania pismem Braille'a uzyskała 2 proc. wartości projektu. Krzysztof Rutkiewicz w opracowaniu „Znaczenie Funduszy Europejskich dla rozwoju gospodarczego Polski" wyliczył, że w latach 2004–2007 w projektach wspierających konkurencyjność przedsiębiorstw udział dofinansowania unijnego w ogólnej wartości projektów wyniósł 30,2 proc.

KOSZTY, KOSZTY, KOSZTY...

Z informacji Ministerstwa Finansów wynika, że współfinansowanie strony polskiej (z budżetu i wkład własny) w latach 2004–2017 w funduszach strukturalnych przekroczyło 40 proc. W rzeczywistości unijne współfinansowanie jest jeszcze niższe. – Jeżeli buduje się halę widowiskową (procent unijnego finansowania może być różny – 70, 50 czy 30 proc.), to trzeba pamiętać, że każda inwestycja wymaga oprzyrządowania – do tej hali trzeba wybudować drogi, parkingi, kupić elementy wyposażenia. To najczęściej nie jest finansowane przez UE – mówi Mirosław Legutko, ekspert w zakresie finansów publicznych, członek Kolegium Regionalnej Izby Obrachunkowej w Krakowie, wybrany przez Kolegium Izby na kandydata na prezesa RIO w Krakowie.

Do tego dochodzi konieczność brania kredytów na inwestycje (koszty odsetek od kredytu nie są kosztami kwalifikowalnymi w unijnych projektach). Na przykład w latach 2004–2017 w związku z realizacją projektów unijnych Zabrze zaciągnęło zobowiązania dłużne na kwotę ponad 123 mln zł, Lublin – 358 mln zł, a Szczecin – ponad 442 mln zł. – Unia, żeby dać środki, każe się finansować kredytem. Wychodzą z założenia, że skoro ma się własne pieniądze, to nie przychodzi się po dotacje – wyjaśnia Legutko. – Jak się jeszcze źle weźmie kredyt, to się może okazać, że to jest „skórka za wyprawkę" – zauważa. Kredyty mogą stać się poważnym problemem. – Jeśli kredyty spłaca się kredytami, to te kolejne kredyty też są zaciągane na tę inwestycję, która była 15 lat wcześniej. Czyli w kółko spłaca się kredyt kredytem i tak naprawdę nigdy się go nie spłaca. I te odsetki przez te wszystkie lata powinny być naliczane do kosztów tej inwestycji – mówi Legutko.

Efektem jest rosnące lawinowo zadłużenie samorządów. Na przykład w latach 2003–2015 dług Płocka zwiększył się pięciokrotnie, zadłużenie Lublina w latach 2003–2017 powiększyło się dziewięć razy, a dług Bytomia od 2013 do 2016 r. wzrósł aż 13 razy. – Ustawa o finansach publicznych nie ogranicza możliwości odraczania spłaty kredytu i od tego momentu, jak się pojawiły dotacje, zaczęła się moda na kredyty i pożyczki z odroczonym terminem spłaty. Czyli odsuwa się terminy spłaty na przyszłość. Znam przypadek, że są odsunięte na tyle lat do przodu, żeby wójt zdążył pójść na emeryturę. Czyli po nas choćby potop – stwierdza Legutko. Zadłużenie Lublina, które narosło przez unijne dotacje, ma zostać spłacone dopiero w 2038 r., a Torunia – w 2042 r. Co więcej, przy inwestycjach pojawiały się też parabanki. – Tam koszty pozyskiwania pożyczek są tak

eprasa.pl cd591204ac

gigantyczne, że mogą zjeść całą korzyść z pozyskiwania środków unijnych – uważa Legutko.

Jednak to nie wszystkie koszty. Władze miast zwykle nie liczą kosztów związanych z pisaniem wniosków o dotacje. Zbigniew Szaleniec, burmistrz Czeladzi (woj. śląskie), stwierdził, że „mocno trzeba się napracować i przekonać komisję przyznającą środki", a mimo to urzędnicy przyznają, iż „nie da się oszacować kosztów pracy tych osób [urzędników – przyp. T.C.] pod kątem pozyskiwania funduszy unijnych". Niektóre miasta mają wyspecjalizowane komórki do pozyskiwania unijnego finansowania, np. w Krakowie działa Biuro Funduszy Europejskich, którego koszty funkcjonowania w latach 2007–2017 (31 października) wyniosły ponad 13 mln zł, ale w procesie aplikowania o środki zagraniczne uczestniczą także pracownicy innych komórek oraz miejskich jednostek organizacyjnych. Często posiłkują się też firmami zewnętrznymi, które liczą sobie za usługę ok. 5–10 proc. wartości pozyskanych pieniędzy. Na przykład Płock poza tym, że ma urzędników od dotacji, w latach 2004–2017 za pisanie wniosków o dotacje z UE zapłacił firmom zewnętrznym 664 tys. zł, a Szczecin – ponad 3,5 mln zł.

Pod uwagę wziąć należy także koszty przygotowania wniosków, które zostały odrzucone i nie dostały unijnego finansowania. Jaka jest skala tego zjawiska? – W przypadku najlepszych organizacji [piszących wnioski o dotacje – przyp. T.C.] na 10 wniosków przechodzi kilka i jest to bliżej 2 czy 3 niż 9. A są organizacje, które kilka razy startowały w konkursach i nic nie dostały – mówi Tadeusz Durczok, prezes Stowarzyszenia Współpracy Regionalnej z Katowic i ekspert Ministerstwa Rozwoju. W skrajnych przypadkach wniosków na konkurs może być kilkaset, a dofinansowanie otrzyma tylko kilka.

Na koniec dochodzą koszty utrzymania. – Jeżeli gmina realizuje duże przedsięwzięcie inwestycyjne, to musi to pociągnąć za sobą wzrost wydatków bieżących. Za chwilę będzie utrzymywała bowiem nowy obiekt – remonty, utrzymanie ludzi, energia itd. W przypadku mostu są to koszty dopiero przyszłego remontu, ale w przypadku hali sportowej czy basenu – koszty utrzymania występują od razu. Tymczasem w wieloletnich prognozach finansowych czaruje się rzeczywistość, bo widzimy, że nie ma zaplanowanych tych gwałtownych skoków wydatków bieżących. A jeśli rosną wydatki bieżące, to zdolność kredytowa na przyszłość się pogarsza – opisuje Legutko. Na przykład wydatki poniesione na działalność Międzynarodowego Centrum Kongresowego w Katowicach w 2016 r. wyniosły ponad 3,8 mln zł, dofinansowanie utrzymania i realizacja powierzonych zadań Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach w 2016 r. kosztowało 4,2 mln zł, a dofinansowanie utrzymania i realizacja zadań Muzeum Historii Katowic wyniosły ponad 4,4 mln zł. Zygmunt Frankiewicz, prezydent Gliwic, prezes Związku Miast Polskich, nazywa takie inwestycje skarbonkami, bo „po wsze czasy będą obciążeniem dla budżetu".

URZĘDOMATY BUDUJĄ DOBROBYT?

Gdyby jeszcze te inwestycje miały sens i były potrzebne. Może tak jest w przypadku infrastruktury drogowej czy wodociągowej. Jednak czy rzeczywiście dobrze wydane są pieniądze np. na nieskuteczne kursy dla bezrobotnych czy infokioski? Na przykład w Katowicach postawiono pięć urzędomatów z funkcją przyjmowania dokumentów papierowych o wartości niemal 200 tys. zł. Liczba złożonych w nich dokumentów w postaci papierowej sięgała… kilku rocznie! Dopiero wejście w życie programu „500+" spowodowało, że składano więcej takich dokumentów, choć nadal liczby nie są oszałamiające – 39 wniosków w ciągu siedmiu miesięcy. Nie lepiej jest przy inwestycjach w odnawialne źródła energii. Elektrownie wiatrowe czy fotowoltaiczne bez wsparcia podatników w ogóle nie miałyby miejsca bytu, bo produkują zbyt drogą energię w relacji do węglowej czy atomowej alternatywy. Według szacunków Agencji Rynku Energii – pomimo tych dotacji – w 2016 r. w Polsce 70 proc. farm wiatrowych przyniosło straty, łącznie w wysokości ok. 3 mld zł. Podobnie straty przynosi spółka zarządzająca dużą farmą fotowoltaiczną w Wierzchosławicach (woj. małopolskie). Efektem inwestycji jest rosnące zadłużenie spółki (ponad 3 mln zł) i poważny problem dla gminy.

Wydawałoby się, że inwestycje w infrastrukturę transportową z udziałem unijnych pieniędzy są bezdyskusyjne. Czy rzeczywiście? Za 1,75 mld zł wybudowano gigantyczny dworzec kolejowy Łódź Fabryczna. Jednak pasażerowie oburzają się, bo stoi niemal pusty. – Nowoczesny dworzec stanie się częścią multimodalnego węzła komunikacyjnego, który w centrum miasta połączy kolej aglomeracyjną i komunikację miejską, dalekobieżną oraz prywatny transport samochodowy. Inwestycja w pełni pokaże swoje możliwości po wybudowaniu tunelu średnicowego w Łodzi do 2022 r. – przyznaje Magdalena Janus z zespołu prasowego PKP PLK.

Co więcej, inwestycje współfinansowane przez UE są bardzo drogie i dochodzi do marnotrawstwa pieniędzy. Niektóre drogi wybudowano za niemożebnie wielkie pieniądze, a z raportu NIK wynika, że w ramach Programu Budowy Dróg Krajowych na lata 2011–2015 do końca 2014 r. wydano 172 mln zł na przygotowanie 41 zadań inwestycyjnych, dla których… nie przewidziano terminów dalszej realizacji. Z kolei wspomnianą farmę w Wierzchosławicach według doniesień prasowych można było zbudować o 10 proc. taniej. Finansową studnią bez dna okazał się też remont fortu Łapianka w Krakowie. A pamiętajmy, że około jednej trzeciej unijnych funduszy dla Polski stanowią pieniądze polskich podatników (unijna składka)!

Czy dotacje unijne budują nam dobrobyt? Według opracowania Forum Obywatelskiego Rozwoju oddziaływanie polityki spójności na tempo wzrostu PKB nie różni się istotnie od zera. – Lata temu czytałem opis hiszpańskiej analizy, która wskazywała, że udział tzw. środków unijnych w modernizacji rozwoju Hiszpanii, w momencie, kiedy ten kraj wkroczył do UE, był, żeby nie powiedzieć symboliczny, to mocno ograniczony – mówi Andrzej Sadowski, prezydent CAS.

– Każda redystrybucja wykonywana przez państwo jest niebezpieczna o tyle, że zabiera się tym, którym „idzie", i daje się tym, którym „nie idzie". Taka redystrybucja powinna być robiona w sposób bardzo rozsądny, ostrożny, a nie hurraoptymistyczny – mówi Legutko. – Nie jestem przeciwnikiem pozyskiwania środków z Unii. Przy inwestycjach od pewnej wartości powinno się jednak robić obowiązkowo rzetelne analizy funkcjonalno-ekonomiczne, opiniowane przez zewnętrzny audyt, w których zawarte byłyby koszty niekwalifikowane, koszty obsługi kredytowej czy koszty późniejszego utrzymania inwestycji. A tego się nie robi albo robi się rzadko. Fajny jest basen, tylko pytanie: Czy mnie na to stać? – podsumowuje. A jak zauważa Ryszard Czarnecki, wiceprzewodniczący PE, inwestycje z udziałem unijnych pieniędzy czasem są ósmą czy dziesiątą „kolejnością odśnieżania".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd591204ac

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Dziwak Trump obniża podatki

Chyba jedynie ekstremalnie liberalnym dziwactwem lub – co gorsza – skrajnym egoizmem, myśleniem w kategoriach interesu własnego i swojej rodziny – bo, w końcu, czymże innym – można wytłumaczyć, że republikański prezydent USA Donald Trump obniża podatki nie tylko najbiedniejszym Amerykanom, ba – nie tylko średniakom, lecz także najbogatszym obywatelom swego kraju. I na domiar tę gigantyczną redukcję podatków ośmiela się – bezwstydnie – określać nie tylko mianem reformy, lecz także – co jeszcze bardziej dojmujące – reformy „najwspanialszej w dziejach USA", a nawet – uwaga! – „paliwa rakietowego" dla gospodarki.

Tymczasem, jak powszechnie wiadomo z najnowszej historii Polski, zarówno tej z czasów dobrej zmiany, jak i poprzedniej – złej zmiany, po co w ogóle zaprzątać sobie głowę obniżaniem podatków, skoro można się skupić na ich podwyższaniu, a jeśli już – dzięki swej, czyli władzy, wielkiej łaskawości – nie na ich podwyższaniu, to w każdym razie na pewno nie na ich obniżaniu; a jeśli już jednak – jakimś przedziwnym trafem, wprost cudem – na ich obniżaniu, to tylko na obniżaniu tycim, mikroskopijnym i to wyłącznie najbiedniejszym z najbiedniejszych.

Ba, po co w ogóle ciąć podatki, zwłaszcza aż w takiej skali jak teraz w USA, jeśli może to grozić pojawieniem się niedoboru budżetowego w wysokości 1,5 bln dol. rocznie?! Po co ciąć podatki i potem liczyć na to, że ich redukcja tak nakręci koniunkturę gospodarczą, iż nie tylko ewentualne niedobory budżetowe zostaną pokryte z nawiązką, lecz także ponadto kolejne miliardy dolarów trafią do kieszeni pracobiorców i pracodawców, dzięki wyższym pensjom i dywidendom?! Bo rzekomo tak było wcześniej – za sprawą podobnych cięć podatków zafundowanych obywatelom Stanów Zjednoczonych przez republikańskich prezydentów Ronalda Reagana i George'a Busha juniora.

Dalej: Po co w ogóle jakieś dodatkowe dolary miałyby – dzięki redukcji podatków – pozostawać w kieszeniach tych obywateli, którzy je – dzięki swej pracy – zarobili, skoro wszystkie one (te dolary) mogą najpierw – właśnie dzięki nieredukowaniu podatków – trafić do budżetu państwa i dopiero stamtąd – dzięki roztropnej decyzji rządu – trafić do kieszeni tych obywateli, do których trafić – zdaniem rządu – powinny. Na przykład w postaci zasiłku „500+" lub innego, mile widzianego przez władze bonusu.

I właśnie z tego powodu zachodzę w głowę – zachodzę i zajść nie mogę – dlaczego republikański prezydent USA Donald Trump, jeśli już tak bardzo chce co roku wydawać z budżetu 1,5 bln dol., zamiast obniżać podatki wszystkim, nie skopiował polskiego pomysłu na „500+" i nie zastosował go w USA?

Ktoś wie? ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Polacy stają się optymistami

Badania ekonomiczne pokazują, że istnieje pozytywny, długoterminowy związek między nastrojami konsumentów a tempem wzrostu gospodarczego. Niektóre wskazują, że poprawa nastrojów konsumentów zapowiada szybszy wzrost gospodarczy w kolejnych kwartałach. W 2017 r. doszło do sytuacji bez precedensu w postsocjalistycznej historii Polski – po raz pierwszy odsetek optymistów jest wyższy niż odsetek pesymistów. Dotyczy to większości składowych indeksu nastrojów konsumentów: sytuacji finansowej konsumenta, oceny sytuacji na rynku pracy oraz oceny ogólnej sytuacji gospodarczej w kraju. To może oznaczać bardzo dobry 2018 r. dla polskiej gospodarki, a być może także zwiększenie długoterminowego tempa wzrostu gospodarczego. Oczywiście Polska jest gospodarką otwartą i na jej tempo wzrostu ma wpływ wiele czynników zewnętrznych. Jeżeli jednak za granicą nie dojdzie w 2018 r. do silnych, negatywnych wstrząsów, to nastroje konsumentów zapowiadają bardzo dobry rok dla polskiej gospodarki.

Po raz pierwszy odsetek optymistów jest wyższy niż odsetek pesymistów

Pojawia się pytanie: Skąd wziął się ten optymizm? Ciekawa byłaby analiza danych w przekroju na grupy dochodowe lub liczbę dzieci. Jeżeli wzrost optymizmu nastąpił przede wszystkim wśród rodzin o niskich dochodach lub wielodzietnych, to oznaczałoby to m.in. efekt programu „500+". Pewną wskazówką, że tak jest, może być znaczący wzrost oceny własnej sytuacji finansowej gospodarstw domowych w kwietniu 2016 r., gdy rozpoczęto wypłaty z programu „500+". Wtedy nastąpił silny wzrost wskaźnika oczekiwanej sytuacji finansowej gospodarstw domowych oraz wszystkich pozostałych wskaźników.

Oczywiście na optymizm konsumentów pozytywnie wpływają rosnące płace i rekordowo niskie bezrobocie. Od ponad pół roku Polacy oceniają, że obecnie jest najlepszy w historii Polski moment na dokonywanie ważnych zakupów, co potwierdza, że Polacy czują się stabilnie finansowo i oczekują dalszej finansowej poprawy w swoich portfelach. Taka ocena powinna dodatkowo pozytywnie wpłynąć na decyzje o powiększeniu rodziny. Możemy to określić jako efekt mnożnikowy programu „500+".

Na razie, niestety, efekt mnożnikowy programu „500+" jest słabszy od efektu starzenia się społeczeństwa. Jednak szybki i stabilny wzrost polskiej gospodarki będzie skutkował wysoką imigracją zarobkową, szczególnie z Białorusi i Ukrainy, co powinno także poprawić sytuację na rynku pracy. ©℗

Autor jest rektorem Narxoz University w Ałma Acie w Kazachstanie.

eprasa.pl cd591204ac

TEST „DO RZECZY": SŁUCHAWKI BEZPRZEWODOWE PANASONIC

Są lekkie, porządnie wykonane i bardzo dobrze tłumią szumy z zewnątrz. Jak na swoją cenę nieźle też brzmią. Wadą są jednak słabiutkie basy.

Model RP-HTX80B jest utrzymany w stylu retro. Do mnie to akurat nie przemawia, ale wyobrażam sobie, że są tacy, których taki wygląd może urzekać. Ich zaletą jest stosunkowo niewielka waga (190 g), zwłaszcza jak na słuchawki nauszne. Łatwo można dostosować je do kształtu głowy. A dzięki temu, że dobrze przylegają, nieźle tłumią hałasy z otoczenia, a także nie przepuszczają muzyki na zewnątrz – świetnie nadają się więc do używania w zatłoczonych korpo.

Wbudowany mikrofon pozwala też na prowadzenie rozmów telefonicznych. Plusem jest też dobra bateria, która pozwala na długie słuchanie muzyki na jednym ładowaniu. Miękkie poduszeczki sprawiają zaś, że nawet po wielu godzinach użytkowania słuchawki nie stają się uciążliwe w noszeniu. A co z brzmieniem? Model RP-HTX80B daje czysty, dość dobrze zbalansowany dźwięk – zwłaszcza jak na niezbyt drogie słuchawki Bluetooth. Prawdziwi audiofile oraz miłośnicy mocnych basów powinni jednak poszukać innego modelu.

Być może to tylko kwestia egzemplarza, ale już dawno parowanie urządzeń za pośrednictwem Bluetooth nie zajęło mi tyle czasu, ile w przypadku próby połączenia modelu RP-HTX80B ze smartfonem lub z komputerem. Szkoda też, że ładowanie odbywa się za pomocą przestarzałej wtyczki micro-USB zamiast USB-C, co ułatwiłoby życie np. posiadaczom nowych sprzętów z logo nadgryzionego jabłka. Cena: 399 zł. ©℗

Jacek Przybylski

NOWATORSKIE OKULARY

Co prawda pewna amerykańska lewicowa – bo któż by inny miał czas na podobne dyrdymały – naukowiec ogłosiła, że znana kolęda „Jingle Bells" jest rasistowska, ale świąteczny i poświąteczny czas to ta chwila, gdy przesłodzonych, cukierkowych, chwalących narodziny Pana – i częściej – przybycie Świętego Mikołaja piosenek słuchamy nader chętnie. A muzyki można też słuchać w nader nowatorski sposób – bez słuchawek, bez kolumn grzmiących na całe mieszkanie, a przez... kość. Wszystko dzięki projektowi o nazwie „LET Glass", czyli specjalnym okularom wspomaganym tzw. technologią przewodnictwa kostnego i obsługiwanym za pomocą gestów. Brzmi nieźle? Najkrócej mówiąc, gadżet to urządzenie łączące bezprzewodowe słuchawki, telefon i okulary w jedną całość. Szkło LET Glass pozwala na obsługę telefonu komórkowego bez dotykania – za pomocą gestów, w tym odbiór rozmów przychodzących czy słuchanie zapisanych w smartfonie piosenek. Jedna z tajemnic gadżeciku skrywa się w oprawkach skonstruowanych tak, by dźwięk do ucha trafiał za pośrednictwem kości. Fale dźwiękowe są przenoszone do ucha wewnętrznego przez wibracje kostne czaszki, bez uprzedniego docierania do błony bębenkowej. Urządzenie pozwala też na otrzymywanie wskazówek GPS, raportów pogodowych i dokładnego czasu, a także dzięki systemowi Alexa obsługę domowych inteligentnych urządzeń. Zamówić można go na portalu Indiegogo, dostawa jednak odbędzie się dopiero w maju, a cena urządzenia to ok. 400 zł.

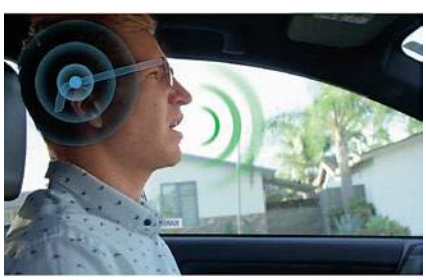

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NADCHODZĄ SELFIKOWE TRANSFORMERY

Bez obaw jednak – ani nie grozi nam zagłada z rąk zmutowanych decepticonów, ani niestety nie wpadnie do nas na święta z osobistą wizytą Megan Fox. Za to jedna z amerykańskich firm wprowadza na rynek niewielkiego „osobistego" modułowego drona, który na miano transformera absolutnie zasługuje. Chodzi o urządzenie o nazwie „PITTA" potrafiące w ciągu kilku sekund przekształcić się z systemu „drone" w system „kamerki akcji". Urządzenie, które trzeba samemu zmontować, bazując na dołączonej instrukcji, przypomina nieco kulę, po odciągnięciu specjalnych uchwytów zaczyna unosić się nieco nad ziemią, umożliwiając zrobienie selfików lub nagranie krótkiego filmu – z różnych pozycji i z różnej wysokości – dzięki sterowaniu smartfonem. Urządzenie zmieści się do nieco większej kieszeni, waży zaledwie 200 g. Całkowicie naładowany PITTA Selfie Drone działa przez 15 minut. Po wyczerpaniu się baterii urządzenie wysyła alarm lub powiadomienie do telefonu komórkowego w celu aktualizacji bieżącego stanu. Zamawiać je można na Kickstarterze, przy czym najtańszy model kosztuje nieco ponad 750 zł. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl cd591204ac

Książę i aktoreczka

Joanna Bojańczyk

W kręgach angielskiej arystokracji małżeństwo z osobą z niższej sfery postrzega się jako przejaw braku rozsądku. Tym razem jednak pałac Buckingham zdobył się na wyjątkową życzliwość

Ożeni się czy nie ożeni? Przez 16 miesięcy brytyjska opinia publiczna tkwiła w niepewności. Ogłoszenia zaręczyn oczekiwano 28 listopada. Data nieprzypadkowa: 28 listopada podobne zamiary ogłosili ojciec Harry'ego książę Karol i jego brat William. Dwa dni wcześniej pałac Kensington zdementował plotkę, ale mimo to naród zastygł w oczekiwaniu, że 33-letni książę Harry i jego starsza o trzy lata wybranka Meghan Markle właśnie tego dnia przyznają, iż zamierzają się pobrać.

Wreszcie bańka pękła. Wprawdzie nie 28, a 27 listopada, ale zaręczyny ogłoszono. Ubrana w biały płaszcz Meghan Markle mówiła, że jest szczęśliwa, błyskając złotym pierścionkiem z trzema brylantami (środkowy pochodzi z Botswany, dwa zewnętrzne z pierścionka księżnej Diany). Biżuterię wykonała firma Cleave and Company, jeden z dostawców angielskiego dworu. Ślub odbędzie się wiosną 2018 r. Królowa, książę Filip i książę Karol zgodnie oświadczyli, że są „delighted" – zachwyceni. A jednak pałac Buckingham ma problem. Narzeczona jest Amerykanką, rozwódką, mulatką, serialową aktorką i do tego feministką. To zestaw w tych sferach mało typowy.

W kręgach angielskiej arystokracji małżeństwa z osobami z niższej sfery postrzega się jako przejaw braku rozsądku. Nawet abdykacja króla Edwarda VIII, który zakochał się w amerykańskiej dwukrotnej rozwódce Wallis Simpson i zrezygnował z tronu, aby ją poślubić, postrzegana była jako dziecinada i niedorzeczność. Coś, co gdzie indziej przedstawia się jako „historię miłości ponad wszystko", na Wyspach kwituje się pogardliwym skrzywieniem ust.

KOCHANKA, NIGDY ŻONA

„Jeszcze 70 lat temu taka dziewczyna mogłaby zostać najwyżej kochanką, nigdy żoną" – zgryźliwie skomentowała pisarka Melanie McDonagh w tygodniku „The Spectator". Poza nią jednak nikt się nie oburzał. Słowo „skandal" nie padło. Może dlatego, że i tak skandali w ostatnich czasach w rodzinie królewskiej nie brakowało. Romans księżniczki Małgorzaty, romans księżnej Diany i wszystkie brudy prane przy tej okazji. Wreszcie William żeni się z córką przedsiębiorcy handlującego urodzinowymi gadżetami…

A jednak przy nowej kandydatce na wstąpienie do rodziny królewskiej Kate Middleton wydaje się wielką damą. Rodzice Meghan Markle: Doria Ragland, Afroamerykanka, instruktorka jogi, i Thomas Markle rozwiedli się, gdy dziewczynka miała dwa lata. Matka wychowywała córkę samotnie w Crenshaw, czarnej dzielnicy Los Angeles. Meghan twierdzi, że na własnej skórze doznała rasizmu i nienawiści.

Wszystko, do czego doszła, zawdzięcza sobie. Na uniwersytecie Northwestern w stanie Illinois skończyła teatrologię i stosunki międzynarodowe, po czym odbyła staż w ambasadzie amerykańskiej w Argentynie. Jednak kariera urzędnicza niezbyt ją pociągała, chciała zostać aktorką. Wróciła do Kalifornii. Pierwsze castingi okazały się porażką. Uparta Meghan na początku wykonywała prace pomocnicze w telewizji, wypisywała zaproszenia, obsługiwała eventy. Grywała drobne role.

Pewnego dnia agent podsuwa jej scenariusz „Suits", serialu o amerykańskich adwokatach. Bingo! Dziewczyna dostaje sporą rolę – Rachel Zane, seksownej asystentki, sympatycznej i ambitnej. Rola ma też „momenty". Pałac Kensington musiał mieć ciężkie chwile, kiedy oglądał przyszłą synową w niekompletnym stroju i niedwuznacznych sytuacjach.

W 2011 r. na Jamajce bierze ślub z producentem filmowym Trevorem Engelsonem, z którym była w związku od siedmiu lat. Rozwód następuje po dwóch latach, w międzyczasie zalicza krótki związek z Corym Vitiello, szefem kuchni. Rozstali się po dwóch latach, w dokumentach rozwodowych tłumacząc to „niedającymi się pogodzić różnicami". Osoby z otoczenia Markle i Engelsona twierdziły, że miłość pokonana została przez odległość: ona pracowała na planie „Suits" w Toronto, on w Los Angeles.

PEONIE I JEDZENIE BIO

Z Harrym spotkali się „oficjalnie" w lipcu 2016 r. Mówi się, że potajemnie widywali się już pół roku wcześniej. Tegoroczne wakacje spędzili w Botswanie, gdzie książę jeździ od wielu lat. Mieszkali w bungalowie. On często nocował w namiocie, gdzie mógł podsłuchiwać, jak ryczą lwy. Gdy tylko związek nabrał półoficjalnego statusu, aktorka zrezygnowała ze swojej roli w serialu „Suits"

eprasa.pl cd591204ac

FOT. TERRY HARRIS/REX/EAST NEWS

i przeprowadziła się wraz z dwoma psami do Nottingham Cottage, należącej do kompleksu Kensington Palace. Meghan i Harry stali się tym samym sąsiadami księcia Williama, księżnej Kate, małego Jerzego i Charlotty.

Książę Harry, młodszy syn księcia Karola, to enfant terrible rodziny królewskiej. Służył w wojsku 10 lat, dwa razy był ranny w Afganistanie. W odróżnieniu od swego ustatkowanego brata ma opinię luzaka i rozrabiaki. Jednak mniejsze oraz większe wybryki, imprezy po pijanemu, bójka z fotografem przed klubem nocnym są mu jakoś wybaczane. Nawet te ewidentnie niesmaczne, kiedy na urodzinach znajomego przebrał się w mundur ze swastyką Afrika Korps (niemiecki korpus ekspedycyjny w Afryce w czasie II wojny światowej).

Mówi się, że Harry jest po prostu antymonarchistą. „Czy jest ktoś w rodzinie królewskiej chętny zostać królem czy królową? Nie sądzę" – cytuje słowa młodego księcia felietonistka „Timesa".

Jak na brytyjsko-królewskie standardy jest on bowiem szczery, a nawet spontaniczny. Nawet gdy musi firmować imprezy charytatywne, wydaje się robić to szczerze i z przyjemnością. Miał odwagę przyznać się do traumy po śmierci matki – razem z bratem nagrali szczerą rozmowę, w której opowiadają o cierpieniu – rzecz niespotykana w kręgach wysokiej arystokracji, nieskorej do zwierzeń.

Zaręczyny, którymi przez kilka dni listopada żyła cała Anglia, uruchomiły od razu machinę marketingową. Na początek płaszcz narzeczonej, kanadyjskiej marki Line The Label (cena 530 euro) i sukienka P.A.R.O.S.H. zostały w ciągu kilku godzin wyprzedane. Okulary Finlay & Co widziane na Meghan zwiększyły sprzedaż o 1000 proc. „Udekoruj swoją sypialnię tak jak Meghan Markle" – radzi „The Times", ilustrując to zdjęciem z jej Instagrama. (Należy zaopatrzyć się w świece, Meghan wybiera niestety drogie, za 51 funtów marki Liberty, fotele wyłożyć futrzakami, kupić dużo kwiatów do wazonów, najlepiej peonii… itp.). Oczywiście należy koniecznie mieć psa i jeść tylko jedzenie bio. W okolicach ślubu spodziewany jest szczyt narodowej ekscytacji – wzrost liczby turystów, cen nieruchomości w okolicach pałacu Kensington, które i tak nie należały do niskich…

W 2012 r. angielski „Newsweek" ocenił „efekt Kate" na miliard dolarów. Tyle skorzystała na książęcym ślubie Wielka Brytania.

Z GODNOŚCIĄ I DYSKRECJĄ

A co myśli o tym wszystkim Jej Wysokość? Rodzina królewska przechodzi przyspieszony kurs przystosowawczy do świata. Wobec jego złożoności, niejednoznaczności i niespodzianek, które niesie, pałac Buckingham, zawsze zachowuje kamienną twarz. Czasem także życzliwość pojawia się na królewskim obliczu. Biografka królewska, Sally Bedell Smith, komentuje to tak: „Elżbieta II ma niezwykle otwarty umysł i jest tolerancyjna. Williamowi pozwolono zamieszkać z Kate, choć pochodzi ona z klasy średniej, ale zachowywała się z godnością i dyskrecją. Wyobrażam sobie, że tutaj będzie podobnie; jeśli Harry i jego narzeczona są zakochani i dobrani do siebie, to nie powinni się wahać". Cóż, książę Karol ożenił się z najwyższą arystokratką i wszyscy wiedzą, jak to się skończyło. A małżeństwo Williama z dziewczyną z „klasy średniej" ma się nieźle. Kate robi zakupy w supermarkecie, zajmuje się dziećmi, nosi sukienki z sieciówek.

Są oczywiście i złe języki. Samantha, przyrodnia siostra Meghan z drugiego związku ojca, postanowiła skorzystać z momentu, kiedy flesze są blisko. W wywiadzie dla „Daily Mail" oskarżyła siostrę o brak zainteresowania rodziną. Wkrótce, korzystając z zainteresowania młodą parą, zamierza wydać książkę „Dziennik siostry księżniczki arywistki". Przeczytamy, zobaczymy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd591204ac

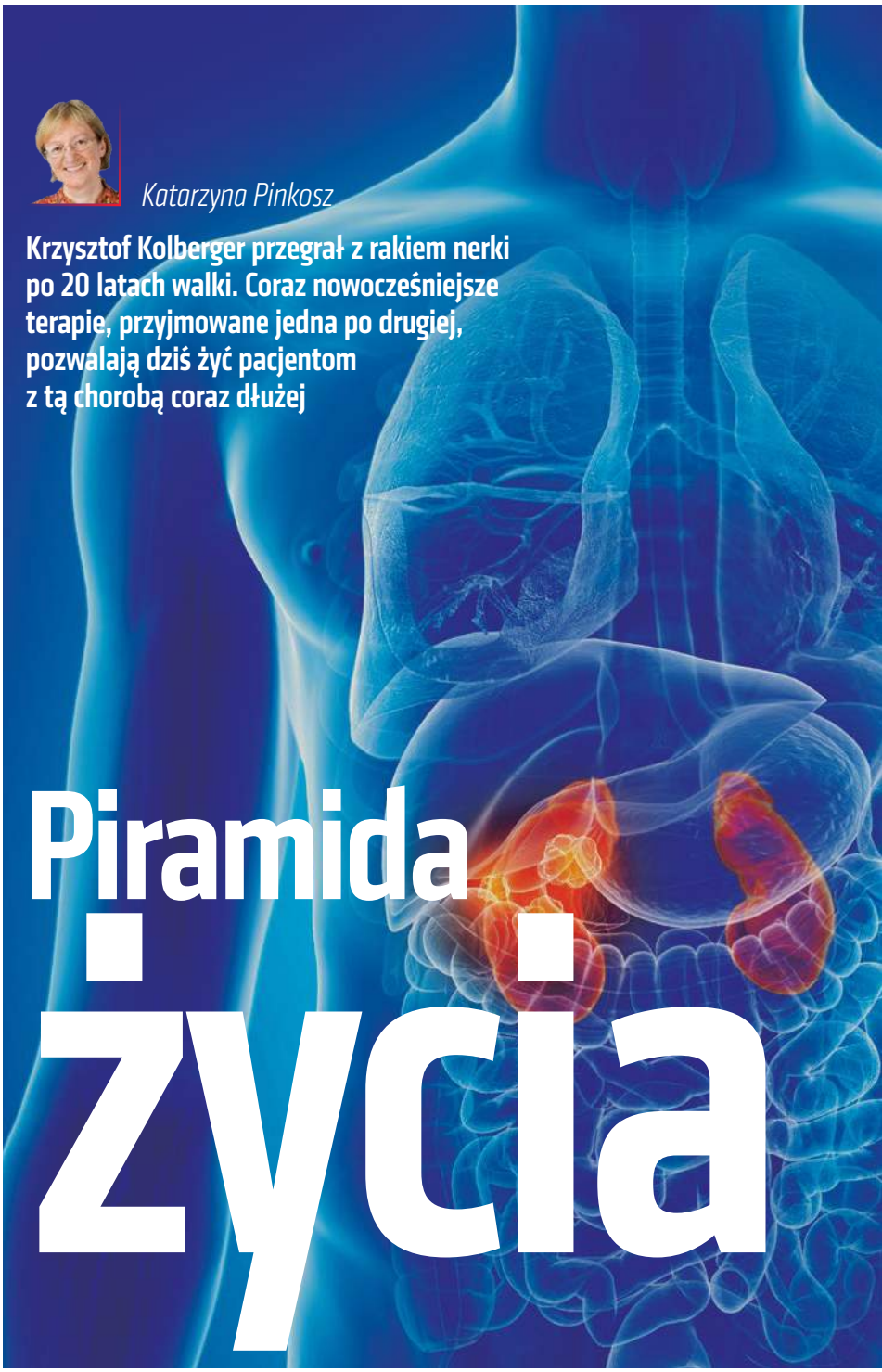

Katarzyna Pinkosz

Krzysztof Kolberger przegrał z rakiem nerki po 20 latach walki. Coraz nowocześniejsze terapie, przyjmowane jedna po drugiej, pozwalają dziś żyć pacjentom z tą chorobą coraz dłużej

Piramida życia

Sto złotych – tyle kosztuje USG jamy brzusznej. Gdyby każdy raz na rok czy dwa lata zrobił to badanie profilaktycznie, to nawet jeśli w nerce pojawiłyby się zmiany nowotworowe, zostałyby zdiagnozowane w tak wczesnym stadium, że byłaby ogromna szansa na ich całkowite wyleczenie. – W Polsce i w innych krajach USG jamy brzusznej nie jest badaniem przesiewowym, jednak warto zrobić sobie co roku taki prezent, choćby z okazji nowego roku – przekonuje prof. Piotr Wysocki, kierownik Katedry i Kliniki Onkologii Uniwersytetu Jagiellońskiego – Collegium Medicum i prezes Polskiego Towarzystwa Onkologii Klinicznej.

Tego samego zdania jest dr n. med. Piotr Tomczak z Kliniki Onkologii Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu. – Gdy zaczynałem pracę jako lekarz, można było przez telefon powiedzieć pacjentowi przed 50. rokiem życia, że na pewno nie ma raka nerki. Większość chorych ma więcej niż 60 lat, jednak dziś nie ma żadnej dolnej granicy zachorowania. Dlatego po 40. roku życia każdy powinien co rok czy dwa lata wykonywać USG jamy brzusznej. To badanie łatwe, proste, bezpieczne, nieinwazyjne i bardzo wiarygodne – dodaje dr Tomczak.

U Kolbergera raka nerki zdiagnozowano, gdy miał 41 lat. Dzięki temu, że było to wczesne stadium, żył z chorobą tak długo.

RAK ROZWIJA SIĘ SKRYCIE

Rak nerki – a ściślej mówiąc rak nerkowokomórkowy – zdarza się stosunkowo rzadko: to ósmy co do częstości występowania nowotwór u mężczyzn i dziewiąty u kobiet. Co roku taką diagnozę słyszy w Polsce ok. 4,5 tys. osób. Onkologów niepokoi to, że liczba zachorowań w Polsce rośnie co roku o 2–3 proc. Czynniki ryzyka – oprócz genetycznych, które jednak odpowiadają zaledwie za 4 proc. przypadków raka nerki – to m.in. palenie papierosów, zanieczyszczenie środowiska, długotrwała ekspozycja na substancje chemiczne (nitrozoaminy, azbest, dwutlenek toru, kadm). Oraz… picie piwa. To mit, że jest zdrowe dla nerek. – W krajach, w których pije się dużo piwa, zachorowalność na raka nerki jest najwyższa – zaznacza dr Tomczak. Inne czynniki ryzyka to nadużywanie środków przeciwbólowych, otyłość, nadciśnienie, cukrzyca, dieta z dużą ilością białka zwierzęcego.

Rak nerki długo rozwija się skrycie i nie daje żadnych objawów (dlatego tak ważne jest wykonywanie profilaktycznego USG, choć to badanie nie jest refundowane). Kiedy objawy już się pojawiają, są mało charakterystyczne: osłabienie, utrata masy ciała, stany podgorączkowe, nocne poty, częste infekcje dróg moczowych, nawracające infekcje, krwiomocz. W takim przypadku trzeba niezwłocznie iść do lekarza. Ważne jest jak najszybsze postawienie diagnozy. To walka z czasem, żeby diagnoza nie została postawiona za późno i była szansa na chirurgiczne usunięcie guza (samego, a jeśli to niemożliwe – wraz z częścią miąższu nerki lub całą nerką).

Niestety, aż u 30 proc. pacjentów już w momencie wykrycia nowotworu nerki występują przerzuty, czyli choroba jest

eprasa.pl cd591204ac

FOT. FOTOLIA

uogólniona. Drugą przykrą informacją jest to, że również po usunięciu guza zdarzają się wznowy, nawet po wielu latach.

NOWE NADZIEJE

Do 2006 r. rokowanie chorych, u których doszło do przerzutów, było bardzo złe – średni czas przeżycia wynosił niecałe 11 miesięcy. Przerzutowy rak nerki praktycznie nie reagował na chemioterapię, również radioterapia nie przynosiła trwałych rezultatów. Przełom przyniosły dopiero badania nad biologią nowotworu. Okazało się, że dla wzrostu raka nerki bardzo ważne są procesy angiogenezy: guz oplata się siecią naczyń krwionośnych, które go odżywiają i dostarczają tlen.

– Wprowadzenie pierwszego leku antyangiogennego w 2006 r. spowodowało podwojenie średniego czasu przeżycia chorych z przerzutowym rakiem nerki. To był przełom – opowiada prof. Wysocki.

Od tego czasu udało się zarejestrować 11 nowych terapii: to leki antyangiogenne, hamujące unaczynienie guza, a więc odcinające mu możliwość „odżywiania się", oraz leki immunologiczne, które mają na celu pobudzenie układu odpornościowego do walki z nowotworem.
– Leki na razie nie są w stanie wyleczyć nowotworu, ale powstrzymują jego rozwój. Powodują, że chory może żyć nawet wiele lat z rakiem nerki i umrzeć z zupełnie innego powodu. Przerzutowy rak nerki powoli ma szansę stać się chorobą przewlekłą – przekonuje dr Tomczak.

Niestety, chorzy w Polsce mają znacznie uboższe możliwości leczenia niż w innych krajach. Część nowych leków jest nierefundowana, a te, które znalazły się w refundacji, są dostępne tylko w ramach tzw. programów lekowych – wyłącznie dla ograniczonej grupy chorych. I tak np. praktycznie pozbawieni dostępu do terapii są chorzy z tzw. niejasnokomórkowym typem raka nerki (to ok. 20 proc. pacjentów), a także chorzy, u których nie przeprowadzono nefrektomii, czyli usunięcia nerki (a to jest czasem niemożliwe – np. z racji wieku chorego lub chorób współistniejących). – W innych krajach nie ma takich ograniczeń, natomiast w Polsce od razu została wyeliminowana z leczenia pewna grupa pacjentów. Praktycznie co piątej osobie, która przychodzi do mnie z przerzutowym rakiem nerki, muszę odmówić leczenia tylko z powodów proceduralnych, niemedycznych – martwi się dr Tomczak.

Przerzutowy rak nerki po pewnym czasie przełamuje działanie leku i dochodzi do nawrotu choroby. Tak więc im więcej leków jest dostępnych, tym większa szansa na życie. – W Polsce dostępne są dwa leki w terapii pierwszego rzutu: sunitynib lub pazopanib. Czas wolny od progresji (rozwoju) choroby po ich zastosowaniu trwa przeciętnie rok. Po tym czasie chory może dostać terapię drugiego rzutu: ewerolimus lub aksytynib, które średnio pomagają przez kolejne 4–6 miesięcy – opowiada dr Tomczak.

W innych krajach już od dwóch lat są dostępne bardziej skuteczne terapie w drugiej linii leczenia. Pierwsza to nowej generacji lek antyangiogenny, tzw. drobnocząsteczkowy inhibitor kinazy tyrozynowej – kabozantynib. Druga to lek immunologiczny – niwolumab (stosowany też w innych nowotworach, np. czerniaku, raku płuc). – Obydwa bardzo istotnie poprawiły rokowanie chorych. Czekamy, by były dostępne w Polsce, gdyż są skuteczniejsze od terapii, które możemy obecnie stosować – mówi prof. Wysocki. Tłumaczy, że przy zastosowaniu kabozantynibu względne ryzyko zgonu chorego jest o 34 proc. mniejsze niż przy stosowanych w Polsce lekach drugiej linii. Dodatkowo u 20 proc. chorych (czyli czterokrotnie częściej niż w przypadku terapii refundowanych w Polsce) dochodzi nie tylko do zatrzymania, lecz także do wyraźnego wycofania choroby nowotworowej. Z kolei w przypadku niwolumabu oczekuje się, że ok. 15–20 proc. chorych może mieć wieloletnie przeżycia: 5, 10 lub nawet 20 lat.

Onkolodzy podkreślają, że nowe leki to nowa jakość w walce z przerzutowym rakiem nerki. – Dzięki nim chorzy dłużej żyją, w dodatku jakość ich życia jest bardzo dobra. Średni czas skuteczności terapii jest o pięć miesięcy dłuższy niż przy stosowaniu dotychczasowych leków, a u niektórych chorych nowe terapie są skuteczne przez wiele lat. Szkoda by było, by polscy pacjenci nie mogli z nich korzystać – zaznacza prof. Wysocki.

Obydwa leki zostały zarejestrowane w UE w 2016 r. Obecnie obowiązujące zalecenia ESMO (European Society for Medical Oncology) mówią, że powinny być stosowane w drugiej linii leczenia przerzutowego raka nerki, po niepowodzeniu terapii pierwszego rzutu.

– Rak nerki w tym stadium nie jest wyleczalny, podobnie jak wiele innych chorób. Pacjent z cukrzycą jednak wie, że mimo choroby może żyć wiele lat, a jeszcze niecałe 100 lat temu średni czas przeżycia z cukrzycą typu 1 wynosił mniej niż pół roku. Nowe leki pozwalają pacjentom żyć z nowotworem nerki, który się nie rozwija – mówi dr Tomczak.

Nowe leki są jak klocki, z których ustawia się piramidę. Każdy klocek to kolejne miesiące, a może nawet lata życia – czas nieoceniony dla chorego i jego rodziny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd591204ac

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

A jak strzelił Bajda z łuku...

Jedną z najciekawszych postaci XVI-wiecznej Ukrainy był **książę Dymitr Wiśniowiecki zwany Bajdą**, który stał się jednym z pierwszych kozackich watażków. Kniaź podgalał głowę, ubierał się prostacko, podróżował z orszakiem składającym się z chłopów, Kozaków i zbrojnych sług, z którymi łupił Turków, Tatarów i Wołochów. Jak pisze Jan Widacki: „W czasie, gdy Andrzej Frycz Modrzewski pisał »O naprawie Rzeczypospolitej«, Rej pokazywał wszem i wobec, że Polacy nie gęsi – kniaź Dymitr planował łupieskie wyprawy przeciw poddanym sułtana. W czasach, gdy polska myśl polityczna sięgała wyżyn, Dymitr rozważał, czy lepiej tym razem złupić Krym, czy Wołoszczyznę".

W roku 1550, kiedy Bajda został starostą kaniowskim i czerkaskim, zbudował warowny zameczek na wyspie Chortycy i zaczął gromadzić tam rozbójników zwanych Kozakami. Trzy lata później Zygmunt August został zaalarmowany przez Mikołaja Radziwiłła, że Wiśniowiecki zamierza przyjąć poddaństwo wobec sułtana! Do dziś nie wiadomo, czy rzeczywiście miał takie plany. Pewne jest tylko, że wraz z Kozakami przez jakiś czas zatrzymał się na Zaporożu. Później zmienił front, bo już 4 marca 1554 r. poprosił o przebaczenie, a kiedy je uzyskał, powrócił do Kaniowa i Czerkas.

Wkrótce jednak Wiśniowiecki znalazł nowego pana – moskiewskiego cara Iwana Groźnego – gdyż zależało mu, aby mieć mocne polityczne plecy dla wypraw na Tatarów. Wkrótce kniaź napadł na Krym, zdobył twierdzę Islam-Kermen, uwiózł z niej działa i przewiózł je na Chortycę. W styczniu 1557 r. rozwścieczony chan Dewlet Girej wyprawił się przeciwko staroście. Bajda przez trzy tygodnie bronił się na Chortycy. Ponieważ chan nie mógł zdobyć

FOT. WIKIPEDIA

wyspy, wycofał się, a triumfujący Wiśniowiecki wrócił do swoich włości. Niestety, radość nie trwała długo. Chan zorganizował kolejną wyprawę, w której wzięły udział także wojska wołoskie i tureckie. Dymitr Wiśniowiecki nie był na to przygotowany, w trakcie oblężenia zabrakło mu żywności i prochu. Poprosił cara o pomoc, w listach obiecywał mu nawet oddanie starostwa czerkaskiego i kaniowskiego! Iwan nie skorzystał z tej oferty, wezwał jednak Wiśniowieckiego do Moskwy. Już na początku 1558 r. car wysłał Bajdę na Krym z 5 tys. wojska. Wyprawa zakończyła się klęską. Rok później car znowu przygotował dwie wielkie wyprawy. Jedną, w której skład wchodziło kilka tysięcy żołnierzy, dowodził Wiśniowiecki.

W 1561 r., kiedy doszło do wznowienia wojny Litwy i Polski z Moskwą, Wiśniowiecki porzucił służbę u cara. I dzięki pomocy brata Michała kolejny raz uzyskał przebaczenie.

Gdy w roku 1562 Wiśniowiecki stawił się na sejm w Piotrkowie, szlachta witała go jak bohatera. Razem z Wiśniowieckim pojawił się Olbracht Łaski, awanturnik, obieżyświat i intrygant. Nikt nie spodziewał się, że obaj wplączą się w awanturę, która Wiśniowieckiego będzie kosztować życie. W 1562 r. Łaski osadził na tronie w Mołdawii Jana Heraklidesa, formalnie despotę z wysp Samos i Paros, a faktycznie człowieka niepewnego pochodzenia, który twierdził nawet, iż był potomkiem cesarzy rzymskich. Wkrótce wybuchł przeciwko niemu bunt pod przewodnictwem Stefana Tomży. Heraklides poprosił o pomoc Łaskiego, który z kolei zamierzał wyręczyć się Wiśniowieckim. Wówczas Tomża zaproponował Bajdzie, że zostanie hospodarem, jeśli odstąpi Łaskiego. Zaprosił go na rozmowy i był to podstęp! Mołdawianie przygotowali zasadzkę. Z Wiśniowieckim schwytano przyjaciela Łaskiego – Jana Piaseckiego, obu przewieziono do Stambułu.

Reszta to fantastyka historyczna. Turcy chcieli darować Bajdzie życie, a sułtan ofiarował córkę za żonę pod warunkiem, że Wiśniowiecki przyjmie islam. „Twoja doczka charoszaja, twoja wiara psia" – odpowiedział ponoć kniaź.

Dymitr i Piasecki zostali skazani na śmierć przez zrzucenie na żelazne haki. Podania ludowe twierdziły, że nawet wówczas Dymitr dokazywał cudów męstwa i odwagi. Chwycił bowiem łuk i – wisząc na haku – począł strzelać do oprawców:

A jak strzelił Bajda z łuku
Trafił cara prosto między uszy
A carycę w potylicę
A carską córeczkę – prosto w samą główeczkę
Tobie carze w ziemi gnić
A Bajdzie – młodemu – młodemu –
miód-gorzałkę pić!

Tak podaje jedna z ukrainnych dum.

Turcy uszanowali Dymitra Bajdę Wiśniowieckiego i po śmierci pochowali go z honorami w Stambule. Jego grób widział nawet Maciej Stryjkowski, który w roku 1574 posłował do sułtana. ©℗

eprasa.pl cd591204ac

STANISŁAW TYSZKA SERWUJE SZYBKI OBIAD NIE TYLKO DLA STUDENTA

Studiując na południu Włoch, nauczyłem się bardzo prostego przepisu na sos pomidorowy, który zdarza mi się robić do dziś i który bardzo lubi moja córka. To dla niej najczęściej go przygotowuję. Przez kilka miesięcy mieszkałem z kolegami studentami spod Neapolu i bardzo często jedliśmy makaron właśnie z tym podstawowym włoskim sosem pomidorowym. Jest to zatem skrzyżowanie kuchni studenckiej z południowo-włoską, czyli prostą i tanią.

Polecam nie tylko studentom, lecz także osobom, które nie mają czasu albo raczej wydaje im się, że nie mają czasu na ugotowanie obiadu.

Składniki:

- puszka krojonych pomidorów
- kilka łyżek oliwy
- 1 cebula
- ząbek czosnku
- papryczki peperoncini
- bazylia, pieprz, sól
- twardy ser

Przygotowanie:

Na dno garnka wlewamy oliwę z oliwek i wrzucamy posiekaną cebulę oraz czosnek. Kiedy się zeszklą, dodajemy pomidory. I tutaj są różne opcje. Podstawowa, studencka, zakłada użycie pomidorów z puszki, ale możemy użyć passaty, a najlepiej świeżych posiekanych pomidorów. Dorzucamy nieco bazylii, doprawiamy solą i pieprzem. W wersji na ostro dodajemy papryczki peperoncini. Lubię pikantne potrawy, więc dodaję trzy–cztery takie papryczki. Gotujemy na małym ogniu ok. 15 min.

Sosem polewamy makaron, ścierając na to nieco twardego sera. We Włoszech są dwa dominujące sery twarde: parmezan albo grana padano. ©℗

oprac. raw

Stanisław Tyszka jest wicemarszałkiem Sejmu, posłem Kukiz'15, wykładowcą akademickim.

FOT. PIOTR GRZYBOWSKI/SE/EAST NEWS

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Z archiwum kulinarnego

W staropolskiej kuchni i przy polskim stole" – najbardziej złachana, a także moja ulubiona książka kucharska. Poplamione od paluchów kartki ledwo trzymają się grzbietu. Wydawnictwo Interpress, 1979, nakład 110 tys. (!). Autorzy: Maria Lemnis i Henryk Vitry. Raczej autor, bo pod tymi pseudonimami ukrywał się Tadeusz Żakiej, muzykolog i publicysta muzyczny. Jego historie o staropolskiej kuchni, gościnności, kulturze towarzyskiej czyta się z radością nawet wtedy, kiedy nie ma się zamiaru niczego gotować. Czy na niedzielny obiad mamy podać jelenia nadziewanego dropiami? Nie, ale posłuchajmy, jak było, a zróbmy tak, jak można zrobić dzisiaj. Przepisy są wyważone, precyzyjne i uwzględniające okoliczności, a pamiętajmy – to był rok 1979, początek wielkiego kryzysu zaopatrzeniowego. Żakiej, autor równie uroczej „Książki kucharskiej dla samotnych i zakochanych" (niestety nie mam), zamieszczał swoje przepisy w pamiętnym, zamkniętym przez panią Gomułkową „Ty i Ja", a potem, już w latach 90., w „Twoim Stylu". Szkoda, że dziś już tak nie piszą...

Nie mniej utalentowana literacko była Nela Rubinstein, żona wspaniałego Artura, córka Emila Młynarskiego, kompozytora i założyciela Filharmonii Narodowej w Warszawie. Jej „Kuchnia Neli" (wyd. Polonia, 1990) to również mało typowa książka kucharska – raczej pamiętnik, opowieści i anegdoty o podróżach, przyjęciach, koncertach, wszystko okraszone wspomnieniami (kulinarnymi oczywiście) z domu dziadków w Iłgowie na Wileńszczyźnie. Kto się skarży na marne warunki we współczesnych kuchniach, powinien przeczytać, jak pani Rubinstein gotowała bigos dla 40 osób na dwupłytowej kuchence we wnęce kuchennej nowojorskiego hotelu…

MARIA LEMNIS, HENRYK VITRY „W STAROPOLSKIEJ KUCHNI I PRZY POLSKIM STOLE" INTERPRESS 1979

Cieniutka książeczka „Zapiekanki, suflety, tarty" (wyd. Watra, 1977) służyła mi, debiutującej kucharce, za poradnik do pieczenia tarty ze śliwkami. Według tego przepisu robię ją do dziś. Autor – Stanisław Włodek, pisarz, pierwszy mąż Marii Iwaszkiewicz – uprościł przepisy tak, żeby stały się wykonalne w warunkach PRL, kiedy nawet żółty ser bywał trudny do zdobycia. Bardzo lubiłam tę książeczkę, intensywność moich uczuć przełożyła się na jej stan techniczny: to już tylko zbiór luźnych kartek.

Nic lepiej nie wyraża gospodarki realnego socjalizmu niż książka Macieja E. Halbańskiego „Potrawy z różnych stron świata" (wyd. Watra, 1975). Zaiste: porwać się na kuchnię indonezyjską, japońską, chińską było dziełem równie straceńczym co ambitnym. Sztukę zamienników autor opanował do perfekcji. Jajka, cebula, mąka i włoszczyzna uratowały sytuację. ©℗

eprasa.pl cd591204ac

NASZ TEST: MITSUBISHI L200

Atrakcyjna, muskularna sylwetka oraz mocny, oszczędny silnik Diesla. To największe zalety jednego z najbardziej popularnych pick-upów na świecie.

W KABINIE

Największe wrażenie robi ogromna przestrzeń. Na brak miejsca na nogi czy nad głową nie mogą narzekać nawet bardzo wysocy pasażerowie.

Wnętrze jest dalekie od kabin luksusowych SUV-ów – w końcu teoretycznie mamy do czynienia z wołem roboczym. Użyte tworzywa nie są najprzyjemniejsze w dotyku, robią za to wrażenie solidnych. Podgrzewane, skórzane przednie fotele są dość wygodne. Całkiem komfortowo nawet na długich trasach można też podróżować na tylnej kanapie.

Centralnym elementem prostej deski rozdzielczej jest siedmiocalowy wyświetlacz, który wygląda nieco przestarzale. Po stronie minusów trzeba też zapisać kiepską nawigację. Mapa jest mało czytelna zarówno w dzień, jak i w nocy.

Wielkość paki L200 wynosi 140 x 102 x 48 cm i można na nią załadować nieco ponad tonę. Pick-up Mitsubishi potrafi też holować przyczepę o masie do 3,1 t.

JAZDA

Silnik Diesla o pojemności 2,4 l i mocy 181 KM dobrze radzi sobie z rozpędzaniem ważącego 1,9 t pick-upa. Od 0 do 100 km/godz. auto przyspiesza w nieco ponad 11 s. Bez problemu może też mknąć po autostradzie z prędkością 170 km/godz.

Zabudowana skrzynia ładunkowa w testowanym egzemplarzu istotnie zmniejsza opory powietrza. Dzięki temu nawet przy prędkościach autostradowych w środku jest na tyle cicho, że można swobodnie rozmawiać. Dźwięk silnika daje się jednak we znaki, szczególnie podczas nagłego przyspieszania.

W trasie auto sprawuje się dobrze, choć trzeba pamiętać, że nie jest to model przeznaczony do dynamicznego pokonywania zakrętów. Dzięki prześwitowi wynoszącemu 22,5 cm, reduktorowi oraz napędowi na cztery koła z blokadą centralnego mechanizmu różnicowego auto dobrze radzi sobie za to nawet w bardzo trudnym terenie.

Średnie spalanie w cyklu mieszanym to 10,7 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP Mitsubishi L200 zdobyło cztery gwiazdki na pięć, czyli tyle ile np. Nissan Navara. To stosunkowo niezły wynik jak na pick-upa. Dla porównania: Mercedes klasy X zgarnął jednak maksymalną liczbę gwiazdek, choć Toyota Hilux ze standardowym wyposażeniem dostała tylko trzy gwiazdki na pięć.

Model L200 jest wyposażony w system ostrzegający przed niezamierzoną zmianą pasa ruchu.

Poruszanie się autem o długości 5,3 m po zatłoczonych parkingach znacząco ułatwia kamera cofania. Do jazdy w terenie przydałaby się też kamera z przodu auta – umożliwiłaby bowiem sprawniejsze manewrowanie między kamieniami lub ściętymi pniami drzew.

CENA

Za L200 z podwójną kabiną i silnikiem o mocy 181 KM trzeba zapłacić co najmniej 133,9 tys. zł. Za wersję Instyle Double Cab z dwustrefową klimatyzacją, biksenonowymi reflektorami przednimi i podgrzewanymi przednimi siedzeniami rachunek wynosi 143 tys. zł.

KONKURENCI

Fiat Fullback, Ford Ranger, Isuzu D-Max, Mercedes-Benz klasy X, Nissan NP300, Toyota Hilux, Volkswagen Amarok ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (4)

eprasa.pl cd591204ac

Zmieniamy się dla Państwa

REPUBLIKA

INSTRUKCJA OBSŁUGI KOBIETY I MĘŻCZYZNY

sobota 18:20

MAŁGORZATA TERLIKOWSKA

TOMASZ TERLIKOWSKI

Oglądaj Telewizję Republika: **www.telewizjarepublika.pl**

eprasa.pl cd591204ac

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Ocalić Polskę przed Polską

MARCIN MAKOWSKI: Komisja Europejska zdecydowała się na użycie tzw. opcji atomowej w stosunku do Polski, rozpoczynając procedurę sprawdzającą stan praworządność w naszym kraju. Konsekwencją mogą być sankcje ekonomiczne oraz polityczne, ale ze względu na brak jednomyślności w Unii skończy się na groźnych minach. To po co KE w ogóle sięgnęła po tę broń?

MATTHEW TYRMAND: Odpowiedź jest prosta: nie chodzi o skuteczność, bo tej nie będzie, ale stworzenie pożądanej optyki, w której Unia za wszelką cenę broni globalistycznych i integracyjnych wartości. Oczywiście tam, gdzie nie ma w tym interesu, przymyka oko na nadużycia, ale w przypadku Polski to dosyć łatwy konflikt do prowadzenia. Uruchomienie art. 7 stanowi wywarcie presji pośredniej na Warszawę, która w zamyśle Franza Timmermansa i jego kolegów może pociągnąć za sobą obniżenie zaufania do polskiej gospodarki, a w konsekwencji – ratingów. Ten plan nie może się udać ze względów, o których wspomniałeś, ale ja poszedłbym jeszcze dalej. Komisja Europejska będzie zaskoczona, bo spotka się z oporem nie tylko Węgier, lecz także najprawdopodobniej Słowacji, Czech oraz Austrii, w których dominują partie populistyczno-prawicowe. Stąd takie zaangażowanie zachodnich mediów i naciski, aby zniechęcić każdego ewentualnego sojusznika Polski.

Mówisz ogólnikami. Kto i jak naciska?

Nie zaskoczę cię, jeśli powiem, że w dużej mierze chodzi o Anne Applebaum. Co ciekawe, w swoim artykule na temat Polski chyba po raz pierwszy wspomniała, że wyszła za mąż za Radka Sikorskiego z „centroprawicowej" Platformy Obywatelskiej. Przyznała zatem pośrednio, że ma własną polityczną agendę w opisywaniu tych spraw. Dlaczego to zrobiła? Ponieważ coraz więcej osób – a mam w tym swój skromny udział – zarzucało jej brak transparentności. Jak można z pozycji eksperta pisać o Europie Środkowo-Wschodniej, jednocześnie całym sercem wspierając człowieka, który sprzedał polską suwerenność Niemcom w zamian za przyspieszenie projektu integracji europejskiej? Nie wiem, czy to coś zmieni w optyce czytelników „The Washington Post", bo to podobne lemingi jak czytelnicy „Wyborczej", ale kropla drąży skałę.

Nadal rozmawiamy tylko o jednej osobie. Na pewno głosów oburzenia było więcej.

Oczywiście. Redakcja „New York Timesa" podpisała się pod stanowiskiem, które wzywało Unię do interwencji i poparło uruchomienie art. 7. Swoją drogą to jeden z najbardziej paternalistycznych tekstów, jakie czytałem w tym roku. W skrócie „NYT" apeluje do Komisji Europejskiej, żeby działała ostro, nawet jeśli niektórzy Polacy się z jej metodami nie zgadzają, dla ich własnego dobra, ponieważ ocalenie wartości europejskich jest takie ważne, bla, bla, bla.

Hm, nawet w teoretycznie eksperckim „Foreign Policy" widziałem felieton, który zatytułowano: „Jak ocalić Polskę przed nią samą?".

To jest dokładnie ta sama mentalność. „Zaufajcie nam, bo my wiemy od was lepiej". Jak można pisać takie rzeczy w stosunku do kraju, który w ciągu kilkudziesięciu lat przetrwał okupację dwóch totalitarnych reżimów i który nadal boryka się z wpływem postkomunizmu w przestrzeni publicznej? Postkomunizmu umocnionego amnestią po 1989 r. i wymiarem sprawiedliwości, który nigdy nie przeszedł samooczyszczenia ani nie rozliczył komunistów za ich przestępstwa. Przecież ci pseudointelektualiści na Zachodzie rozumieją, jak skomplikowaną materię opisują, ale wolą niewygodne dla nich fakty zamiatać pod dywan. Tylko czemu tu się dziwić, jeśli dostają wsparcie z kraju. Polecam wszystkim prześledzić wywiad Sikorskiego dla brytyjskiego Channel Four. Kilka minut morałów w stylu: „Wygranie wyborów nie daje PiS prawa do represjonowania własnych obywateli" albo pochwał wobec Unii i euro, które stanowią gwarancję rozwoju gospodarczego kontynentu. Jakby Francja, Grecja albo Hiszpania żyły w gospodarczym eldorado. ©℗

ROZMAWIAŁ **MARCIN MAKOWSKI**

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl cd591204ac

TYGODNIK LISCKIEGO DO RZECZY

Zacznij zdrowo Nowy Rok!

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

BLENDER RĘCZNY, MANTA 700 W HBL931 (CZARNY) + POJEMNIK

+

Cena: 149 zł
Oszczędność: 125 zł

MANTA
Polska firma rodzinna

MANTA
Polska firma rodzinna

PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

OPASKA SPORTOWA MANTA SWT9305
BLUETOOTH, KROKOMIERZ, MONITOROWANIE TĘTNA, WSKAŹNIK NATLENIENIA KRWI, LICZNIK SPALONYCH KALORII, WSKAŹNIK AKTYWNOŚCI FIZYCZNEJ, PRZYPOMNIENIE O AKTYWNOŚCI, LICZNIK DYSTANSU, MONITOROWANIE SNU

Cena: 349 zł
Oszczędność: 339 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@point-group.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **www.prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl cd591204ac

OKIEM BLOGERKI

Pisiory to też ludzie?!

KATARYNA

ANDRZEJ BRATKOWSKI: *Wziąć się w garść – nie lamentować, nie wpadać w panikę, nie pokazywać gawiedzi, że posunięcia PiS głęboko nas dotykają. Jeśli reagować, to tylko bardzo mocno. Przykładem może być hasło „Będziecie siedzieć" czy takie wypowiedzi jak ostatnio Joanny Szczepkowskiej, a nieco wcześniej Franciszka Jagielskiego, „ochroniarza" Obywateli RP. (Na razie sami takie osoby atakujemy, w imię naszych norm kulturowych, zapominając, że mamy do czynienia z bezwzględnym przeciwnikiem, który naszymi normami kulturowymi gardzi, a mogą go osłabić tylko ataki nie mniej brutalne niż ich własne).*

Salonowi ojkofobi uwierzyli we własną propagandę, a tu proszę, lewicowy naukowiec naukowo dowiódł, że rzeczywistość nijak się ma do wyobrażeń

Takie rekomendacje podsuwa opozycji były wiceprezes Narodowego Banku Polskiego i były członek Rady Polityki Pieniężnej po lekturze raportu z badań zespołu Macieja Gduli – socjologa związanego z Krytyką Polityczną – który pojechał do niewielkiego „Miastka", by studiować wyborców PiS, i odkrył, że ci wcale nie są gorsi niż „młodzi, wykształceni, z większych ośrodków". Ze zrozumiałych względów tak szokujące ustalenia są teraz przedmiotem analiz, dyskusji i artykułów, bo przecież kto by się spodziewał… Salonowi ojkofobi uwierzyli we własną propagandę, a tu proszę, lewicowy naukowiec naukowo dowiódł, że rzeczywistość nijak się ma do wyobrażeń. „Jeśli sądzisz, że wyborcy PiS to polityczni frustraci, ludzie, którym się życie nie udało, albo ofiary transformacji, to się grubo mylisz. Nie są wcale gorsi od ciebie!" – pisze w „Gazecie Wyborczej" Jakub Bierzyński. I wydaje się być tym tak samo zdumiony, jak zapewne zdumieni są czytelnicy „Gazety". Nie wiem, czy coś ich mogło zaboleć równie mocno jak stwierdzenie, że niczym się od znienawidzonych „pisiorów" nie różnią.

A jeśli przyjdzie im jeszcze kiedyś do głowy przekonywać, że są z innych niż elektorat PiS kręgów kulturowych, to będę im przypominać Bratkowskiego, dla którego jedynym wnioskiem z badań Gduli jest rekomendacja, żeby jeszcze bardziej, częściej i mocniej wyzywać publicznie kobiety, bo tylko to do PiS trafi. Powodzenia z taką strategią, Roman Sklepowicz miał podobną w walce z feministkami, ale niespecjalnie daleko z nią zaszedł. Czym się bowiem pan Bratkowski z jego obroną „Farmazona" właściwie różni? Niczym, tak jak niczym się nie różni Manuela Gretkowska publicznie rozprawiająca, że Jarosław Kaczyński „może co najwyżej dla przyjemności, włożyć palec w tyłek kota", od Wojciecha Cejrowskiego mówiącego w publicznej telewizji, że Donald Tusk „kocha Polskę, ale od tyłu". Taka sama klasa, choć zapewne oboje by się za takie porównanie obrazili.

Bardzo mnie cieszy raport Gduli, mam nadzieję, że da do myślenia tym, którzy w opozycji jeszcze myślą. Teraz dla równowagi przydałby się podobny raport jakiegoś prawicowego think tanku o wyborcach opozycji, może i prawicę dałoby się przekonać, że antypisowcy wcale nie są „UBywatelami" i „targowicą", jak ich lubi przedstawiać „paskowy" w TVP. ©℗

PODSŁUCHANE

Inaczej, czyli właśnie tak

No i co, Rysiu? Wykolegowali cię z prezydium.
Oj tam, Grzesiu, nikt mnie nie wykolegował. Sam nie chciałem.
Słyszałem coś innego. Podobno chodziłeś od człowieka do człowieka i się domagałeś.
Tak, ale dla pozoru. Rozumiesz: w mętnej wodzie nie święci garnki lepią. Czy jakoś tak.
Dla pozoru?
No jasne. Bo jakbym poszedł i od razu powiedział, że nie chcę być w prezydium, toby mnie ta małpa złośliwa specjalnie do niego wsadziła.
Małpa?
Lubnauerowa. Żeby mi życie utrudnić. A tak zrobiła odwrotnie, niż mówiłem, że chcę, czyli tak, jak chciałem naprawdę. Nadążasz?
Raczej tak.
Bo ja bym chciał trochę czasu mieć dla siebie, żeby się lepiej przygotować na swoje drugie polityczne życie. O, zobacz, co sobie kupiłem.
„Polityk 2018. Przejmij stery w państwie i sprawdź się w roli posła, ministra, premiera lub prezydenta".
Lecę właśnie do domu zainstalować i od razu zaczynam grać.
Ile za to zapłaciłeś?
Sto dwadzieścia.
To leć. Żeby się nie zmarnowało. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Rechrystianizację Europy Morawiecki zaczął od pokazania środkowego palca papieżowi".

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze*

eprasa.pl cd591204ac

Spolegliwość?

fot. Jerzy Gumowski

Jesienią ubiegłego roku zrobiło się bardzo głośno o tym, że zachodni producenci (wszyscy, wielkie koncerny i mniejsze wytwórnie) traktują mieszkańców Europy Wschodniej jako odbiorców vel użytkowników drugiej/trzeciej kategorii (czyli nie lepiej niż XIX–wieczni kolonizatorzy traktowali afrykańskich tubylców, dictum: *„negrów”*), sprzedając im w tych samych co na Zachodzie opakowaniach i z tymi samymi nazwami produkty gorszej (często dużo gorszej) jakości, pełne szkodliwych lub mało skutecznych ersatzów/zamienników (przykładowo: olej palmowy zamiast masła, słodziki zamiast cukru, itp.). Zapominalskim uprzejmie przypominam, że byłem pierwszym pismakiem rodzimym, który podniósł raban à propos (połowa lat 90–ych ubiegłego stulecia), złorzecząc, że od żywności i napojów, przez proszki pralnicze i kosmetyki, do sprzętu AGD oraz elektronicznego (np. monitory zawierające tzw. *„martwe piksele”*), wciskany jest nam *„szajs”*. Trzeba było wszelako czekać całą dekadę, by zrobił się wokół tematu huczek paneuropejski. Wiosną roku 2006 Bruksela obiecała ukrócić łajdactwo unijnych producentów, ergo: zakazać im *„lokowania uboższych wersji swoich produktów w Europie Środkowej”*, lecz na obietnicy się skończyło — palcem nie kiwnęła, więc producenci kiwali wschodnioeuropejskich dzikusów bez przeszkód. Musiała minąć kolejna dekada, by znowu wybuchła awantura (2017), tym razem już donośniejsza, bo na szczeblach parlamentarnych, rządowych, dyplomatycznych, co oczywiście podpowiedziało mediom wałkowanie tematu (vide dwa ubiegłoroczne artykuły **„Do Rzeczy”**: Edyty Hołdyńskiej i Łukasza Zboralskiego). Ja pisałem o tym pięć lat wcześniej (felieton **„Wiocha taniocha”**), zaś dzisiaj chcę pisać o czymś innym, gorszym — o impotencji (a może tylko niewrażliwości lub lenistwie) naszych władz.

Minionego roku w Budapeszcie, Bukareszcie, Pradze, Bratysławie i Zagrzebiu uznano, że miarka się przebrała, to jest że Węgrzy, Rumuni, Czesi, Słowacy i Chorwaci nie będą dłużej tolerować *„Europy dwóch jakości”*, równie skandalicznej co osławiona *„Europa dwóch prędkości”*, także dyskryminująca Europę Wschodnią (lub wedle innego nazewnictwa: Środkową). Premierzy Węgier (Victor Orbán), Czech (Bohuslav Sobotka) i Słowacji (Robert Fico) twardo zażądali, by Bruksela (ściślej: Komisja Europejska) przestała tolerować *„podwójne standardy jakości produktów”*. Szczególnie ostro wystąpił Fico, nazywając sprawę *„międzynarodową aferą”* i *„towarowym rasizmem”*, oraz grożąc długotrwałym bojkotem zachodnioeuropejskich produktów w Słowacji. A Warszawa? Cisza. Warszawa (która roi o przywództwie wśród *„krajów Międzymorza”*) niby solidaryzuje się z protestem sąsiadów/partnerów, ale nie podejmuje żadnych stanowczych kroków, nie ciska dyplomatycznych grzmotów, nawet nie używa twardszych słów i nie uruchamia swych placówek badawczych do kontroli jakości produktów *„zachodniej cywilizacji”*, jakby miała gdzieś, że *„polnische Mob”* (polski motłoch, polska hołota) jest przez Zachód traktowany niby społeczność afrykańskiego bantustanu.

To mi przypomina nasze milczenie wobec afrontów ze strony byłych naszych Kresów, zwłaszcza ze strony ukraińskiej i litewskiej. We wrześniu ubiegłego roku Budapeszt i Bukareszt pogroziły Kijowowi ciężkimi retorsjami za plan likwidacji szkolnictwa mniejszości węgierskiej i rumuńskiej (ma być mocą ustawy zrealizowany roku 2020), a Warszawa nawet nie mruknęła. Czy dlatego, że Polacy (mniejszość licząca 250 tysięcy ludzi oficjalnie, a realnie dużo większa) prowadzą tam tylko 6 szkół? (co też jest pieczęcią haniebnego *„imposybilizmu”* polskich rządów wobec Kijowa, bo dzięki aktywności Budapesztu i Bukaresztu mniejszość węgierska ma tam 71 szkół, a rumuńska 78!). Od ćwierć wieku Kijów pluje nam w twarz, a my na to zezwalamy. Nadpremier Jarosław Kaczyński tylko raz pogroził Ukraińcom (*„ — Z Banderą nie wejdziecie do Unii Europejskiej!”*), a minister Waszczykowski tylko raz się naburmuszył słownie (dosyć delikatnie) na Ukraińców, lecz za tą retoryką nie idą silne czyny i gesty, przeciwnie, co tylko można zamiata się pod dywan (Elżbieta Zielińska z Kukiz'15: *„ — Już grubo ponad rok PiS blokuje nasz projekt IPN–owskiej ustawy o możliwości karania za szerzenie banderyzmu”*), rzezi wołyńskiej nie wyłączając. Od początku listopada mówi się o twardszym stanowisku władz III RP wobec Kijowa, ale to *„pic na wodę”*. Prezydent Duda już kilka razy wizytował Ukrainę, lecz nie ośmielił się zbliżyć ku grobom ofiar ludobójstwa wołyńskiego.

Kazimierz Brodziński (XIX w.):
„Ślad ku chwale zgubił
kto uległość poślubił”

Kijów pragnie anihilować przeszłość w polskich umysłach równie radykalnie (*„do gruntu”*) jak zbiry UPA anihilowały wołyńskich Polaków (~130 tys. ludzi). Lansują model *„historia dla historyków”*, chcąc wyabstrahować stosunki polityczne z kontekstu historycznego. Jednocześnie u siebie pielęgnują tę zbrodniczą przeszłość fanfarami i pieśniami, stawiając liczne pomniki autorom wołyńskiego ludobójstwa: Banderze, Szuchewyczowi i bezpośredniemu oprawcy, Dmytro Semenowiczowi Kłaczkiwskiemu (ksywa *„Kłym Sawur”*), prowydnykowi OUN *„na obszarze Północno–Zachodnich Ziem Ukrainy”* (Wołyń i Polesie), który latem 1943 roku wydał UPA dyrektywę eksterminacyjną: *„Zarządzam powszechną fizyczną likwidację całej polskiej ludności (...) Wszystkie polskie wioski muszą zniknąć z powierzchni ziemi”*. Za to właśnie Ukraińska Cerkiew Prawosławna Patriarchatu Kijowskiego mieni go dzisiaj świętym (Banderę również), a my się dalej cackamy. Nowym ambasadorem na Ukrainie mianowaliśmy (2017) Jana Piekłę, eksdziennikarza **„Gazety Wyborczej”**, o którym duszpasterz Kresowian, ks. Tadeusz Isakowicz–Zaleski, rzekł, iż ta nominacja *„to przysłowiowy miód na serca ukraińskich nacjonalistów i kolejne upokorzenie pomordowanych”*. Za tego rodzaju spolegliwe podkładanie się Ukraińcy płacą nam popularną tam dziś przyśpiewką, którą sformułowała w internecie aktywistka nacjonalistycznej ukraińskiej partii Korpus Narodowy, Zoriana Konowalec:

„Jeszcze Polska nie zginęła,
ale zginąć musi!
Jeszcze Polak Ukraińcowi
będzie czyścił buty!”.

Ciągle jesteśmy straszeni militarnym zagrożeniem ze strony rosyjskiej. Do cholery! — kiedy wreszcie warszawscy decydenci zrozumieją, że jeśli w przyszłości wybuchnie wojna, to nie będzie wojna z Rosją (która niczego od nas nie chce!), tylko wojna z Ukrainą, która bez żenady głosi, iż winna odzyskać ukraińskie terytoria okupowane przez Polaków, najpierw tzw. Zakerzonie (chełmszczyznę i Przemyśl), a później również Rzeszów, Siedlce i Lublin! Kto w Polsce wie, że ukraińska koncepcja Międzymorza nie obejmuje Polski? Przypominanie takich rzeczy (pukanie w czoła) daje dziś gwarancję usłyszenia, że się jest *„ruskim agentem”*, ale zdążyłem się uodpornić.

Podobnie z Litwą. Litwini gnębią szkolnictwo polskie, represjonują język polski, sekując polską mniejszość, brutalnie łamiąc jej prawa (Jarosław Giziński: *„Kolejne polskie rządy poświęcają polskość Wileńszczyzny w imię mitycznego sojuszu strategicznego z Litwą”*), lub złośliwie demontują tory kolejowe do rafinerii Orlenu w Możejkach, a my dalej patrolujemy im granice naszymi F–16 (w powietrzu) i czołgamy się (na ziemi).

Czy to wszystko winno nosić nazwę: Spolegliwość? Wedle słownika Reader's Digest spolegliwością nazywać trzeba: *„skłonność do kompromisów, uległość”*. Ale gdy ta uległość przeradza się w *„dawanie d...”*, pardon: w *„dawanie ciała”* — robi się *„poruta”* niezbyt przystająca do sarmackiego/lechickiego charakteru. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl cd591204ac

eprasa.pl cd591204ac